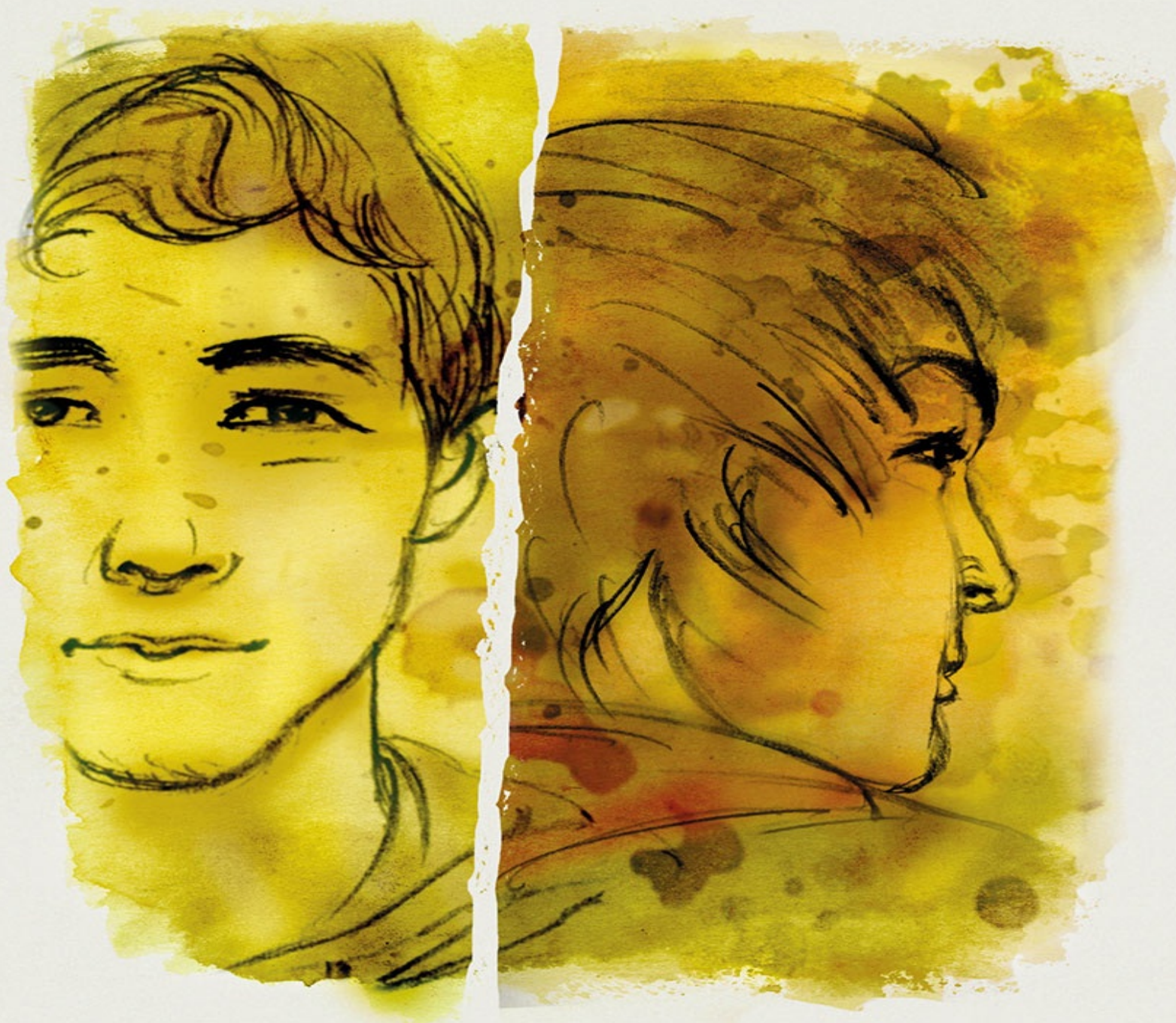


JOHN
GREEN

DAVID
LEVITHAN



WILL GRAYSON, WILL GRAYSON

ZABAWNA, NIEGRZECZNA I ORYGINALNA — „NEW YORK TIMES”

BUKOWY  LAS

Młody patrzy na mnie zdezorientowany przez jakąś minutę, aż w końcu pyta:

– Jak się nazywasz?

To już mnie naprawdę wpienia. Frenchy's to nie miejsce na uprzejme konwersacje.

Mówię więc do Kolczyka:

– Mogę prosić o gazetkę?

Podaje mi ją w całkowicie nieprzejrzystej czarnej, plastikowej reklamówce bez napisów, za co jestem mu bardzo wdzięczny, a następnie wręcza mi kartę i paragon. Wychodzę ze sklepu, przebiegam pół przecznicy w dół Clark, siadam na krawężniku i czekam, aż wyrówna mi się tętno.

I już zaczyna się wyrównywać, gdy nieletni współtowarzysz mojej pielgrzymki po Frenchy's dogania mnie i pyta:

– Jak się nazywasz?

Wstaję i odpowiadam:

– Will Grayson.

– W-I-L-L G-R-A-Y-S-O-N? – upewnia się, literując niewiarygodnie szybko.

– No tak – potwierdzam. – Dlaczego pytasz?

Dzieciak patrzy na mnie przez sekundę, przekrzywiając głowę, jakby myślał, że go nabieram, aż w końcu wyznaje:

– Bo ja też jestem Will Grayson.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Wyrazy uznania

Rozmowa między Johnem Greenem i Davidem Levithanem

Wydawnictwo Bukowy Las poleca

Okładka

JOHN GREEN
DAVID LEVITHAN

**WILL GRAYSON,
WILL GRAYSON**

przełożyła
Magda Białoń-Chalecka

BUKOWY • LAS

Tytuł oryginału: *Will Grayson, Will Grayson*

Copyright © John Green and David Levithan, 2010

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

This edition published by arrangement with Dutton Children's Books, a member of Penguin Group (USA) LLC, a Penguin Random House Company

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-64481-86-4

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Renata Otolinińska

Korekta: Iwona Huchla

Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wydawca:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl



Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Dla Davida Leventhala (za bliskość) – DL
Dla Tobiasa Huismana – JG

I

Gdy byłem mały, mój tata mawiał:

– Will, masz wpływ na wybór swoich przyjaciół, masz wpływ na kształt swojego nosa, ale nie masz wpływu na kształt nosa swoich przyjaciół.

Spostrzeżenie to wydawało mi się dość inteligentne, kiedy miałem osiem lat, ale okazało się nieprawdziwe pod kilkoma względami. Przede wszystkim człowiek nie wybiera sobie przyjaciół, bo inaczej ja nigdy bym się nie zadawał z Kruchym Cooperem.

Kruchy Cooper nie jest najbardziej zdeklarowanym gejem na świecie i nie jest też największym człowiekiem na świecie, ale możliwe, że jest największym człowiekiem na świecie, który jest bardzo, bardzo zdeklarowanym gejem, a także najbardziej zdeklarowanym gejem, który jest bardzo, bardzo wielki. Jest też moim przyjacielem od piątej klasy, poza ostatnim semestrem, podczas którego on był zajęty odkrywaniem całego spektrum swojego gejowskiego ego, ja zaś posiadaniem po raz pierwszy w życiu serdecznej Paczki Przyjaciół, którzy przestali ze mną rozmawiać z powodu dwóch błahych wykroczeń:

1. Po tym, gdy pewien członek samorządu uczniowskiego okazał głębokie zaniepokojenie obecnością gejów w szatni sportowej, wstawiłem się za prawem Kruchego Coopera do bycia zarówno ogromnym człowiekiem (dzięki czemu jest też najlepszym obrońcą w naszej dennej szkolnej drużynie futbolowej), jak i gejem, co wyraziłem w liście do szkolnej gazetki, pod którym z głupoty się podpisałem.
2. Kolega Clint z Paczki Przyjaciół mędrkował na temat tego listu przy obiedzie i w trakcie mędrkowania nazwał mnie „dupościskiem”,

a ponieważ nie wiedziałem, co to znaczy, zapytałem: „Co masz na myśli?”. A on znów nazwał mnie dupościskiem, więc kazałem mu się odwalić, wziąłem swoją tacę i poszedłem.

Więc formalnie rzecz biorąc, chyba sam zerwałem z Paczką Przyjaciół, choć odbieram to na odwrót. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że żadne z nich nigdy tak naprawdę mnie nie lubiło, ale przynajmniej miałem swoją ekipę, co nie jest bez znaczenia. A teraz nie mam, przez co zostałem zupełnie pozbawiony towarzystwa rówieśników.

To znaczy, jeśli nie liczyć Kruchego. Więc chyba muszę go liczyć.

Itakto kilka tygodni po feriach świątecznych w trzeciej klasie siedzę na swoim miejscu na zajęciach z matmy, gdy Kruchy wpada do klasy tanecznym krokiem ubrany w koszulkę piłkarską wetkniętą w chinosy, choć sezon dawno już się skończył. Co dnia jakimś cudem udaje mu się wpasować w ławkę obok mnie i co dnia budzi moje zdumienie, że znów tego dokonał.

Zatem Kruchy upycha swoje wielkie ciało na krześle, ja jestem należycie zdumiony, a potem on odwraca się do mnie i szepcze bardzo głośno, ponieważ w głębi serca chce, by inni też się o tym dowiedzieli:

– Zakochałem się.

Przewracam oczami, bo Kruchy równo co godzinę zakochuje się w jakimś kolejnym biedaku. Wszyscy oni wyglądają tak samo: chudzi, spoceni i opaleni – obrzydlistwo, bo każda lutowa opalenizna w Chicago jest sztuczna, a faceci ze sztuczną opalenizną – nieważne, czy geje, czy nie – są żałośni.

– Jesteś taki cyniczny – żali się Kruchy, z rezygnacją machając ręką.

– Nie cyniczny – prostuję – tylko racjonalny.

– Jak cyborg – stwierdza on.

Kruchy uważa, że jestem niezdolny do tego, co ludzie nazywają uczuciami, ponieważ nie płakałem od siódmych urodzin, kiedy to obejrzałem film *Wszystkie psy idą do nieba*. Pewnie powinienem się był domyślić po tytule, że ta historia nie może się skończyć wesoło, ale na swoją obronę podkreślę, że miałem zaledwie siedem lat. Tak więc od tamtej pory nie uroniłem ani jednej łzy. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, jaki sens ma płkanie. Ponadto uważam, że bez problemu można się przed nim uchronić w każdym wypadku – może poza śmiercią krewnych lub czymś w tym rodzaju – jeśli przestrzega się dwóch prostych zasad: 1. Nie przejmować się niczym. 2. Siedzieć cicho. Wszystkie godne pożałowania sytuacje, jakie kiedykolwiek mi się przytrafiły, wynikały z tego, że nie zastosowałem się do jednej z powyższych reguł.

– Wiem, że miłość jest prawdziwa, bo ją czuję – ciągnie Kruchy.

Najwyraźniej lekcja już się zaczęła, choć tego nie zauważyliśmy, ponieważ pan Applebaum, który, tak się niefortunnie składa, uczy nas matmy, a przede wszystkim uczy mnie, że ból i cierpienie należy znosić po stoicku, pyta:

– Co czujesz, Kruchy?

– Miłość! – oznajmia chłopak. – Czuję miłość.

Wszyscy się odwracają i albo śmieją się, albo prychną z dezaprobatą pod adresem Kruchego, a ponieważ siedzę obok niego i jest moim najlepszym, a także jedynym kumplem, śmieją się i prychną również pod moim adresem. Właśnie z tego powodu nigdy bym nie wybrał Kruchego Coopera na przyjaciela. Za bardzo zwraca na siebie uwagę. Ponadto wręcz patologicznie nie potrafi przestrzegać żadnej z moich zasad. Porusza się tanecznym krokiem, za bardzo się wszystkim przejmując i nigdy nie siedząc cicho, a potem jest zdziwiony, gdy świat wylewa na niego pomyje. I oczywiście z tego prostego powodu, że ja trwam przy boku Kruchego, świat wylewa te pomyje również na mnie.

Gdy po lekcji przeglądam zawartość swojej szafki, zastanawiając się, jakim cudem zostawiłem *Szkarłatną literę* w domu, Kruchy podchodzi ze swoimi przyjaciółmi z Gay-Straight Alliance^[1] – Garym (który jest gejem) oraz Jane (która być może jest lesbijką, nigdy nie pytałem) – i oznajmia:

– Oczywiście wszyscy uważają, że wyznałem ci miłość na matmie. Ja zakochany w Willu Graysonie! Czy to nie najdurniejsza rzecz, jaką słyszałeś w życiu?

– No pięknie... – wzdycham.

– Ludzie są takimi kretydami – ciągnie. – Jakby zakochanie było w jakimś sensie złe.

Gary wydaje głośny jęk. Gdyby można było wybierać przyjaciół, rozważałbym kandydaturę Gary’ego. Kruchy zakumplował się z nim, jego chłopakiem Nickiem, i Jane, gdy dołączył do GSA podczas mojego stażu w roli członka Paczki Przyjaciół. Ledwie znam Gary’ego, ponieważ przestaję znów z Kruchym dopiero od dwóch tygodni, ale odnoszę wrażenie, że to najnormalniejsza osoba, z jaką mój przyjaciel się kiedykolwiek kolegował.

– Istnieje różnica – zauważa Gary – między zakochaniem a ogłaszaniem tego na matmie. – Kruchy zaczyna protestować, ale kumpel go ucisza. – Nie zrozum mnie źle. Masz wszelkie prawo kochać Zacha.

– Billy’ego – koryguje Kruchy.

– Chwila, a co się stało z Zachem? – pytam, bo gotów byłbym przysiąc, że jeszcze na matmie Kruchy był zakochany w Zachu. Lecz od chwili wyznania minęło czterdzieści siedem minut, więc może zmienił już obiekt zainteresowań. Kruchy miał już około 3900 chłopaków, z czego połowę wyłącznie przez Internet.

Gary, równie skołowany nagłym objawieniem się Billy’ego, opiera się o szafkę i lekko uderza głową o metalowe drzwiczki.

– Kruchy, to, że jesteś taki puszczałski, nie robi dobrze naszej sprawie.

Patrzę na przyjaciela.

– Czy możemy sprostować plotki o naszej miłości? – proszę. – Znacznie redukują moje szanse u pań.

– Nazywanie ich „paniami” też raczej nie pomaga – wytyka mi Jane.

Kruchy się śmieje.

– Serio – upieram się. – Mam przez to pod górę.

Mój przyjaciel wreszcie spogląda na mnie poważnie i kiwa lekko głową.

– Choć gwoli wyjaśnienia – mówi Gary – mógłbyś trafić znacznie gorzej niż na Willa Graysona.

– I zrobił to – stwierdzam.

Kruchy, śmiejąc się, wykonuje piruet i staje na środku korytarza, po czym woła:

– Szanowny świecie, wiedz, że nie lecę na Willa Graysona. Ale, świecie drogi, musisz wiedzieć coś jeszcze! – Zaczyna śpiewać broadwayowskim barytonem, potężnym jak obwód jego pasa: – Ja po prostu nie umiem bez niego żyć!

Ludzie śmieją się, pohukują i klaszczą, gdy on wykonuje swoją serenadę, a ja ruszam na angielski. To długa droga, a staje się jeszcze dłuższa, gdy koledzy zatrzymują mnie i pytają, jakie to uczucie uprawiać sodomie z Kruchym Cooperem i jak mi się udaje znaleźć jego „małego gejowskiego fiutka” pod tym tłustym brzuchem. Reaguję tak jak zawsze: spuszczam wzrok i szybko idę dalej. Wiem, że to tylko żarty. Wiem, że bycie wrednym to taki koleżeński rytuał czy coś w tym rodzaju. Kruchy zawsze ma w zanadrzu jakąś błyskotliwą ripostę, na przykład: „Jak na kogoś, kto teoretycznie mnie nie pragnie, dziwnie dużo czasu poświęcasz na myślenie i mówienie o moim penisie”. W jego wypadku to działa, a w moim nie. W moim działa milczenie. Trzymanie się zasad. Zatem jestem cicho, nie przejmuję się, idę dalej, i wkrótce jest po wszystkim.

Po raz ostatni otwarcie wyraziłem swoją opinię, gdy napisałem ten przeklęty list do gazetki na temat przeklętego Kruchego i jego przeklętego prawa do bycia gwiazdą naszej beznadziejnej drużyny futbolowej. W najmniejszym stopniu nie żałuję, że go wysłałem, a jedynie że go podpisałem. To było ostre pogwałcenie zasady o siedzeniu cicho i proszę, dokąd mnie zaprowadziło: siedzę cicho sam we wtorkowe popołudnie, wgapiając się w swoje czarne trampki.

Tego wieczoru wkrótce po tym, gdy zamawiam pizzę dla siebie i rodziców, którzy – jak zawsze – zostają do późna w szpitalu, Kruchy dzwoni do mnie i oznajmia szybkim, dramatycznym szeptem:

– Neutral Milk Hotel ma się znowu zebrać i dać koncert w Kryjówce. W ogóle tego nie reklamują i nikt o tym nie wie, i kurka wodna, Grayson, kurka wodna!

– Kurka wodna! – krzyczę. Kruchy ma tę niewątpliwą zaletę, że gdy w mieście

dzieje się coś fantastycznego, on dowiaduje się o tym pierwszy!

Zazwyczaj niezbyt łatwo ulegam ekscytacji, ale Neutral Milk Hotel tak jakby odmienił moje życie. Wydali absolutnie fantastyczny album *In the Aeroplane Over the Sea* w 1998 roku i od tamtej pory nikt ich nie słyszał, rzekomo dlatego, że ich wokalista zamieszkał w jaskini w Nowej Zelandii. Ale tak czy owak jest geniuszem.

– Kiedy?

– Nie wiem. Dopiero się dowiedziałem. Zawiadomię też Jane. Lubi ich prawie tak bardzo jak ty. Okay, dobra. Słuchaj. Musimy natychmiast jechać do Kryjówki.

– Właściwie już jadę – odpowiadam, otwierając drzwi do garażu.

Dzwonię do mamy z samochodu. Mówię jej, że Neutral Milk Hotel grają w Kryjówce, a ona pyta:

– Kto? Co? Jaka ryjówka?

Nucę kilka taktów jednej z ich piosenek i mama ogarnia.

– A, znam ten utwór. Jest na tej składance, którą dla mnie zrobiłeś.

– Brawo – chwalę ją.

– Masz wrócić przed jedenastą – oznajmia.

– Mamo, to historyczne wydarzenie – protestuję. – Historia nie zna godziny policyjnej.

– Przed jedenastą – powtarza mama.

– Jezu, dobra – pryham, a ona musi już kończyć i wyciąć komuś raka.

Kruchy Cooper mieszka w wielkiej rezydencji z najbogatszymi rodzicami świata. Chyba żadne z nich nie pracuje, ale są tak odrażająco zamożni, że Kruchy nawet nie mieszka z nimi, tylko w osobnej powozowni, całkiem sam. Ma w tym cholerstwie trzy sypialnie i lodówkę zawsze pełną piwa, a rodzice nigdy nie zawracają mu głowy, więc możemy siedzieć u niego cały dzień, grać w nogę na konsoli i pić miller lite, choć tak naprawdę Kruchy nienawidzi grać na konsoli, a ja nie znoszę piwa, więc gramy tylko w rzutki (ma tarczę), słuchamy muzyki, rozmawiamy i się uczymy. Zaczynam wymawiać pierwszą literę jego imienia, gdy wypada z pokoju w jednym czarnym skórzanym mokasynie na nodze, z drugim w rękę, i woła:

– Biegnij, Grayson, biegnij!

Na trasie wszystko układa się idealnie. Na Sheridan nie ma zbyt wielkiego ruchu. Wchodzę w zakręty, jakby to było Indy 500, i słuchamy mojej ulubionej piosenki NMH *Holland 1945*. Potem wjeżdżamy w Lake Shore Drive, fale jeziora Michigan rozbijają się o skały wzdłuż drogi, uchylamy okna, żeby wywietrzyć auto, a brudne, choć orzeźwiające, zimne powietrze wdziera się do środka. Uwielbiam zapach Chicago – pachnie słonawą jeziorną wodą, sadzą, potem i smarem, i kocham tę woń, i kocham tę piosenkę, a Kruchy mówi: „Kocham tę piosenkę”, po czym opuszcza daszek czapki niżej, żeby artystycznie potargać sobie włosy. Przychodzi mi do głowy,

że Neutral Milk Hotel zobaczą mnie, tak jak ja będę widział ich, więc przeglądam się we wstecznym lusterku. Moja twarz wydaje się zbyt kwadratowa, a oczy zbyt wielkie, jakbym był nieustająco zdziwiony, ale nie ma w moim wyglądzie nic, co mógłbym poprawić.

Kryjówka to undergroundowy pub w budzie skleconej z desek, znajdujący się między jakąś fabryką a budynkiem Wydziału Transportu. Nie ma w nim nic wyjątkowego, ale choć jest dopiero siódma, przed drzwiami stoi kolejka. Ustawiam się w niej wraz z Kruchym, by poczekać, aż pojawią się Gary i Może Homoseksualna Jane.

Jane ma na sobie koszulkę z wycięciem w karo z ręcznie wykonanym napisem „Neutral Milk Hotel” pod rozpiętym płaszczem. Dziewczyna wkroczyła w życie Kruchego mniej więcej wtedy, gdy ja z niego wypadłem, więc nie znamy się za dobrze. Jednak mógłbym chyba stwierdzić, że jest moim czwartym w kolejności najlepszym kumplem i że najwyraźniej ma dobry gust, jeśli chodzi o muzykę.

Stoimy przed Kryjówką na szczypiącym w twarz mrozie, a Jane mówi „cześć”, nie patrząc na mnie. Odpowiadam jej, po czym ona dodaje:

– To absolutnie genialna kapela.

– Wiem – potwierdzam.

Jest to chyba najdłuższa rozmowa, jaką odbyłem z Jane. Lekko kopię kamienistą ziemię i obserwuję, jak miniaturowa chmura pyłu wznosi się wokół mojej stopy. Wyznam, że uwielbiam *Holland, 1945*, a Jane mówi:

– Ja wolę ich mniej popularne kawałki. Te głośnie, polifoniczne.

Kiwam tylko głową w nadziei na to, że wyglądam, jakbym wiedział, co oznacza słowo „polifoniczne”.

Kruchemu nie da się szepnąć nic na ucho, nawet jeśli ktoś jest całkiem wysoki tak jak ja, ponieważ ten drań ma ponad dwa metry wzrostu. Trzeba go najpierw klepnąć w gigantyczne ramię, a potem kiwnąć głową, aby zrozumiał, że chce się mu coś dyskretnie powiedzieć. Tak więc robię, a on się pochyla.

– Hej – mówię cicho – czy Jane jest w homo- czy w heteroseksualnej sekcji GSA?

Kruchy zbliża usta do mojego ucha i szepcze :

– Nie wiem. Chyba w pierwszej klasie miała chłopaka.

Ja na to przypominam mu, że w pierwszej klasie miał 11 542 dziewczyny, a wtedy on daje mi kuksańca w ramię, który w zamierzeniu ma być żartobliwy, ale w praktyce powoduje trwałe uszkodzenie nerwu.

Gary rozciera ramiona Jane, żeby ją rozgrzać, a kolejka w końcu rusza. Jakieś pięć sekund później z pubu wychodzi załamany dzieciak. Jest dokładnie w typie drobnego

opalonego blondasa, w którym gustuje mój przyjaciel.

– Co się stało? – pyta go Kruchy.

– Wpuszczają tylko powyżej dwudziestu jeden lat – odpowiada młodzian.

– T-ty – zwracam się do Kruchego, zacinając się – t-ty dupościsku. – Nadal nie wiem, co to znaczy, ale brzmi odpowiednio do sytuacji.

Cooper ściąga usta i marszczy brwi. Patrzy na Jane.

– Masz fałszywy dowód?

Dziewczyna potakuje skinieniem głowy.

– Ja też – rzuca Gary.

A ja zaciskam pięści, zagryzam zęby i mam ochotę wrzeszczeć, ale zamiast tego mówię:

– No to ja wracam do domu. – Ponieważ nie posiadam fałszywego dowodu.

Lecz wtedy Kruchy szybko wydaje polecenia ścisłym tonem:

– Gary, kiedy będę pokazywał swój dowód, uderzysz mnie w twarz najmocniej, jak potrafisz, a ty, Grayson, przejdiesz wtedy za moimi plecami, jakby nigdy nic.

Przez chwilę nikt się nie odzywa, aż w końcu Gary protestuje zdecydowanie zbyt głośno:

– Ja nie umiem nikogo uderzyć.

Zbliżamy się już do bramkarza z wielkim tatuażem na łysej głowie, więc Kruchy szepcze:

– Umiesz. Po prostu wal mocno.

Zostaję trochę z tyłu i obserwuję. Jane podaje dowód bramkarzowi, który świeci na niego latarką, zerka na twarz dziewczyny i oddaje dokument. Teraz kolej Kruchego. Biorę kilka szybkich, krótkich wdechów, ponieważ gdzieś wyczytałem, że ludzie z dużą ilością tlenu we krwi wyglądają na spokojniejszych, i patrzę, jak Gary wspina się na palce, bierze zamach i zasuwa Kruchemu w prawe oko. Głowa mojego przyjaciela lekko odchyła się do tyłu, a Gary wrzeszczy:

– O Boże, ałć! Kurka, moja ręka!

Bramkarz doskakuje do niego, Cooper odwraca się tak, by mnie zasłonić, a ja wchodzę do klubu, jakby Kruchy był moimi drzwiami obrotowymi.

Już z wnętrza pubu zerkam w tył. Bramkarz trzyma za ramiona Gary'ego, który z grymasem na twarzy gapi się na swoją rękę. Wtedy Kruchy klepie osiłka po ramieniu, mówiąc:

– Ziom, tylko się zgrywaliśmy. Niezły prawy sierpowy, Dwight.

Dobrą minutę trwa, zanim dociera do mnie, że Gary to Dwight. Albo Dwight to Gary.

– On ci przypierdzielił w oko – zauważa bramkarz, a Kruchy odpowiada:

– Należało mi się.

Po czym wyjaśnia, że on oraz Gary\Dwight grają w drużynie futbolowej

Uniwersytetu DePaul i że wcześniej na siłowni Kruchy źle go asekurował przy wyciskaniu, czy coś w tym rodzaju. Bramkarz zwierza się, że w liceum grał w obronie, i chłopaki wdają się w miłą pogawędkę, podczas której łysy sprawdza wybitnie fałszywy dowód Gary’ego. Po chwili cała nasza czwórka znajduje się w Kryjówce, sam na sam z Neutral Milk Hotel i jakąś setką nieznajomych.

Morze ludzi otaczające bar rozstępuje się, Kruchy bierze dwa piwa i proponuje mi jedno z nich. Odmawiam.

- Dlaczego akurat Dwight? – pytam Gary’ego.
 - W dowodzie jestem Dwightem Davidem Eisenhowerem IV – wyjaśnia.
 - Skąd, u licha, wszyscy bierzecie podrabiane dowody? – dziwię się.
 - Są takie miejsca.
- Postanawiam, że też sobie załatwię taką fałszywkę, i dodaję:
- A właściwie to napiję się piwa.

Przede wszystkim dlatego, że chcę coś trzymać w ręku. Kruchy podaje mi to, które już napoczął, a ja przeciskam się pod scenę, bez niego, Gary’ego i Może Homoseksualnej Jane. Jestem tylko ja i scena, która ma raptem wysokość sześćdziesięciu centymetrów, więc jeśli główny wokalista NMH jest bardzo niski – ma na przykład sto dwadzieścia centymetrów wzrostu – to za chwilę spojrzę mu prosto w oczy. Pozostali widzowie też gromadzą się pod sceną i wkrótce robi się ścisk. Bywałem już w Kryjówce wcześniej na koncertach bez ograniczeń wiekowych, ale nigdy nie było aż tak – piwo, którego nie piję i nie zamierzam pić, poci mi się w ręce, i otacza mnie tłum wytatuowanych, zakolczykowanych nieznajomych. Najbardziej denna osoba w tym pubie jest fajniejsza od najfajniejszego członka Paczki Przyjaciół. Ci ludzie nie sądzą, że ze mną jest coś nie tak – oni mnie nawet nie zauważają. Zakładają, że jestem jednym z nich, co wydaje mi się ukoronowaniem mojej licealnej kariery. Oto ja, na koncercie dla ludzi powyżej dwudziestego pierwszego roku życia w najlepszym klubie drugiego co do wielkości miasta Ameryki, w gronie około setki odjechanych osób, czekam na koncert najbardziej fantastycznej niszowej kapeli ostatniej dekady.

Na scenie pojawia się czterech kolesiów, którzy nie są uderzająco podobni do członków Neutral Milk Hotel, ale mówię sobie, co tam, przecież widziałem ich zdjęcia tylko w Internecie. Lecz wtedy niestety zaczynają grać. Nie bardzo wiem, jak opisać ich muzykę. Może tak, że brzmi, jakby sto tysięcy łasic wrzucono do wrzącego oceanu. I wtedy na dobitkę jeden z nich zaczyna śpiewać.

*Ona kochała mnie, jeee,
Teraz nie cierpi mnie.*

*Ona pieprzyła mnie, jeee,
Teraz puszcza się
Z innymi
Z innymi*

Zakładając, że wokalista Neutral Milk Hotel nie przeszedł lobotomii przedczołowej, nie ma takiej opcji, żeby wymyślił, nie mówiąc o napisaniu, podobny tekst. I nagle mnie olśniewa: czekałem na zewnątrz w lodowatym, ponurym, przesyconym spalinami chłodzie i przyczyniłem się do tego, że Gary ma najprawdopodobniej połamane kości dłoni, aby posłuchać zespołu, który najwyraźniej *n i e* jest Neutral Milk Hotelem. I choć nie widzę winnego nigdzie w otaczającym mnie tłumie milczących, ogłuszonych fanów NMH, natychmiast wrzeszczę:

– Niech cię szlag, Kruchy!

Gdy utwór się kończy, moje podejrzenia zostają potwierdzone, ponieważ wokalista mówi w absolutnej ciszy:

– Dziękuję! Bardzo wam dziękuję. NMH nie mógł dojechać. Nazywamy się Ashland Avenue i damy czadu!

Nie, myślę, nazywacie się Ashland Avenue i dacie dupy. Ktoś stuka mnie w ramię, więc odwracam się i stoję twarzą w twarz z niewiarygodnie seksowną dwudziestoparolatką z barbarzyńskim piercingiem i płomiennorudymi włosami, ubraną w botki do kolan.

– Myśleliśmy, że będzie grał Neutral Milk Hotel? – mówi z pytającą intonacją.

Spuszczam wzrok i odpowiadam:

– Ja... – Milknę na chwilę, po czym kończę: – Też tak myślałem. Przyszedłem tu dla nich.

Dziewczyna nachyla się do mojego ucha, by przekrzyczeć atonalny arytmiczny afront dla przyzwoitości, jakim jest Ashland Avenue.

– Ashland Avenue to zdecydowanie nie jest Neutral Milk Hotel!

Tłum w sali, a może nieznamość nieznamomej, rozwiązuje mi język, więc krzyczę w odpowiedzi:

– Ashland Avenue puszczają terrorystom, żeby zaczęli sypać!

Dziewczyna uśmiecha się i dopiero teraz uświadamiam sobie, że zauważa różnicę wieku między nami. Pyta, do której szkoły chodzę, a ja odpowiadam:

– Evanston.

– Liceum? – dziwi się.

– Tak, ale nie mów barmanowi – proszę.

– Czuję się perwersyjnie – oznajmia ona.

– Dlaczego?

W odpowiedzi śmieje się zmysłowo. Wiem, że tak naprawdę wcale na mnie nie

leci, ale czuję się odrobinę uwodzony.

Wtem na moje ramię spada ogromna łapa. Zauważam obrączkę, którą Kruchy dostał na zakończenie podstawówki i którą od tamtej pory nosi na małym palcu, i wiem z całą pewnością, że to może być tylko on. Pomyśleć, że niektórzy idioci uważają, iż geje mają wyczucie stylu.

Odwracam się, a Kruchy płacze ogromnymi łzami. W jednej jego łzie można by utopić kociaka. Samym ruchem warg pytam: „CO JEST?”, bo Ashland Avenue wyje tak głośno, że i tak by mnie nie usłyszał. Kruchy podaje mi swój telefon i odchodzi. Spoglądam na jego profil na Facebooku ze zbliżeniem na status.

Zach: im dłużej o tym myślę tym bardziej się zastanawiam po co niszczyć piękną przyjaźń? Ale nadal uważam że Kruchy jest zarombisty.

Przeciskam się wśród ludzi do przyjaciela, ciągnę go za ramię i krzyczę mu do ucha:

- TOTALNA MASAKRA!
- RZUCIŁ MNIE PRZEZ ZMIANĘ STATUSU NA FEJSIE! – skarży się.
- ZAUWAŻYŁEM. MÓGŁ CHOCIAŻ WYŚLAĆ SMS. ALBO MAIL. ALBO GOŁĘBIA POCZTOWEGO.
- CO JA TERAZ ZROBIĘ? – wrzeszczy mi Kruchy do ucha.

Chciałbym odpowiedzieć: Znajdź sobie faceta, który wie, jak się pisze „zarąbisty”, ale tylko wzruszam ramionami, klepię go mocno po plecach, a potem odprowadzam dalej od Ashland Avenue i bliżej baru.

To okazuje się błędem. Tuż przed barem zauważam Może Homoseksualną Jane opartą o wysoki stół. Mówi mi, że Gary wyszedł totalnie zniesmaczony.

- To chyba zagrywka marketingowa Ashland Avenue – dodaje.
- Żaden fan NMH nie słuchałby tej nędzy – odpowiadam.

Jane spogląda na mnie, robiąc wielkie oczy, wydyma usta, a następnie wyznaje:

- Mój brat jest ich gitarzystą.

Czuję się jak kompletny krety.

- Przepraszam, stara – mówię.
- Chryste, żartuję – uspokaja mnie. – Gdyby był, wyrzekłabym się go.

W którymś momencie naszej czterosekundowej rozmowy tracę z oczu Kruchego, co niełatwo osiągnąć, opowiadam więc Jane o jego facebookowej ścianie płaczu. Dziewczyna nadal się śmieje, gdy Kruchy pojawia się przy stoliku z tacą, na której stoi sześć kieliszków pełnych zielonkawej cieczy.

– Ja nie piję – przypominam kumpłowi, więc podsuwa kieliszek Jane, która tylko kręci przecząco głową.

Kruchy wypija jednego głębszego, krzywi się i głośno wypuszcza powietrze.

– Smakuje jak ognisty wytrysk szatana – mówi i popycha kieliszek w moją stronę.

– Brzmi pysznie, ale spasuję – odpowiadam.

– Jak on mógł – żali się Kruchy i osusza następną lufę – rzucić mnie – kolejna lufa – na Facebooku, gdy mu wyznałem, że go kocham – i następna. – Do czego zmierza ten cholerny świat? – Kolejny kieliszek. – Naprawdę go kocham, Grayson. Wiem, że uważasz mnie za pokręconego, ale poczułem, że go kocham, gdy tylko się pocałowaliśmy. Niech to szlag! Co ja teraz zrobię? – I tłumi szloch ostatnim kielonkiem.

Jane ciągnie mnie za rękaw koszuli, pochylając się w moją stronę.

– Będziemy mieli spory problem, jak mu to wszystko uderzy do głowy.

Przyznaję jej rację, a poza tym Ashland Avenue jest zupełnym koszmarem, więc pora czym prędzej opuścić Kryjówkę.

Odwracam się, by oznajmić Kruchemu, że czas iść, ale on zniknął. Spoglądam na Jane, która patrzy w stronę baru z wyrazem głębokiej troski na twarzy. Wkrótce potem Cooper wraca. Tym razem niesie tylko dwa kieliszki, dzięki Bogu.

– Napij się ze mną – prosi, a ja kręcę głową. Lecz Jane natychmiast szturcha mnie w plecy i uświadamiam sobie, że powinienem przyjąć lufę od Kruchego. Jedynym pewnym sposobem, by powstrzymać przyjaciela od obalenia reszty zielonej jak roztwór plutonu wody, jest wypić ją samemu. Sięgam do kieszeni i podaję Jane kluczyki do samochodu. Podnoszę kieliszek, a Kruchy mówi:

– Pierdolić go, Grayson. Pierdolić wszystkich.

– Wypiję za to – zgadzam się.

I piję, a alkohol wypala mi jamę ustną. Mam wrażenie, że to koktajl Mołotowa – z kieliszkiem włącznie. Odruchowo wypluwam wszystko z dużym rozbryzgiem na koszulę Kruchego Coopera.

– Monochromatyczny Jackson Pollock – komentuje powstałą plamę Jane. – Zmywamy się – oznajmia Kruchemu. – Ta kapela jest jak leczenie kanałowe *sans* znieczulenia.

Wychodzimy, zakładając (słusznie, jak się okazuje), że Kruchy, upstrzony moim strzałem z odpadów nuklearnych, pójdzie w nasze ślady. Ponieważ nie udało mi się przełknąć żadnego alkoholu ufundowanego przez przyjaciela, Jane wysokim łukiem rzuca mi kluczyki. Łapię je i siadam za kółkiem, zanim ona zdąży wpakować się do tyłu. Kruchy bezwładnie opada na siedzenie pasażera z przodu. Przekręcam kluczyk i moja randka z epickim muzycznym rozczarowaniem dobiega końca. Nie mam jednak szans na roztrząsanie swojego zawodu, ponieważ Kruchy cały czas rozpacza z powodu Zacha. Tak to już jest z moim przyjacielem: jego problemy są tak potężne, że twoje chowają się w ich cieniu.

– Jak można się tak okropnie pomylić? – pyta przez skrzekliwy jazgot kawałka

NMH, który Jane lubi najbardziej (a ja najmniej).

Jedziemy wzdłuż Lake Shore i słyszę, że dziewczyna z tyłu podśpiewuje, trochę nie w tonacji, ale na pewno lepiej, niż ja bym to robił w czyjejś obecności, czego jednak nigdy nie robię zgodnie z Zasadą Siedzenia Cicho. Za to Kruchy nie siedzi cicho.

– Jeśli nie możesz polegać na własnej intuicji, to na czym?

– Możesz polegać na założeniu – odpowiadam – że z zasady angażowanie się nie prowadzi do niczego dobrego.

To prawda: zaangażowanie nie prowadzi do nieszczęścia często, lecz zawsze.

– Mam złamane serce – oznajmia mój przyjaciel, jakby nigdy mu się to jeszcze nie przytrafiło. I może w tym właśnie tkwi problem: może każde kolejne zerwanie wydaje mu się tak radykalnie nowym przeżyciem, że w pewnym sensie nie doświadczał go nigdy wcześniej. – A ty ni pomgaszsz – dodaje, dzięki czemu zauważam, że płacze mu się język. Jeśli nie utkniemy w korku, to za dziesięć minut będziemy u niego i zapakujemy nieszczęśnika do łóżka.

Ale niestety tempo jazdy nie dorównuje tempu, w jakim pogarsza się stan Kruchego. Zanim zjeżdżam z Lake Shore – stamtąd zostaje jeszcze sześć minut drogi – on połyka słowa, a do tego zanosi się szloch, bezustannie wałkując tematy Facebooka, śmierci uprzejmego społeczeństwa i tak dalej. Jane głaszcze go po słoniowych ramionach dłońmi o pomalowanych na czarno paznokciach, lecz on nie przestaje rozpaczać. Sheridan rozwija się przed nami powoli, bo nie zdążam na ani jedno zielone światło. Gluty i łyzy mieszają się ze sobą, aż koszulka Kruchego wygląda jak mokry gałgan.

– Daleko jeszcze? – pyta Jane.

– Mieszka za Central – wyjaśniam.

– Jezu – wzdycha. – Spokojnie, Kruchy. Musisz się tylko wyspać, skarbie. Rano wszystko będzie wyglądało trochę lepiej.

W końcu skręcam w boczną alejkę i lawiruję między dziurami, aż dojeżdżamy do powozowni Kruchego. Wyskakuję z auta i składam swoje siedzenie, żeby Jane mogła wysiąść od strony kierowcy. Potem oboje podchodzimy do drzwi pasażera. Jane je otwiera, a następnie, dokonawszy jakiegoś cudu akrobatycznego, sięga do klamry i odpina pas.

– Dobra, Kruchy – mówi. – Czas do łóżka.

– Jestem durniem – odpowiada chłopak i wpada w spazmy, które prawdopodobnie zostają odnotowane na skali Richtera w Kansas. Ale wysiada i idzie wężykiem do tylnych drzwi. Ruszam za nim, żeby się upewnić, czy trafi do łóżka, co okazuje się niezłym pomysłem, ponieważ wcale do niego nie zmierza.

Zamiast tego robi trzy kroki przez salon, po czym zatrzymuje się jak wryty. Odwraca się i gapi, mrużąc oczy, jakby nie widział mnie nigdy wcześniej i nie mógł

zrozumieć, co w ogóle robię w jego domu. Potem ściąga koszulkę. Nadal przygląda mi się ze zdziwieniem, a następnie takim głosem, jakby był trzeźwy jak świnia, oznajmia:

– Trzeba coś zrobić.

– Yyy? – odpowiadam.

– Bo co jeśli skończymy jak ci wszyscy w Kryjówce?

Już mam znowu powiedzieć: „Yyy?”, bo „ci wszyscy” byli o niebo bardziej odjazdowi niż nasi szkolni koledzy i niż my, ale nagle rozumiem, o co mu chodzi. Chce powiedzieć: A co jeśli będziemy dorosłymi ludźmi, czekającymi z nadzieją na zespół, który nie zamierza nigdy wrócić? Kruchy wpatruje się we mnie tępo, kiwając się w przód i tył niczym drapacz chmur na wietrze. A następnie pada na twarz.

– O raju – wzdycha Jane za moimi plecami i dopiero wtedy zauważam, że ona też tu jest. Kruchy z twarzą w dywanie znów zaczyna płakać. Przez dłuższą chwilę patrzę na Jane, a jej usta powoli rozciągają się w uśmiechu. Gdy się uśmiecha, cała jej twarz się zmienia – to unoszący brwi, pokazujący idealne zęby, wywołujący zmarszczki wokół oczu uśmiech, którego albo nigdy do tej pory nie widziałem, albo nigdy nie zauważyłem. Jane staje się ładna tak nagle, że to wręcz zakrawa na magiczną sztuczkę. Ale nie chodzi o to, że mi się podoba, czy coś w tym rodzaju. Nie chcę wyjść na palanta, lecz ona naprawdę nie jest w moim typie. Włosy ma zbyt kręcone i zadaje się głównie z chłopakami. Mój typ jest trochę bardziej dziewczęcy. A właściwie szczerze mówiąc, wcale tak bardzo nie lubię mojego typu dziewczyn, nie wspominając o innych typach. Nie jestem aseksualny – po prostu wszelkie rozterki miłosne wydają mi się absolutnie odpychające.

– Połóżmy go do łóżka – proponuje w końcu Jane – żeby rodzice nie znaleźli go tak rano.

Przyklękam i proszę Kruchego, by wstał, ale on tylko płacze i płacze, więc razem z Jane chwytamy go z lewej strony i przetaczamy na plecy. Wstaję i łapię go mocno pod pachę, Jane robi to samo z drugiej strony.

– Raz – zaczyna odliczać.

– Dwa – mówię ja.

– Trzy! – rzuca Jane i dźwigamy go, stękając z wysiłku.

Ale on ani drgnie. Jane jest dość drobna i widzę, jak się napinają mięśnie na jej szczupłych przedramionach. Ja też nie daję rady ruszyć mojej części Kruchego, więc postanawiamy go tak zostawić. Jeszcze zanim Jane przykrywa go kocem i podkłada mu poduszkę pod głowę, przyjaciel zaczyna głośno chrapać.

Już mamy wyjść, gdy wtem gluty Kruchego w końcu wydostają się na zewnątrz i chłopak zaczyna wydawać dźwięk przypominający chrapanie, tylko bardziej złowieszczy i mokry. Pochyliam się nad jego twarzą i widzę, że wdycha i wydycha obrzydliwe, pniące się pasma śluzu wyprodukowane w trakcie ostatniego

spazmotonu. Jest tego tak dużo, że obawiam się, czy się nie zadławi.

– Kruchy – mówię – musisz wydmuchać nos.

Nie reaguje. Przykładam więc usta do jego ucha i wrzeszczę:

– Kruchy!

Nic. Jane uderza go w twarz, naprawdę całkiem mocno. *Nada*. Tylko koszarne, zasysające gluty chrapanie.

Właśnie wtedy uświadamiam sobie, że Kruchy Cooper nie ma teraz żadnego wpływu na swój nos, co przeczy drugiej części teorematu mojego ojca. I chwilę później na oczach Jane obalam ten teoremat całkowicie, kiedy oczyszczam drogi oddechowe Kruchego z gili. W skrócie: Nie mogę sobie wybrać przyjaciela, on nie może sobie wybrać nosa, ale ja mogę – nie mogę, lecz muszę – wytrzeć go za niego.

¹ GSA – kluby w Ameryce zrzeszające młodzież LGTB i straight. Ich celem jest zwalczanie homofobii w systemie szkolnym. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

2

jestem cały czas rozdarty pomiędzy decyzją, czy zabić siebie, czy też zabić wszystkich wokół.

wydać się, że to jedyne opcje. cała reszta to tylko zabijanie czasu.

zmierzam właśnie przez kuchnię do tylnego wyjścia z domu.

mama: zjedz śniadanie.

nie jem śniadań. nigdy nie jadam śniadań. nie jadam ich, od kiedy po raz pierwszy udało mi się wyjść tylnymi drzwiami bez jedzenia śniadania.

mama: dokąd idziesz?

do szkoły, mam. powinnaś sama tego spróbować.

mama: odgarnij włosy z twarzy. nie widzę twoich oczu.

ależ widzisz, mam, i w tym, cholera, problem.

żał mi jej – naprawdę. straszny przypał, że musiała mnie urodzić. bo nie jest łatwo mieć mnie za syna. nic nie może przygotować człowieka na tego rodzaju rozczarowanie.

ja: pa.

nie mówię „miłego dnia”. uważam, że to jeden z najdurniejszych zwrotów, jakie wymyślono. nie można na przykład powiedzieć „przykrego dnia”, „złego dnia” albo

„mam gdzieś twój dzień”. za każdym razem to musi być miły dzień. ale ja w to nie wierzę. wierzę w coś wręcz przeciwnego.

mama: miłego d–

drzwi zamykają się w połowie słowa, ale chyba się domyślam dalszego ciągu. kiedyś mówiła: „widzimy się później!”, aż pewnego ranka miałem tak dosyć, że jej odpowiedziałem: „nie, nie widzimy się nigdy”.

za bardzo się stara i dlatego to jest takie przykre. chciałbym powiedzieć: „przepraszam cię, naprawdę”. ale to mogłoby zapoczątkować rozmowę, rozmowa mogłaby doprowadzić do kłótni, a potem miałbym takie poczucie winy, że uciekłbym do portland czy gdzieś indziej.

muszę się napić kawy.

co rano modłę się, by szkolny autobus miał wypadek i żebyśmy wszyscy zginęli w płonącym wraku. wtedy mama mogłaby pozwać firmę transportową za to, że nie wyposażyła autobusów szkolnych w pasy, i dostałaby za moją tragiczną śmierć więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zarobię w moim tragicznym życiu. gdyby prawnicy z firmy transportowej nie dowiedli przed sądem, że i tak byłbym kompletnym zerem. wtedy spławiliby mamę używanym fordem fiestą i uznali, iż są kwita.

maura nie czeka na mnie (w sensie dosłownym) przed szkołą, ale wiem, i ona też to wie, że będę się za nią rozglądał. zazwyczaj liczymy na to, że będziemy mogli chociaż uśmiechnąć się do siebie zdawkowo, zanim zaczną się lekcje. jest z nami trochę tak, jak z tymi ludźmi, którzy nawiązują przyjaźń w więzieniu, mimo że nawet by się do siebie nie odezwali w normalnych okolicznościach. chyba tak właśnie jest ze mną i z maurą.

ja: daj trochę kawy.

maura: sam sobie kup cholerną kawę.

i podaje mi swoje kupaccino w rozmiarze XXL z dunkin donuts, a ja wypijam ogromny łyk. gdyby mnie było stać na kawę, przysięgam, że bym ją kupował, ale tymczasem widzę to tak: jej pęcherz nie uważa mnie za dupka, nawet jeśli reszta organów jest innego zdania. tak jest ze mną i z maurą, od kiedy pamiętam, czyli gdzieś od roku. możliwe, że znam ją nieco dłużej, a może nie. w pewnym momencie jej przygnębienie spotkało się z moim zatraceniem i maura uznała, że to dobry mariaż. ja nie jestem tego pewien, ale przynajmniej zyskałem na tym układzie kawę.

derek i simon podchodzą do nas. to dobrze, bo oszczędzi mi to czasu w przerwie obiadowej.

ja: daj zadanie z matmy.

simon: jasne. masz.

dobry kumpel.

rozlega się pierwszy dzwonek. jak wszystkie dzwonki w naszej cudownej instytucji edukacyjnej nie jest to wcale dzwonek tylko długi sygnał, jakby prowokujący, by zostawić po nim wiadomość na poczcie głosowej, że masz najgorszy dzień w życiu. niestety nikt jej nigdy nie wysłucha.

nie mam pojęcia, dlaczego ludzie chcą zostawać nauczycielami. trzeba spędzać całe dnie ze smarkaczami, którzy albo cię nienawidzą, albo ci się podlizują, aby dostać lepsze oceny. po jakimś czasie musisz zrozumieć, że otacza cię grupa ludzi, którzy nie polubiliby cię z żadnego prawdziwego powodu. współczułbym nauczycielom, gdyby nie byli takimi sadystami i frajerami. sadystom chodzi wyłącznie o władzę i kontrolę. uczą, żeby mieć oficjalny pretekst do terroryzowania innych. a znakomita większość pozostałych to frajerzy, począwszy od tych, którzy są zbyt niekompetentni, by robić cokolwiek innego, po tych, którzy chcą przyjaźnić się ze swoimi uczniami, ponieważ kiedy sami byli jeszcze uczniami, nie mieli w szkole żadnych przyjaciół. i są jeszcze ci, którzy szczerze wierzą, że po egzaminach końcowych zostanie nam w głowach choć słowo z ich nauk. spoko.

co jakiś czas trafia się też nauczyciel taki jak pani grover, która jest sadystyczną frajerką. to pewnie niełatwe być nauczycielką francuskiego, ponieważ tak naprawdę nikt nie chce się uczyć tego języka. zatem ona całuje prymusów w *derrieres*, a do zwykłych uczniów ma pretensje, że zabierają jej czas. odreagowuje, robiąc nam codziennie kartkówki i zadając pedalskie projekty takie jak „zaprojektuj własną atrakcję w eurodisneylandzie”. a potem udaje całą zdziwioną, gdy mówię coś w rodzaju „moja atrakcja w disneylandzie to minnie używająca dildo, żeby się zabawić z mikim”. ponieważ nie mam pojęcia, jak jest dildo po francusku (*dildot?*), mówię po prostu „dildo”, a ona udaje, że nie wie, o co mi chodzi, i stwierdza, że minnie i miki jedzący bagietki to nie atrakcja. zapewne wstawi mi pałę. wiem, że powinienem się tym przejąć, ale naprawdę trudno wyobrazić sobie coś, co obchodziłoby mnie jeszcze mniej niż ocena z francuskiego.

jedyna warta zachodu rzecz, którą robię przez całą godzinę lekcyjną – a dokładniej przez całe rano – to gryzmolenie w zeszycie *isaac, isaac, isaac*. potem rysuję

spidermana, który wymawia to imię pisane pajęczyną. kompletny obciach, ale nic mnie to nie obchodzi. nie robię tego, by się popisać.

w stołówce siedzę z simonem i derekiem. zachowujemy się jak podróżni w poczekalni. co jakiś czas któryś coś mówi, ale głównie ograniczamy się do przestrzeni wyznaczonej przez obrys naszych krzeseł. czasami czytamy czasopisma. jeśli ktoś podejdzie, podnosimy wzrok. ale nie zdarza się to często.

ignorujemy większość przechodzących osób, nawet te, które powinny budzić nasze zainteresowanie. choć derek i simon nie za bardzo emocjonują się dziewczynami. wolą komputery.

derek: myślicie, że oprogramowanie do X18 wyjdzie przed wakacjami?

simon: czytałem na blogu trust mastera, że to możliwe. super by było.

ja: dzięki za zadanie domowe.

patrzac na chłopaków i dziewczyny przy innych stolikach, zastanawiam się, co mogą mieć sobie do powiedzenia. wszyscy oni są tacy nudni, a próbują to tuszować, gadając zdecydowanie zbyt głośno. wolę posiedzieć osobno i coś zjeść.

mam taki rytuał: gdy dochodzi druga, zaczynam się cieszyć, że szkoła dobiega końca. tak jakbym zakładał, że jeśli dotrwam do tego momentu, mogę wziąć wolne na resztę dnia.

dzisiaj ten moment wypada na matmie, na której maura siedzi obok mnie. już w październiku odkryła, co robię, więc teraz codziennie o drugiej podaje mi liścik z kilkoma słowami. na przykład „gratulacje” albo „możemy już iść?”, lub też „jeśli ta lekcja się zaraz nie skończy, rozplątam sobie czaszkę”. wiem, że powinienem jej odpisywać, ale zazwyczaj tylko kiwam głową. podejrzewam, że chciałaby umówić się ze mną na randkę czy coś w tym rodzaju, i nie wiem, co począć z tym fantem.

wszyscy w naszej szkole mają jakieś zajęcia pozalekcyjne.

moim jest pójście do domu.

czasami chwilę jeżdżę na desce po parku, ale nie w lutym, nie na tym lodowatym wygwizdowie na przedmieściach chicago (znanym miejscowym jako naperville). gdybym tam teraz poszedł, odmroziłbym sobie jajka. nie żebym jakoś miał z nich korzystać, ale mimo wszystko wolę je mieć, tak na wszelki wypadek.

poza tym mam lepsze rzeczy do roboty, niż słuchać, jak bumelanci z college’u mówią mi, kiedy będę mógł wjechać na rampę (zazwyczaj... nigdy), albo

znosić pogardliwe spojrzenia skatepunków z naszej szkoły, bo nie jestem dość równy, by z nimi pić i palić, ani też by być straightedge[2]. jeśli o nich chodzi, to jestem bezideowy. kiedy skończyłem dziewiątą klasę, przestało mi zależeć, by dostać się do ich elity, która udaje, że nie jest elitą. deska nie jest sensem mojego życia.

lubię mieć dom dla siebie, gdy do niego wracam. jeśli mamy nie ma, nie muszę czuć wyrzutów sumienia, że ją ignoruję.

najpierw kieruję się do komputera i sprawdzam, czy isaac jest on-line. nie ma go, więc robię sobie kanapkę z serem (jestem zbyt leniwy, żeby ją zapiec), a potem trzępię gruchę. zajmuje mi to jakieś dziesięć minut, nie żebym mierzył sobie czas.

kiedy wracam, isaaca nadal nie ma. jest jedyną osobą na mojej „liście znajomych”, co jest najgłupszą możliwą nazwą dla listy. czy my mamy po trzy lata?

ja: hej, isaac, chcesz być moim znajomym?

isaac: pewnie, stary! chodźmy razem na ryby!

isaac wie, że te rzeczy wydają mi się totalnie durne, i ma o nich takie samo zdanie. tak jak lol[3]. jeśli istnieje coś głupszego od listy znajomych, to tylko lol. gdyby ktoś kiedyś tak się do mnie zwrócił, wyrwałbym komputer z gniazdka i roztrzaskał go na najbliższej głowie. przecież nikt się nie śmieje w głos z rzeczy, które loluje. powinno się to wymawiać „łół”, jak dźwięk wydawany przez pacjentów po lobotomii. łół. łół. nie umiem już myśleć. łół.

albo ttyl[4]. kurna, przecież nie gadasz. to wymaga kontaktu głosowego. czy też <3. sądzisz, że to przypomina serce? jeśli tak, to wyłącznie dlatego, że nigdy nie widziałeś moszny.

(rof[5]! co? naprawdę tarzasz się po podłodze ze śmiechu? to proszę nie wstawaj przez chwilę, aż ci nakopię do dupy).

musiałem powiedzieć maurze, że przez mamę postanowiłem zrezygnować z komunikatora internetowego, bo przyjaciółka pojawiała się za każdym razem, gdy próbowałem coś zrobić.

gothblood4567: co tam?

finalwill: pracuję.

gothblood4567: nad czym?

finalwill: nad listem samobójczym. nie wiem, jak go zakończyć.

gothblood4567: lol.

zabiłem więc swojego nicka i zmartwychwstałem pod innym. zna go tylko isaac i niech tak pozostanie.

sprawdzam skrzynkę mailową, w której jest głównie spam. chciałbym wiedzieć, czy naprawdę gdzieś na świecie jest ktoś, kto dostaje mail od hlyywkrrs@hothotmail.com, czyta go i mówi do siebie: „wiecie co, naprawdę chcę powiększyć swojego penisa o 33%, a osiągnę to, wysyłając 69,99\$ do tej miłej pani ileny w VIRILITY MAXIMUS CORP przez ten bardzo pomocny link!”. jeżeli ludzie rzeczywiście się nabierają, to nie o swoje penisy powinni się martwić.

ktoś przysłał mi zaproszenie do grona znajomych na facebooku, więc usuwam je, nawet nie sprawdzając profilu, bo to nie jest naturalne. bo przyjaźń nie powinna być taka łatwa. tak jakby ludzie wierzyli, że wystarczy lubić te same zespoły, żeby być pokrewnymi duszami. albo książki. *omg... lubisz wyrzutki 2... jesteśmy identyczni!* wcale nie jesteśmy. mamy tylko tego samego belfra od angielskiego, a to pewna różnica.

jest prawie czwarta, isaac zazwyczaj o tej porze jest już w sieci. ustalam sobie durny system nagród za zadanie domowe – *jeżeli sprawdzę, w którym roku majowie wynaleźli wykałaczki, będę mógł zobaczyć, czy isaac się pojawił. a potem jeśli przeczytam kolejne trzy akapity o znaczeniu ceramiki w kulturach prymitywnych, będę mógł sprawdzić konto na yahoo. i w końcu jeśli udzielę odpowiedzi na wszystkie trzy pytania kontrolne, a isaaca nadal nie będzie, znów będę się masturbował.*

jestem dopiero w połowie odpowiedzi na pierwsze pytanie, dotyczące jakichś bzdur na temat tego, dlaczego piramidy majów są o wiele fajniejsze niż egipcjan, kiedy szukam, zerkam na listę znajomych i widzę, że pojawiło się tam imię isaaca. już mam pomyśleć: dlaczego nie dał mi znać?, kiedy okienko powiadomienia wyskakuje na ekranie. jakby czytał w moich myślach.

boundbydad: jesteś tam?

grayscale: tak!

bounbydad: :-)

grayscale: :-) x 100

boundbydad: myślałem o tobie przez cały dzień

grayscale: ???

boundbydad: tylko dobre rzeczy

grayscale: to fatalnie :-)

boundbydad: zależy co się uważa za dobre :-):-)

tak było od początku. po prostu swobodnie. najpierw byłem trochę zdeorientowany jego nickiem[6], ale szybko mi wyjaśnił, że to przez imię isaac, bo ostatecznie ojciec postanowił zabić ją, nie zamiast mnie było za długie na dobrego nicka. zapytał mnie o mojego poprzedniego nicka, finalwill, a ja mu wyjaśniłem, że mam na imię will, i tak się zaczęła nasza znajomość. byliśmy w jednym z tych dennych chatroomów, w których co dziesięć sekund zapada kompletna cisza, dopóki znów nie padnie pytanie „jest tu ktoś?”, a inni odpowiadają: taa, jasne, jaha, nie dodając nic więcej. niby miało to być forum pewnego piosenkarza, którego wtedy lubiłem, ale nie mieliśmy o nim wiele do powiedzenia poza tym, które kawałki ma lepsze, a które gorsze. było naprawdę nudno, ale tak właśnie poznaliśmy się z isaakiem, więc pewnie zaprosimy tego piosenkarza, żeby wystąpił na naszym weselu. (to wcale nie jest zabawne.)

już po niedługim czasie wymienialiśmy się zdjęciami, muzą i narzekaliśmy, że wszystko jest do bani, ale o ironio, kiedy o tym mówiliśmy, świat przestawał być tak bardzo do bani. oczywiście poza tym etapem na końcu, kiedy trzeba było wracać do realu.

to takie niesprawiedliwe, że on mieszka w ohio, bo to wcale nie jest tak daleko, ale ponieważ żaden z nas nie ma prawa jazdy, a za nic na świecie nie poprosi mamy: „hej, mogłabyś mnie zawieźć na drugi kraniec indiany na spotkanie z chłopakiem?”, utknęliśmy w martwym punkcie.

grayscale: czytam o majach.

boundbydad: angelou?

grayscale: ???

boundbydad: nieważne. my ominęliśmy majów. przerabiamy teraz tylko „amerykańską” historię.

grayscale: ale oni przecież żyli w ameryce.

boundbydad: nie według mojej szkoły. <jęczy>

grayscale: to kogo dzisiaj prawie zabiłeś?

grayscale: „zabiłeś” oznacza „chciałeś, by zniknął”, na wypadek gdyby naszą rozmowę monitorował admin...

boundbydad: potencjalna liczba ciał: jedenaście. dwanaście, jeśli liczyć kota.

grayscale: ...albo służby bezpieczeństwa.

grayscale: cholerny kot!

boundbydad: cholerny kot!

nie wspominałem nikomu o isaacu, bo to wyłącznie moja sprawa. podoba mi się, że on zna wszystkich, a jego nie zna nikt. gdybym miał przyjaciół, z którymi mógłbym szczerze porozmawiać, powodowałoby to pewien konflikt. ale ponieważ obecnie wszyscy, którzy zechcieliby przyjść na mój pogrzeb, zmieściliby się w jednym samochodzie, to jest okay.

niestety isaac musi kończyć, ponieważ właściwie nie powinien korzystać z kompa w sklepie muzycznym, w którym pracuje. na moje szczęście zdaje się, że nie ma tam wielkiego ruchu, a jego szef jest chyba dilerem narkotyków, czy kimś takim, bo ciągle zostawia isaaca samego i idzie „spotkać się z pewnymi ludźmi”.

odchodzę od kompa i szybko kończę lekcje. potem idę do salonu i włączam *prawo i porządek*, ponieważ jedyne, na co mogę w życiu liczyć, to to, że zawsze, gdy włączę telewizor, będzie leciał jakiś odcinek *prawa i porządku*. dziś jest o facecie, który dusi jedną blondynę po drugiej, i choć właściwie jestem pewien, że widziałem ten odcinek już jakieś dziesięć razy, oglądam go, jakbym nie miał pojęcia, iż atrakcyjna reporterka, z którą koleś rozmawia, zaraz skończy ze sznurem od zasłon na szyi.

opuszczam ten fragment, bo jest naprawdę głupi, ale gdy już policja łapie gościa i rozpoczyna się proces, robi się spoko.

prawnik: koleś, mały fragment twojej skóry został na sznurze, kiedy ją dusiłeś. zbadaliśmy go pod mikroskopem, więc jesteś totalnie udupiony.

gość oczywiście żałuje, iż nie włożył rękawiczek, ale one pewnie zostawiłyby mikroskopijne włókna, więc i tak byłby totalnie udupiony. odcinek się kończy i zaczyna się następny. wydaje mi się, że go jeszcze nie oglądałem, dopóki pewien celebryta nie przejeżdża hummerem dziecka i myślę: a, to ten, w którym celebryta przejeżdża hummerem dziecko. i tak go oglądam, bo nie mam nic lepszego do roboty. potem wraca mama i my też mamy powtórkę odcinka.

mama: jak ci minął dzień?

ja: mam, oglądam film.

mama: będziesz mógł zjeść obiad za piętnaście minut?

ja: mam, oglądam film!

mama: dobrze, nakryj do stołu w przerwie na reklamę.

ja: DOBRA.

zupełnie tego nie czuję – czy może być coś nudniejszego i bardziej żalosnego niż nakrywanie do stołu tylko dla nas dwojga? z tymi wszystkimi serwetkami, widelcami do sałatki i tak dalej. kogo ona oszukuje? oddałbym wszystko, żeby nie spędzić następnych dwudziestu minut, siedząc naprzeciwko niej, ponieważ ona nie uznaje ciszy. nie, musi ją wypełniać gadaniem. chcę jej powiedzieć, że po to słyszy się głos w głowie, by móc czasami milczeć. ale ona nie chce być ze swoimi myślami, jeśli ich nie wypowiada.

mama: jeżeli mi się dziś poszczęści, może wpadnie nam kilka dodatkowych dolarów na kupno samochodu.

ja: naprawdę nie musisz tego robić.

mama: nie wygłupiaj się. mam dzięki temu powód, by wybrać się na babskiego pokera.

naprawdę chciałbym, żeby już odpuściła. dużo gorzej niż ja znosi fakt, że nie mam samochodu. przecież nie jestem palantem, który sądzi, że gdy tylko skończy siedemnaście lat, ma dane od Boga prawo do nowiutkiego chevroleta na podjeździe. wiem, jak wygląda nasza sytuacja, i wiem, że mamie nie podoba się, iż muszę pracować w weekendy w cvs, abyśmy mogli sobie pozwolić na zakupy w tym samym cvs. ale jej ciągle przygnębienie z tego powodu nie poprawia mi wcale nastroju. i oczywiście prócz finansowego ma jeszcze inny powód do gry w pokera. potrzebuje towarzystwa przyjaciół.

pyta, czy zażyłem lekarstwa, zanim wyszedłem rano, a ja odpowiadam, że owszem, bo czyż nie utopiłbym się już w wannie, gdybym ich nie wziął? nie podoba jej się to, więc mówię, że to tylko żart, i notuję w pamięci, że matki nie są najlepszymi adresatkami humoru medycznego. postanawiam, że nie dam jej na dzień matki bluzy z napisem: „najlepsza na świecie matka depresyjnego popaprańca”, jak planowałem. (no dobra, nie ma takiej bluzy, ale gdyby istniała, widniałyby na niej kociaki chowające pazury).

prawda jest taka, że myślenie o depresji działa na mnie megadepresyjnie, więc znów wracam do salonu i oglądam kolejny odcinek *prawa i porządku*. isaac nigdy nie siada do kompa przed ósmą, więc czekam. dzwoni do mnie maura, ale nie mam energii, żeby jej opowiadać cokolwiek poza streszczeniem tego, co się dzieje w *prawie i porządku*, a ona nie znosi, gdy to robię. pozwalam więc, by zgłosiła się za mnie poczta głosowa.

ja: tu will. po co do cholery do mnie dzwonis? zostaw wiadomość, może oddzwonię. [bip]

maura: hej, frajerze. dzwonię z nudów. pomyślałam, że jeśli nie masz nic do roboty, mogłabym ci urodzić dzieci. no, ale cóż... chyba zadzwonię do józefa i poproszę, żeby mnie przeleciał w żłóbku i spłodził kolejne święte dzieciątko.

zanim zaczyna mi się chcieć, robi się prawie ósma. ale nawet wtedy nie chce mi się na tyle bardzo, by do niej oddzwonić. tak to już między nami jest z tym oddzwanianiem, że rzadko nam się udaje. zamiast tego siadam przed kompem i zamieniam się w małą dziewczynkę, która po raz pierwszy ujrzała tęczę. jestem podekscytowany, zdenerwowany, pełen nadziei i stęskniony. zabraniam sobie

sprawdzać obsesyjnie listy znajomych, ale równie dobrze mogłaby się wyświetlać pod moimi powiekami. o 8.05 pojawia się jego imię i zaczynam odliczać. dochodzę tylko do dwunastu, kiedy wyświetla się wiadomość:

boundbydad: witam!

grayscale: i pozdrawiam!

boundbydad: cieszę się, że tu jesteś.

grayscale: i ja się z tego cieszę

boundbydad: dzisiaj w pracy = najślabszy dzień w życiu. jedna dziewczyna próbowała kraść i nawet nie robiła tego dyskretnie. kiedyś miałem trochę sympatii dla złodziei sklepowych.

boundbydad: ale teraz życzę im tylko, żeby trafili za kratki. kazałem jej odłożyć towar na półkę, a ona udawała całą zdziwioną: „jaki towar?”, więc wyciągnąłem jej płytę z kieszeni. a co ona na to? „och”.

grayscale: nawet nie przeprosiła?

boundbydad: nie.

grayscale: dziewczyny są do bani.

boundbydad: a chłopaki to anioły? :-)

tak sobie gawędzimy przez godzinkę. chciałbym z isaakiem porozmawiać przez telefon, ale rodzice nie pozwalają mu na komórkę, a moja mama czasami sprawdza rejestr połączeń, kiedy biorę prysznic. ale i tak jest miło. to jedyny fragment mojego dnia, gdy czas ma jakąś wartość.

jak zwykle poświęcamy dobre dziesięć minut na pożegnania.

boundbydad: naprawdę muszę już lecieć.

grayscale: ja też.

boundbydad: ale nie chcę.

grayscale: ja też nie.

boundbydad: jutro?

grayscale: jutro!

boundbydad: dobrej nocy.

grayscale: tobie też.

to niebezpieczne, ponieważ z zasady nie pozwalałam sobie na życzenia. gdy byłem dzieckiem, zbyt wiele razy składałem ręce, zaciskałem powieki i cały się oddawałem nadziei na coś. nawet uważałem, że są w moim pokoju miejsca lepsze i gorsze do wypowiadania życzeń – pod łóżkiem było okay, ale na łóżku już nie; w szafie było dobrze, jeśli trzymałem na kolanach pudełko po butach z kartami bejsbolowymi. nigdy, przenigdy przy biurku, ale zawsze przy otwartej szufladzie na skarpety. nikt mi nie podpowiadał tych zasad – sam je sobie opracowałem. potrafiłem spędzać całe godziny na wypowiadaniu jednego życzenia. i za każdym razem natykałem się na mur absolutnej obojętności. czy chodziło o kupno chomika, czy o to, by moja mama przestała płakać. szuflada na skarpety była otwarta, a ja siedziałem za skrzynią na zabawki z trzema figurkami w dłoni i matchboxem w drugiej. nigdy nie miałem nadziei, że ogólnie wszystko będzie lepiej – chciałem tylko jednej rzeczy. i nigdy się nie udawało. w końcu spasowałem. i pasuję każdego kolejnego dnia.

ale nie z isaakiem. czasami przeraża mnie, że tak bardzo pragnę, by nam się udało. później tego wieczoru dostaję mail.

mam wrażenie, że moje życie się rozlatuje. jakby zamieniło się w podartą na strzępy kartkę papieru, a ktoś włączył wiatrak. ale gdy z tobą rozmawiam, czuję, że wiatrak jest przez chwilę wyłączony. jakby wszystko miało jednak sens. składasz mnie w całość i jestem ci za to bardzo wdzięczny.

BOŻE, JESTEM TAKI ZAKOCHANY.

2 sXe, subkultura ruchu punkowego, której członkowie wyrzekają się spożywania wszelkich używek i okazywania skłonności do nihilizmu.

3 *Laughing out loud* (ang.) – Śmiejąc się głośno.

4 *Talk to you later* (ang.) – Pogadamy później.

5 *Rolling on floor laughing* (ang.) – Tarzając się ze śmiechu po podłodze.

6 *Bound by dad* (ang.) – Związany przez tatę.

3

Przez tydzień nic się nie dzieje. Nie w przerośnię, nie chodzi o to, że brak mi jakichś doniosłych wydarzeń. Chodzi o to, że zupełnie nic się nie dzieje. Totalna stagnacja. I jest bosko, prawdę mówiąc.

Jest pobudka, prysznic, droga do szkoły, cud Kruchego Coopera ze szkolną ławką, na każdej lekcji żalosne zerkanie na zegarek z Kids Meal Magic z Burger Kinga (z tarczą ozdobioną rysunkiem autobusu szkolnego), ulga po dzwonku na ósmą lekcję, powrót do domu, odrabianie zadań, obiad, rodzice, zamykanie drzwi na klucz, dobra muza, Facebook, sprawdzanie aktualizacji statusu innych bez uaktualniania własnego, ponieważ zasada siedzenia cicho obejmuje też komunikację pisaną, a potem łóżko, pobudka, prysznic i znowu szkoła. Nie przeszkadza mi to. Jeśli chodzi o styl życia, zdecydowanie wolę cichy i rozpaczliwy od radykalnego i dwubiegunowego.

W czwartek po południu kiedy wracam do domu, dzwoni do mnie Kruchy i coś niestety zaczyna się dziać. Mówię: „Cześć”, a on w ramach powitania oznajmia:

- Powinieneś przyjść jutro na spotkanie GSA.
- Nie bierz tego do siebie – odpowiadam – ale nie przepadam za stowarzyszeniami. Znasz moje podejście do zajęć ponadprogramowych.
- Nie znam – zaprzecza.
- No, jestem im ogólnie przeciwny – wyjaśniam. – Wystarczają mi zajęcia programowe. Słuchaj, muszę kończyć. Mama próbuje się do mnie dodzwonić.

Rozłączam się. To nieprawda, ale chcę skończyć, bo nie mogę pozwolić, żeby mnie namówił.

Ale Kruchy dzwoni ponownie.

- Zależy mi na tym, abyś przyszedł – oznajmia – bo musimy zwiększyć liczbę członków. Fundusze od szkoły zależą częściowo od frekwencji na spotkaniach.
- Po co ci kasa od szkoły? Masz własny dom.
- Potrzebujemy jej, żeby wystawić *Kruchego tancerza*.

– O. Mój. Dobry. Boże – wzdycham, bo *Kruchy tancerz* to musical napisany przez mojego przyjaciela. Przedstawia ubarwioną historię życia Kruchego, tyle że śpiewaną, i jest to – a zazwyczaj nie nadużywam tego przymiotnika – najbardziej gejowski musical w historii ludzkości. To chyba wiele wyjaśnia. Ale mówiąc gejowski, nie sugeruję, że jest kiepski. Jest po prostu gejowski. Właściwie to – jak na musical – jest całkiem niezły. Melodie wpadają w ucho. Najbardziej podoba mi się kawałek *Wiecie, czemu geje się cały czas czepiają*, w którym znajduje się pamiętny dwuwiersz: „Szatnia to dla mnie żadne porno/ bo wasza cera to prawdziwy horror”.

– No co? – jęczy Kruchy.

– Obawiam się, że to może – jak to niedawno ujął Gary – „zrobić niedobrze naszej sprawie” – wyjaśniam.

– Właśnie takie kwestie powinniśmy poruszyć na jutrzejszym spotkaniu! – odpowiada Kruszyna z ledwie cieniem rozczarowania w głosie.

– Przyjdę – postanawiam i się rozłączam. Znów dzwoni, ale nie odbieram, bo siedzę na Facebooku i sprawdzam jego profil, przewijając listę 1 532 znajomych, z których każdy kolejny jest przystojniejszy i modniejszy od poprzedniego. Staram się rozgryźć, kto dokładnie należy do GSA, i czy dałoby się z tych ludzi stworzyć odpowiednio nieirytującą Paczkę Przyjaciół. Ale z tego, co widzę, nadawaliby się tylko Gary, Nick i Jane. Zerkam na maleńkie zdjęcie profilowe Jane, na którym na lodowisku obejmuje ramieniem jakąś maskotkę wielkości człowieka.

I w tym momencie dostaję od niej zaproszenie do znajomych. Kilka sekund później akceptuję je i otrzymuję wiadomość.

Jane: Hej!

Ja: Hej.

Jane: Sorki, chyba niewłaściwie użyłam wykrzyknika.

Ja: Ha. Wporzo.

Sprawdzam jej profil. Katalog ulubionych zespołów i książek jest obscenicznie obszerny. Udaje mi się przejrzeć tylko listę muzyczną na literę A i się poddaję. Jane wygląda ładnie na zdjęciach, ale nie tak jak w rzeczywistości – fotografie nie oddają jej prawdziwego uśmiechu.

Jane: Słyszałam, że Kruchy rekrutuje cię do GSA.

Ja: Rzeczywiście.

Jane: Powinieneś przyjść. Potrzebujemy członków. Taka jest żałosna rzeczywistość.

Ja: Taa, chyba się pojawię.

Jane: Super. Nie wiedziałam, że masz Facebooka. Zabawny profil. Podoba mi się „Zajęcia: powinny wymagać używania okularów przeciwsłonecznych”.

Ja: Masz więcej ulubionych zespołów niż Kruchy byłych chłopaków.

Jane: No, cóż. Jedni mają życie, inni mają muzykę.

Ja: A jeszcze inni ani tego, ani tego.

Jane: Rozchmurz się, Will. Będziesz najseksowniejszym heteroseksualnym facetem w GSA.

Mam nieodparte wrażenie, że to flirt. Nie zrozumcie mnie źle. Lubię flirtować jak każdy, zakładając, że każdy co rusz musi być świadkiem tego, jak miłość rozdziera na strzępy jego najlepszego przyjaciela. Lecz nic tak bardzo nie gwałci zasad siedzenia cicho i nieprzejmowania się jak flirt – może poza tym czarująco potwornym momentem, gdy flirt doprowadza do przypieczętowania złamanego serca pocałunkiem. Właściwie powinna istnieć trzecia zasada: 1. Siedź cicho. 2. Nie przejmuj się. No i 3. Nigdy nie całuj dziewczyny, która ci się podoba.

Ja, po chwili: Ilu jest heteroseksualnych facetów w GSA?

Jane: Tylko ty.

Piszę *lol* i czuję się jak kretyn, że podejrzewałem ją o flirt. Jane jest po prostu bystrą, dowcipną dziewczyną o zbyt kręconych włosach.

I tak o wpół do czwartej następnego popołudnia, kiedy rozbrzmiewa dzwonek po ósmej lekcji, przez nanosekundę czuję endorfiny buzujące w moim ciele, co zazwyczaj oznacza, że udało mi się przetrwać kolejny dzień w szkole bez zbędnych komplikacji. Ale wtedy przypominam sobie, że ten dzień się jeszcze nie skończył.

Włokę się na górę, podczas gdy cała reszta świata pędzi na dół na spotkanie weekendu.

Idę do sali 204A. Otwieram drzwi. Jane w jasnożółtej koszulce siedzi na stole odwrócona tyłem do wejścia i trzyma nogi na krześle. Sposób, w jaki się pochyła, sprawia, że widać fragment jej pleców nad spodniami.

Kruchy Cooper leży wyciągnięty na cienkim dywanie z plecakiem pod głową. Ubrał się w obcisłe džinsy, które wyglądają jak denimowe osłonki na parówki. W obecnej chwili całe GSA składa się wyłącznie z naszej trójki.

– Grayson! – wita mnie przyjaciel.

– Czy to spotkanie klubu Homoseksualizm To Obrzydliwość?

Kruchy wybucha śmiechem. Jane nadal siedzi odwrócona i czyta. Mój wzrok znów spoczywa na jej plecach, bo gdzieś musi spocząć.

– Czyżbyś zrezygnował ze swojego aseksualizmu? – pyta Kruchy.

Jane odwraca się, gdy rzucam spojrzenie przyjacielowi i mamrocę:

– Nie jestem aseksualny, tylko auczuciowy.

– To prawdziwa tragedia, zgodzisz się? – zwraca się Kruchy do Jane. – Jedyna zaleta Graysona to urok osobisty, a mimo to chłopak nie chce chodzić na randki.

Cooper lubi się ze mną drażnić. Robi to dla czystej przyjemności wkurzania mnie. I udaje mu się to.

– Zamknij się – warczę.

– Nie kumam tego – ciągnie. – Nie obraż się, Grayson, ale nie jesteś w moim typie. A. przykładasz niewystarczającą wagę do kwestii higieny i B. wszystkie twoje atuty akurat do mnie nie przemawiają. Chociaż, Jane, możemy się chyba zgodzić, że Grayson ma ładne ramiona.

Jane wygląda na lekko spanikowaną, więc ruszam jej z odsieczą, żeby nie musiała odpowiadać.

– Podrywasz mnie w przedziwny sposób, Kruchy.

– Nigdy bym cię nie podrywał, bo nie jesteś gejem. A chłopcy, którzy lubią dziewczyny, nie są w najmniejszym stopniu pociągający. Po co miałbym się interesować kimś, kto nie odwzajemni moich uczuć?

Pytanie jest retoryczne, ale gdybym nie musiał siedzieć cicho, odrzekłbym: Interesujesz się kimś, kto nie może odwzajemnić twoich uczuć, bo nieodwzajemnioną miłość łatwiej przeżyć niż odwzajemnioną.

Po chwili Kruchy dodaje:

– Chciałem tylko powiedzieć, że dziewczyny hetero uważają go za przystojnego.

I w tym momencie uświadamiam sobie cały bezmiar tego absurdu. Kruszyna sprowadził mnie na spotkanie GSA, żeby wyswatać mnie z dziewczyną.

Co oczywiście jest idiotyczne w sposób tak złożony i wielowymiarowy, że mógłby to zinterpretować tylko nauczyciel literatury. W końcu Kruchy milknie, a ja zerkam na zegarek i zastanawiam się, czy tak właśnie będzie wyglądało spotkanie GSA. Może nasza trójka będzie siedziała przez godzinę w ciszy, tylko Cooper będzie co

jakiś czas wprowadzał toksyczną atmosferę swoimi niewybrednymi komentarzami, a na koniec obejmujemy się wszyscy i zawołamy: „Geje górą!” czy coś w ten deseń. Ale wówczas pojawiają się Gary, Nick, jacyś kolesie, których niejasno kojarzę, dziewczyna ostrzyżona na chłopczycę i ubrana w ogromną koszulkę z napisem RANCID, która sięga jej prawie do kolan, oraz nauczyciel angielskiego, pan Fortson, z którym nigdy nie miałem lekcji, więc może dlatego uśmiecha się do mnie ciepło.

– Panie Grayson – mówi – miło, że pan przyszedł. Podobał mi się pański list do gazety sprzed kilku tygodni.

– To największy błąd w moim życiu – odpowiadam.

– A to dlaczego? – dziwi się nauczyciel.

W rozmowę wtrąca się Kruchy.

– To długa historia dotycząca siedzenia cicho i nieprzejmowania się. – Tylko kiwam głową. – O mój Boże, Grayson – dodaje mój przyjaciel scenicznym szeptem – wspominałem ci o tym, co powiedział Nick? – Myślę gorączkowo: „Nick, Nick, Nick, kim, do cholery, jest Nick?”. I nagle mój wzrok spoczywa na Nicku, który nie siedzi obok Gary’ego, i to jest Dowód A, oraz trzyma głowę ukrytą w ramionach, co jest Dowodem B.

– Powiedział, że mógłby ze mną być – objawia Kruchy. – To jego własne słowa. „Mógłbym z tobą być”. Czy to nie najfantastyczniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałeś?

Na podstawie tonacji jego głosu nie potrafię stwierdzić, czy chodzi mu o fantastycznie absurdalną czy fantastycznie wspaniałą, więc tylko wzruszam ramionami.

Nick mruczy z głową na biurku:

– Kruchy, nie teraz.

Gary z westchnieniem przeczesuje włosy palcami.

– Ta twoja poliamoria nie jest dobra dla sprawy.

Pan Fortson ucisza nas stukaniem drewnianego młotka. Prawdziwego młotka. Biedny pajac. Zapewne na studiach nie przypuszczał, że młotek będzie elementem jego kariery zawodowej.

– Dobrze, mamy dzisiaj ośmioro uczestników. To wspañiale, kochani! Pierwszy temat do omówienia to musical *Kruczy tancerz*. Musimy zdecydować, czy prosimy szkołę o fundusze na przedstawienie, czy wolimy się skoncentrować na innych kwestiach, takich jak edukacja, uświadamianie i tak dalej.

Kruczy siada prosto i oznajmia:

– *Kruczy tancerz* to kwintesencja edukacji i uświadamiania.

– Jasne – prycha sarkastycznie Gary. – Uświadamianie i edukowanie na temat Kruchego Coopera.

Chłopaki siedzące obok niego rżną kpiąco i zanim zdążam się zastanowić, mówię:

– Hej, Gary, nie bądź palantem.

Ponieważ nie potrafię nie stanąć w obronie Kruchego.

– Ludzie będą się nabijali – odzywa się Jane. – To jasne jak słońce. I co z tego? Musical jest szczery. Jest zabawny, trafny i nie ma w nim bzdetów. Ukazuje gejów jako pełne, skomplikowane osoby, mające więcej problemów niż tylko: „Ojejku, muszę wyznać tatusiowi, że wolę chłopców, i ojejku, jakie to trudne”.

Gary wznosi oczy do góry i wypuszcza powietrze przez usta, jakby wydychał dym.

– Racja. Ty na pewno wiesz, jakie to trudne – mówi do Jane – bo przecież jesteś... och, chwila. Ty nie jesteś homo.

– To nieistotne – odpiera atak dziewczyna.

Spoglądam na nią. Jane rzuca Gary’emu wymowne spojrzenie, gdy pan Fortson rozwodzi się nad tym, że nie można nawiązywać sojuszków wewnątrz sojuszu, bo to zaprzecza idei sojuszu. Zastanawiam się, ile razy uda mu się użyć słowa „sojusz” w jednym zdaniu, kiedy Kruchy przerywa jego wywód pytaniem:

– Hej, Jane, jesteś hetero?

Dziewczyna kiwa głową, nie podnosząc wzroku, i odpowiada niewyraźnie:

– No raczej tak.

– Powinnaś umówić się z Graysonem – stwierdza mój przyjaciel. – On uważa, że jesteś świetna.

Gdybym stanął na wadze w pełnym ubraniu nasiąkniętym wodą, trzymając w dłoniach pięciokilowe ciężarki, a na głowie stos książek w twardych okładkach, ważyłbym około osiemdziesięciu dwóch kilogramów, czyli w przybliżeniu tyle, co lewy triceps Kruchego Coopera. Jednak w tej chwili mógłbym stłuc go na kwaśne jabłko. I zrobiłbym to, przysięgam na Boga, gdybym nie był tak zajęty staraniami, by rozplątać się w powietrzu.

Siedzę i myślę: Boże, przysięgam, że złożę śluby milczenia, zamieszkać w klasztorze i będę cię czcił do końca moich dni, jeśli tylko dasz mi teraz czapkę niewidkę, teraz, teraz, proszę, proszę, czapka niewidka, już, już, już. Bardzo możliwe, że Jane myśli o tym samym, ale nie mam pewności, ponieważ ona też się nie odzywa, a nie mogę na nią spojrzeć, bo oślepia mnie wstyd.

Spotkanie trwa kolejne pół godziny i w tym czasie nie odzywam się, nie ruszam i nie reaguję na żadne bodźce. Wydaje mi się, że Nick jakoś łagodzi konflikt między Garym i Kruchym. W efekcie sojusz postanawia zdobyć fundusze zarówno na musical, jak i na ulotki edukacyjne. Coś tam jeszcze omawiają, ale Jane nic więcej nie mówi.

Obrady dobiegają końca. Kątem oka widzę, że wszyscy wychodzą, lecz ja zostaję na miejscu. Podczas minionych trzydziestu minut zrobiłem w myślach listę mniej więcej czterystu dwunastu sposobów uśmiercenia Kruchego i nie wyjdę, dopóki nie zadecyduję, który jest najwłaściwszy. W końcu postanawiam, że dźgnę go tysiąc razy piórem kulkowym. W stylu więziennym. Wstaję sztywny jak kij od miotły

i wychodzę. Przyjaciół czeka na mnie oparty o rząd szafek.

– Słuchaj, Grayson... – zaczyna, a ja zbliżam się do niego, chwytam za koszulkę polo na piersi, stoję na palcach, dzięki czemu moje oczy znajdują się na wysokości jego grdyki, i mówię:

– To najwstrętniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś, ty lachociągu.

Kruchy wybucha śmiechem, co budzi we mnie jeszcze większą wściekłość, i odpowiada:

– Nie możesz mnie tak nazywać, Grayson, ponieważ A. to nie jest dla mnie obraźliwe, B. wiesz, że to nieprawda. Jeszcze. Niestety.

Puszczam koszulkę. Nie da się go zastraszyć fizycznie.

– Nieważne – mówię. – Palancie. Durniu. Miłośniku wagin.

– To jest obraźliwe – przyznaje. – Ale słuchaj, ziom. Podobasz jej się. Podeszła przed chwilą do mnie i spytała, czy to prawda, czy tylko żartowałem. Zainteresowałem się, dlaczego chce to wiedzieć, a ona, że jesteś miły, tylko tyle, więc powiedziałem jej, że nie żartowałem, i cała aż się rozpromieniła.

– Serio?

– Serio.

Biorę długi, głęboki wdech.

– To potworne. Bo ona mi się nie podoba, Kruchy.

Przewraca oczami.

– I ty twierdzisz, że to ja mam nie po kolei w głowie? Ona jest cudowna. Oddałem ci totalną przysługę!

Uświadamiam sobie, że rzeczywiście moja postawa jest niezbyt typowa dla chłopaków. Normalni faceci powinni myśleć wyłącznie o uprawianiu seksu i z nastawionym kroczem lecieć do każdej dziewczyny, która zwróci na nich uwagę. Tymczasem mnie największą radość sprawia nie czyn, lecz poznawanie. Zauważanie, że ona pachnie jak przesłodzona kawa, dostrzeganie różnicy między jej uśmiechem w życiu i na zdjęciu, sposobu, w jaki przygryza dolną wargę, jaką ma jasną skórę na plecach. Ale chcę, by przyjemność dostrzegania tych rzeczy odbywała się z bezpiecznej odległości – nie chcę się przyznać, że je dostrzegam. Nie lubię o tym gadać ani nic z tym robić.

Choć gdy staliśmy nad nieprzytomnym, dławiącym się smarkami Kruchym, przyszło mi do głowy takie rozwiązanie. Myślałem o tym, by przestąpić nad powalonym kolosem, pocałować Jane, dotknąć dłonią jej twarzy. Myślałem o jej nieprawdopodobnie ciepłym oddechu, o posiadaniu dziewczyny, która się na mnie wścieka, bo nic nie mówię, a ja mówię coraz mniej, ponieważ tak naprawdę spodobał mi się jeden uśmiech nad śpiącym lewiatanem między nami. Potem przez jakiś czas czuję się jak ostatni śmieć, aż w końcu zrywamy ze sobą, w którym to momencie odnawiam przysięgę, by zawsze żyć zgodnie z zasadami.

Mógłbym to zrobić.

Albo mógłbym od razu zastosować się do zasad.

– Zaufaj mi – mówię do Kruchego. – Nie poprawiasz jakości mojego życia. Po prostu przestań się wtrącać, okay?

Odpowiada wzruszeniem ramion, które biorę za potwierdzenie.

– Słuchaj, jeśli chodzi o Nicka – zmienia temat. – Rzecz w tym, że był z Garym naprawdę bardzo długo, i chyba zerwali dopiero wczoraj, ale między nami iskrzy.

– Wybitnie fatalny pomysł – opiniuję.

– Ale zerwali ze sobą – upiera się Kruchy.

– Jasne, a co by było, gdyby ktoś zerwał z tobą i następnego dnia flirtował już z jednym z twoich przyjaciół?

– Zastanowię się nad tym – obiecuje Kruchy, ale wiem, że nie powstrzyma się przed kolejnym krótkim i nieudanym romansem. – Och, hej! – dochodzi do siebie. – Powinieneś pójść z nami w piątek do Magazynu. Idziemy z Nickiem na koncert tego zespołu, tego... Może Martwe Koty. Intelktualny pop-punk. W stylu martwych Milkich, ale mniej zabawny.

– Dzięki za zaproszenie – odpowiadam z ironią, dając mu kuksańca w bok. Oddaje mi figlarnie cios i prawie spadam ze schodów. To jak przyjaźń z olbrzymem z bajki: Kruchy Cooper nic nie może poradzić, że zawsze zadaje ból.

– Bałem się, że nie będziesz chciał pójść po tej katastrofie w zeszłym tygodniu.

– Zaraz, przecież nie mogę iść. Do Magazynu wstęp jest powyżej dwudziestego pierwszego roku życia.

Kruchy wyprzedza mnie przed wyjściem. Uderza biodrem w metalową poprzeczkę i drzwi stają otworem. Oto świat za murami szkoły. Weekend. Orzeźwiające surowe światło Chicago. Owiewa mnie zimne powietrze, a blask razi oczy. Sylwetkę Kruszyny podświetla od tyłu zachodzące słońce, tak że ledwo go widzę, kiedy odwraca się do mnie i wyciąga telefon.

– Do kogo dzwonisz? – pytam, ale nie odpowiada. Tylko trzyma aparat w swojej ogromnej, mięsistej dłoni, a potem mówi:

– Hej, Jane! – Robię wielkie oczy i przesuwam dłonią po gardle w morderczym geście, ale on tylko się uśmiecha i ciągnie: – Słuchaj, Grayson chciałby pójść z nami na Może Martwe Koty w piątek. Przekąsimy coś najpierw?

– ...

– Jedyne problem w tym, że on nie ma dowodu, ale ty chyba kogoś znasz?

– ...

– Nie jesteś jeszcze w domu, co? To wróć tu po jego chudy tyłek. – Kruchy rozłącza się i mówi do mnie: – Już tu jedzie.

I zostawia mnie w drzwiach, a sam zbiega po schodach i w podskokach – tak, w podskokach – zmierza na parking dla uczniów.

– Kruchy! – wołam, ale się nie odwraca, tylko dalej podskakuje. Nie ruszam w hołubcach za tym wariatem, lecz, o dziwo, uśmiecham się pod nosem. Może i jest złowrogim czarnoksiężnikiem, ale sam o sobie decyduje, i jeżeli ma ochotę poruszać się jak gigantyczny Tygrysek, to jego prawo dużego Amerykanina.

Nie mogę wystawić Jane, więc siedzę na frontowych schodach, gdy pojawia się dwie minuty później za kierownicą starego, ręcznie pomalowanego pomarańczowego volvo. Widziałem to auto wcześniej na parkingu – nie da się go nie zauważyć – ale nigdy nie skojarzyłem go z Jane. Wydaje się za spokojna na taką furę. Schodzę na dół, otwieram drzwi pasażera i wsiadam, stawiając stopy na stercie opakowań po fast foodach.

– Sorki. Wiem, że to obrzydliwe.

– Nie przejmuj się – mówię. To idealny moment na jakiś żart, ale powtarzam sobie: siedź cicho, siedź cicho, siedź cicho. Jednak milczenie po chwili robi się przytłaczające, więc pytam: – Znasz ten zespół... eee, Może Martwe Koty?

– Taa. Nie są źli. Trochę taki wczesny Mr. T Experience dla biedaków, ale mają jeden numer, który lubię. Trwa pięćdziesiąt pięć sekund, nosi tytuł *Annus Mirabilis* i wyjaśnia teorię względności Einsteina.

– Super – stwierdzam.

Jane uśmiecha się, wyjeżdża na ulicę i z szarpnięciem ruszamy w stronę miasta. Minutę później zatrzymujemy się przed znakiem „Stop”, Jane zjeżdża na pobocze i mówi:

– Jestem raczej nieśmiała.

– Yyy?

– Jestem raczej nieśmiała, więc rozumiem. Ale nie chowaj się za Kruchym.

– Nie chowam się – zapewniam ją.

Dziewczyna wysuwa się spod swojego pasa, a ja zastanawiam się po co. Przechyla się nad dźwignią biegów i nagle rozumiem, o co chodzi. Zamyka oczy i przekrzywia głowę, a ja odwracam twarz i gapię się na fast foodowe torebki na podłodze jej samochodu. Otwiera oczy i cofa się. Zaczynam mówić, by wypełnić ciszę.

– Ja naprawdę... ech, myślę, że jesteś świetna i śliczna, ale ja naprawdę... hm, ja nie... ja chyba... nie jestem jeszcze gotów na związek.

Po sekundzie Jane odzywa się bardzo cicho:

– Chyba dotarły do mnie niepotwierdzone wiadomości.

– Możliwe.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie też. To znaczy, naprawdę jesteś...

– Nie, nie, przestań. Tylko pogarszasz sytuację. Okay. Okay. Spójrz na mnie. – Spoglądam. – Mogę całkowicie zapomnieć o tym, co się stało, wtedy i tylko wtedy,

gdy i ty o tym całkowicie zapomnisz.

– Nic się nie stało – zapewniam i poprawiam się od razu: – Nie stało się zupełnie nic.

– No właśnie. – I nasz półminutowy postój pod znakiem „Stop” się kończy, a moja głowa leci w tył. Jane prowadzi tak, jak Kruchy randkuje.

Zjeżdżamy z Lake Shore w pobliżu centrum, rozmawiając o Neutral Milk Hotel i o tym, czy istnieją jakieś nagrania, których nikt nie słyszał, może jakieś demo, i że to ciekawe, jak ich piosenki brzmiały, zanim stały się piosenkami. Może moglibyśmy się włamać do ich studia nagraniowego i skopiować każdy zarejestrowany moment istnienia zespołu. Antyczne ogrzewanie volvo wysusza mi usta i tamta chwila, gdy Jane się do mnie pochyliła, naprawdę dosłownie idzie w zapomnienie. Przychodzi mi do głowy refleksja, że jestem niepokojąco rozzarowany, iż Jane wydaje się zupełnie tym nieporuszona, przez co czuję się dziwnie odrzucony, co z kolei prowadzi do myśli, że chyba powinni na moją cześć wznieść specjalne skrzydło w Muzeum Szaleńców.

Znajdujemy miejsce parkingowe kilka przecznic od celu, skąd Jane prowadzi mnie do niczym się niewyróżniających szklanych drzwi obok baru z hot dogami. Napis na drzwiach głosi: „Złote Wybrzeże – ksero i druk”. Wchodzimy po schodach, a w powietrzu unosi się przepyszny zapach peklowanych wieprzowych policzków, po czym wkraczamy do maleńkiego biura. Jest niezwykle skromnie wyposażone, co oznacza, że znajdują się tam dwa składane krzesła, plakat z kocietami i napisem „Trzymaj się”, uschnięta roślina doniczkowa, komputer i wymyślna drukarka.

– Cześć, Paulie – odzywa się Jane do pokrytego tatuażami kołesia, który chyba jest tu jedynym pracownikiem. Zapach hot dogów zelżał, ale tylko dlatego, że w Złotym Wybrzeżu śmierdzi klopem. Koleś wychodzi zza kontuaru, obejmuje Jane ramieniem, a ona mnie przedstawia: – To mój przyjaciel, Will.

Facet wyciąga rękę. Kiedy ją ujmuję, zauważam, że ma na kłykciach wytatuowane litery: H-O-P-E.

– Paulie przyjaźni się z moim bratem. Chodzili razem do Evanston.

– Taa, chodziliśmy – wtrąca Paulie. – Ale nie skończyliśmy razem, bo mnie się to w ogóle nie udało.

Śmieje się.

– No więc, Paulie, Will zgubił dowód – wyjaśnia Jane.

Wytatuowany uśmiecha się do mnie.

– Szkoda, chłopaku. – Podaje mi czysty arkusz papieru i dodaje: – Potrzebne mi twoje pełne nazwisko, adres, data urodzenia, numer ubezpieczenia, wzrost, waga i kolor oczu. I sto dolców.

– Eee... – wzdygam, gdyż tak się składa, że nie noszę przy sobie banknotów

studolarowych. Ale nie zdążam nic wyjaśnić, bo Jane kładzie na blacie dwie pięćdziesiątki.

Siadamy na składanych krzesłach i razem wymyślamy moją nową tożsamość. Nazywam się Ishmael J. Biafra, mieszkam przy W. Addison 1060 w Wrigley Field. Mam brązowe włosy i niebieskie oczy. Wzrost 180 cm, waga 72 kg, numer ubezpieczenia to dziewięć losowo wybranych cyfr, w zeszłym miesiącu skończyłem dwadzieścia jeden lat. Oddaję kartkę Pauliemu, a on wskazuje miejsce na podłodze zaznaczone krzyżykiem ze srebrnej taśmy klejącej i każe mi tam stanąć. Podnosi cyfrowy aparat do oka i mówi:

– Uśmiech!

Nie uśmiechnąłem się do mojego prawdziwego prawa jazdy i na pewno nie uśmiechnę się teraz.

– To potrwa tylko chwilę – zapewnia mnie Paulie, więc opieram się o ścianę. Zapominam się denerwować z powodu bliskości Jane, bo tak bardzo denerwuję się fałszywym dowodem. Mimo że pewnie jestem jednym z trzech milionów ludzi, którzy posiadają podrobione dokumenty, nie zmienia to faktu, że popełniam przestępstwo, a jestem ogólnie przeciwny łamaniu prawa.

– Nawet nie piję – mówię na głos, częściowo do siebie, a częściowo do Jane.

– Ja wyrobiłam swój tylko na koncerty – wyznaje ona.

– Mogę zobaczyć? – pytam.

Bierze swój plecak, cały pokryty nazwami zespołów oraz cytatami, i wyciąga portfel.

– Ukrywam go tutaj – wyjaśnia, rozsuwając zamek w klapce portfela – bo jak zginę albo coś mi się stanie, nie chcę, żeby ze szpitala zadzwonili do rodziców Zory Thurston Moore.

Tak brzmi jej fałszywe nazwisko, ale dowód na moje oko prezentuje się zupełnie jak prawdziwy. Zdjęcie jest genialne: usta ma tak wygięte, jakby zaraz miała się uśmiechnąć. Identycznie wyglądała w domu Kruchego, nie jak na fotkach na Facebooku.

– Świetne zdjęcie. Tak wyglądasz w rzeczywistości – mówię. I to prawda. W tym problem: zbyt wiele rzeczy jest prawdą. To prawda, że chcę ją zasypać komplementami i że chcę zachować dystans. Chcę jej się podobać i równocześnie nie chcę. Głupia, bezkresna prawda gadająca naraz dwiema stronami swojej wielkiej, niewyparzonej gęby. To przez nią ja też głupio gadam: – Człowiek nie wie, jak rzeczywiście wygląda, rozumiesz? Kiedy patrzysz na siebie w lustrze, wiesz, że patrzysz na siebie, więc odrobinę pozujesz. I dlatego tak naprawdę nie znasz swojego prawdziwego oblicza. Ale ty... tak właśnie wyglądasz.

Jane przykładą dwa palce do twarzy na dokumencie leżącym na mojej nodze, więc jej palce dotykają mojej nogi, jeśli nie liczyć dowodu. Patrę na nie przez chwilę,

a potem podnoszę wzrok na jej twarz.

– Paulie mimo swej przestępczej działalności – mówi Jane – jest całkiem niezłym fotografem.

W tym momencie koleś wraca, machając plastikową kartą.

– Panie Biafra, pański dowodzik.

Podaje mi go. Na kłykciach drugiej dłoni widnieje napis L-E-S-S[7].

Dokument wygląda perfekcyjnie. Wszystkie hologramy stanu Illinois, te same kolory, ten sam twardy laminat, taka sama informacja o dawcy organów. Nawet ja wyszedłem całkiem nieźle na zdjęciu.

– Chryste – wzdygam. – Fantastyczna robota. To *Mona Lisa* dowodów osobistych.

– Niech ci służy – odpowiada fałszerz. – Dobra, dzieciaki, muszę się zająć pewnymi sprawami. – Paulie z uśmiechem pokazuje jointa. Zadziwia mnie, jak ktoś tak uwalony może wykazywać taki geniusz w dziedzinie fałszowania dowodów. – Do zobaczyska, Jane. Powiedz Philowi, żeby do mnie zadzwonił.

– Tak jest, kapitanie – odpowiada dziewczyna i zbieramy się. Czuję w przedniej kieszeni spodni kształt fałszywego dowodu uciskający mnie w udo i ogarnia mnie wrażenie, że dostałem przepustkę do całego cholernego świata.

Wychodzimy na ulicę, a chłód jak zawsze mnie zaskakuje. Jane rusza biegiem i nie wiem, czy mam pędzić za nią, lecz wtedy się odwraca i gna w podskokach z powrotem. Wiatr dmie jej w twarz, więc ledwo słyszę, że woła:

– Dawaj, Will! Skacz! Teraz jesteś już mężczyzną!

Musiałbym stracić rozum, żeby nie skakać wraz z nią.

⁷ *Hopeless* (ang.) – beznadziejny.

4

wykładam metamucil na półki w rzędzie siódmym, gdy obok pojawia się maura. wie, że mój szef to dupek, który się wścieka, kiedy stoję i gadam, zamiast pracować, więc udaje, że ogląda witaminy. dyskretnie informuje mnie, że jest coś mocno niepokojącego w zwrocie „tabletki do żucia”, gdy nagle zegar pokazuje 17.12 i dziewczyna dochodzi chyba do wniosku, że to pora na pytania osobiste.

maura: jesteś gejem?

ja: co, do cholery?!

maura: nie mam nic przeciwko temu.

ja: no jasne, bo najbardziej bym się martwił, czy ty się z tym dobrze czujesz.

maura: tylko mówię.

ja: przyjąłem do wiadomości. a teraz możesz się przymknąć i pozwolić mi pracować? czy chcesz skorzystać z mojego rabatu pracowniczego i kupić sobie coś na skurcze?

naprawdę powinna istnieć zasada zabraniająca dyskusji o orientacji seksualnej faceta, kiedy on pracuje. poza tym nie chcę rozmawiać na ten temat z maurą, niezależnie od wszystkiego. ponieważ nie jesteśmy aż tak zaprzyjaźnieni. maura to taka kumpela, z którą lubię wymieniać się scenariuszami dnia sądu ostatecznego. nie jest jednak kimś, dla kogo chciałbym sprawić, by ten dzień nigdy nie nastąpił. to

stanowi ciągły problem gdzieś od roku, od kiedy się ze sobą kolegujemy. wiem, że gdybym jej powiedział, iż podobają mi się faceci, prawdopodobnie przestałaby się ze mną umawiać, i byłby to wielki plus. ale wiem też, że natychmiast stałbym się jej gejfriendem, a to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. i wcale nie jestem aż takim gejem. z całego serca nienawidzę madonny.

ja: powinny istnieć płatki na zatwardzenie o nazwie metamueslix.

maura: mówię poważnie.

ja: a ja poważnie ci mówię, żebyś się odwaliła. nie możesz nazywać mnie gejem tylko dlatego, że nie chcę z tobą spać. wielu heteryków też nie chce z tobą spać.

maura: pieprzę cię.

ja: ach, rzecz w tym, że wcale nie.

nagle maura wywraca wszystkie butelki, które pieczołowicie ustawiałem w rzędach. w wyobraźni chwytam jedną i tłukę jej na głowie, kiedy odchodzi, ale gdybym rozwalil jej tutaj mózg, kierownik kazałby mi sprzątać, a to lipa. ostatnie, czego mi trzeba, to szare komórki na nowych butach. wiecie, jak to świństwo trudno schodzi? poza tym bardzo potrzebuję tej pracy, więc nie mogę krzyczeć, przypinać identyfikatora do góry nogami, nosić podartych džinsów czy składać w ofierze szczeniactków w dziale z zabawkami. ogólnie żadne z powyższych ograniczeń mi nie przeszkadza, nie lubię tylko, gdy mój kierownik kręci się w pobliżu albo znajomi przychodzą i strasznie się dziwią, bo ja pracuję, a oni nie muszą.

zakładałam, że maura wróci do siódmej alejki, ale nie robi tego, więc wiem, że będę musiał być dla niej miły (albo przynajmniej nie wredny) przez następne trzy dni. robię w pamięci notatkę, żeby kupić jej kawę czy coś takiego, lecz notatki w mojej pamięci to zwykła kpina, bo jak tylko tam coś zapisuję, to znika. prawda jest taka, że przy następnym spotkaniu maura będzie ostentacyjnie okazywała, jak bardzo się czuje zraniona, co zirytuje mnie jeszcze bardziej. to ona zaczęła tę gadkę. nie moja wina, że nie umie przyjąć odpowiedzi.

cvs zamykają w soboty o ósmej, co oznacza, że wyjdę przed dziewiątą. eric, mary i greta nawijają o imprezach, na które się wybierają, i nawet roger, nasz kierownik

o kwadratowej głowie, zdradza, że mają z żoną „schadzkę” – oczko-oczko, kuksaniec-kuksaniec, chrumknięcie-chrumknięcie, rzyg-rzyg. wolałbym sobie wyobrazić ropiejącą ranę pełną pełzających larw. roger jest łysy i gruby, jego żona pewnie też jest łysa i gruba, i ostatnie, o czym mam ochotę słuchać, to to, jak uprawiają gruby i łysy seks. zwłaszcza że wiem, iż przedstawia to jako wielce pikantne wydarzenie, a tymczasem pewnie wróci do domu, obejrzą razem film z tomem hanksem, potem jedno z nich położy się do łóżka, słuchając, jak drugie sika w łazience, następnie zamienią się miejscami, a kiedy drugie skończy to, co ma do zrobienia, wyłączą światła i uderzą w kimę.

greta pyta, czy mam ochotę wybrać się z nią na imprezę, ale ona ma chyba z dwadzieścia trzy lata, a jej chłopak, vince, zachowuje się tak, jakby zamierzał mnie wypatroszyć, gdybym użył w jego obecności jakiegoś słowa dłuższego niż dwie sylaby. jadę więc prosto do domu, w którym jest mama, ale nie ma isaaca on-line. nienawidzę tego, że mama nigdy nie ma planów na sobotni wieczór, a isaac zawsze je ma. to znaczy, wcale nie chcę, żeby siedział w domu i czekał, aż wrócę i prześlę mu wiadomość, ponieważ jedną z jego zalet jest prowadzenie niezależnego życia. dostaję od niego mail z informacją, że wychodzi do kina z okazji urodzin kary, więc proszę go, by złożył jej ode mnie życzenia, ale oczywiście zanim wiadomość do niego dotrze, impreza urodzinowa się skończy, a ponadto nie wiem nawet, czy kara wie o moim istnieniu.

mama siedzi na limonkowej kanapie, oglądając po raz siedmiomilionowy miniserial *duma i uprzedzenie*, i wiem, że zachowam się jak baba, jeśli usiądę i będę go oglądał z nią. dziwne, bo ona naprawdę lubi film *kill bill*, a ja nigdy nie potrafiłem wyczuć różnicy w jej nastroju, gdy ogląda jedno albo drugie. jakby była tą samą osobą, niezależnie od tego, co się dzieje na ekranie. może to w porządku.

oglądałam więc *dumę i uprzedzenie*, ponieważ trwa piętnaście godzin, więc wiem, że gdy się skończy, isaac pewnie już wróci do domu. mój telefon wydzwania, ale go nie odbieram. to jedna z dobrych stron naszych kontaktów, że wiem, iż isaac do mnie nie zadzwoni – nigdy się nie martwię, że mogłem zignorować telefon od niego.

dzwonek do drzwi odzywa się w momencie, gdy koleś ma już powiedzieć pannie wszystkie te bzdury, które musi jej powiedzieć, a ja początkowo ignoruję go tak jak komórkę. jedyny problem w tym, że ludzie pod drzwiami nie mogą przejść na pocztę głosową, więc dzwonek znów się rozlega, a mama już zaczyna się podnosić z sofy. powstrzymuję ją i mówię, że ja otworzę, zakładając, iż to drzwiowy odpowiednik pomyłki telefonicznej. niestety okazuje się, że po drugiej stronie stoi maura, która słyszała moje kroki, więc wie, iż jestem w domu.

maura: muszę z tobą porozmawiać.

ja: nie jest przypadkiem koło północy?

maura: otwórz drzwi.

ja: będziesz się nadymać i dmuchać?

maura: daj spokój, will. otwórz.

zawsze się trochę boję, gdy zachowuje się tak bezpośrednio. przekręcając klucz, obmyślam więc, jak najszybciej ją spławić. instynktowna obrona.

mama: kto to?

ja: to tylko maura.

i, kurka, maura oczywiście czuje się dotknięta przez „tylko”. mogłaby sobie wytatuować łzę pod okiem i na zawsze mieć to z głowy. tymczasem dziś użyła tyle czarnej kredki, że można by nią obrysować zwłoki, a skórę ma bladą jak wampir przed świtem. brakuje jej tylko dwóch krwawych plamek na szyi.

stoiśmy w wejściu, bo naprawdę nie wiem, dokąd powinniśmy pójść. maura chyba nigdy przedtem nie była w moim domu, może tylko w kuchni. na pewno nie w moim pokoju, bo tam stoi komputer, a ona jest taka, że gdyby tylko została na minutę sama, przejrzałaby mój pamiętnik albo zawartość kompa. poza tym zaproszenie kogoś do pokoju może wyglądać na wiadomą sugestię, a ja zdecydowanie nie chcę, by maura brała pod uwagę taki scenariusz: hej, może usiądziemy na łóżku, a skoro już na nim siedzimy, to może pobawimy się w doktora? lecz kuchnia i salon nie wchodzi teraz w rachubę z powodu mamy, a pokój mamy nie wchodzi w rachubę, bo to jej pokój. pytam więc maure, czy ma ochotę pójść do garażu.

maura: do garażu?

ja: słuchaj, nie chcę cię otruć spalinami. gdybym miał zaproponować podwójne samobójstwo, optowałbym za porażeniem prądem w wannie. no wiesz, z suszarką do włosów. jak poeci.

maura: jasne.

miniserial mamy nie doszedł jeszcze do austenowskiego końca, więc wiem, że nikt nas nie będzie niepokoił podczas rozmowy. albo przynajmniej będziemy tylko niepokoić siebie nawzajem. siedzenie w samochodzie wydaje się zupełnie głupie, więc robię miejsce obok rzeczy ojca, na których wyrzucenie mama się nigdy nie zdobyła.

ja: no, o co chodzi?

maura: jesteś gnojkiem.

ja: to skrót wiadomości?

maura: zamknij się na chwilę.

ja: jeśli ty też się zamkniesz.

maura: przestań.

ja: to ty zaczęłaś.

maura: przestań, proszę.

dobra, postanawiam, zamknę się. i co za to dostanę? piętnaście cholernych sekund ciszy. i znów od nowa

maura: wmawiam sobie, że wcale nie chcesz mnie zranić, bo przez to mniej boli, wiesz. ale po dzisiejszym... mam cię powyżej uszu. dla twojej wiadomości: też nie chcę się z tobą przespać. nigdy nie poszłabym do łóżka z kimś, z kim nawet nie mogę się przyjaźnić.

ja: chwila, to już nie jesteśmy przyjaciółmi?

maura: nie wiem, kim jesteśmy. nawet nie chcesz mi się przyznać, że jesteś gejem.

klasyczny manewr maury. jeśli nie otrzyma odpowiedzi, na której jej zależy,

zapędzi cię w kozi róg. tak jak wtedy, gdy przeszukała mi torbę, kiedy byłem w ubikacji, i znalazła moje pigułki – nie zażyłem ich rano, więc wziąłem je do szkoły. czekała dobrych dziesięć minut, zanim zapytała, czy biorę jakieś leki. wydawało mi się, że to luźna uwaga, i nie miałem ochoty o tym gadać, więc zaprzeczyłem. a co ona zrobiła? sięgnęła do mojej torby, wyciągnęła buteleczki z prochami i spytała, na co są. otrzymała odpowiedź, ale bynajmniej nie zyskała mojego zaufania. ciągle mi powtarzała, że nie muszę się wstydzić swojego „stanu psychicznego”, a ja jej powtarzałem, że się nie wstydzę, tylko nie mam ochoty z nią o tym rozmawiać. nie potrafiła zrozumieć różnicy.

tak więc teraz znaleźliśmy się w następnym rogu, lecz tym razem chodzi o preferencje seksualne.

ja: no chwila. nawet gdybym był gejem, czy to nie powinna być moja decyzja, żeby ci o tym powiedzieć?

maura: kim jest isaac?

ja: ja pierdzielę.

maura: myślisz, że nie widzę, co bazgrolisz w zeszytach?

ja: żartujesz sobie chyba. chodzi o isaaca?

maura: powiedz mi, kim on jest.

nie chcę jej tego powiedzieć. isaac należy do mnie, nie do niej. jeśli uchylę rąbka tajemnicy, będzie chciała poznać całą. w jakiś pokręcony sposób wiem, że ona pyta, bo myśli, że chciałbym tego – że chciałbym rozmawiać o wszystkim, wszystko jej o sobie mówić. ale ja tego nie chcę. a ona tego nie dostanie.

ja: maura, maura, maura... isaac to postać. nie istnieje naprawdę. kurka! pracuję nad nim. nad tą, nie wiem, ideą. mam w głowie mnóstwo opowieści z tą postacią w roli głównej. z isaakiem.

nie wiem, skąd mi się biorą te bzdury. tak jakby objawiła mi je jakaś boska moc konfabulacji.

maura wygląda, jakby chciała naprawdę mi uwierzyć, ale nie może.

ja: tak jak pies pogo, tylko że to nie pies, i nie na patyku.

maura: boże, zupełnie zapomniałam o psie pogo.

ja: kpisz sobie? miał nam zapewnić bogactwo!

maura kupuje to. opiera się o mnie i, przysięgam na boga, gdyby była facetem, widziałbym erekcję w jej gaciach.

maura: wiem, że to okropne, ale czuję ulgę, że nie ukrywasz przed mną czegoś tak ważnego.

to chyba zły moment, by zwrócić jej uwagę, że wcale nie powiedziałem, iż nie jestem gejem. powiedziałem tylko, żeby się odwaliła.

nie wiem, czy istnieje coś bardziej przerażającego niż dziewczyna w gotyckiej stylizacji, która robi się przymilna. maura nie tylko się przytula, ale też bada moją dłoń, jakby ktoś wypisał na niej sens życia. brajlem.

ja: muszę wracać do mamy.

maura: powiedz jej, że chwilę tu posiedzimy.

ja: obiecałem, że obejrzę z nią film.

cała sztuka polega na tym, żeby spławić maurę tak, by się nie zorientowała, że ją spławiam. ponieważ naprawdę nie chcę jej zranić, nie teraz gdy zawróciłem ją z krawędzi ostatniego cierpienia, które podobno spowodowałem. wiem, że gdy tylko wróci do domu, zasiądzie do swojego kajetu z kościotrupio-krwawą poezją, a ja robię co w mojej mocy, żeby mnie nie obsmarowała. maura pokazała mi kiedyś jeden ze swoich wierszy.

*trzymaj mnie
jak martwą różę
zachowaj mnie
a moje płatki nie opadną
dopóki ich nie dotkniesz
i nie zniknę*

odpisałem jej też wierszem:

*jestem jak
martwa begonia
wisząca do góry nogami
ponieważ
jak martwa begonia
mam wszystko w dupie*

na co odpowiedziała:

*nie wszystkie kwiaty
potrzebują światła
by żyć*

może więc dziś zainspiruję takie coś:

*myślałam że on jest gej
lecz chyba szansę da
zabawić się że hej
tym co tam w majtach ma.*

na szczęście nie będę musiał czytać tej grafomanii ani nawet o niej wiedzieć.

wstaję i otwieram drzwi garażowe, żeby maura mogła wyjść. mówię jej, że zobaczymy się w poniedziałek w szkole, a ona: „chyba że ja zobaczę cię wcześniej”. ja na to „hehehe”, aż w końcu oddała się na tyle, że mogę zamknąć garaż.

mam chorą pewność, że kiedyś to na pewno się na mnie zemści. któregoś dnia maura powie, że ją zwiodłem, a ja tylko chciałem ją odwieść. muszę ją poznać z kimś innym. niedługo. ona nie chce mnie – chce po prostu kogoś, dla kogo będzie pępkiem świata. a ja tym kimś nie mogę być.

gdy wracam do salonu, *duma i uprzedzenie* prawie się kończy, co oznacza, że wszyscy mniej więcej wiedzą, na czym stoją. zazwyczaj w tym momencie mama jest już zasypana stertą mokrych chusteczek, ale tym razem w domu raczej nikt się nie mazgai. potwierdza to, wyłączając dvd.

mama: muszę z tym skończyć. muszę zacząć normalnie żyć.

chyba kieruje te słowa do siebie albo do wszechświata, a nie do mnie. mimo to nie mogę się powstrzymać od myśli, że tylko kompletny idiota wierzyłby w coś takiego jak początek „normalnego życia”. tak jakby można było pojechać do sklepu i kupić sobie życie. zobaczyć lśniące pudełko, zerknąć przez plastikowe okienko i, ujrawszy siebie w nowym wcieleniu, stwierdzić: „rety, wyglądam na o wiele szczęśliwszego, sprawię sobie takie życie!”. potem zabrać je z półki, zanieść do kasy i opłacić kartą kredytową. gdyby to było takie łatwe, byłibyśmy beztroskim gatunkiem. ale nie jesteśmy. tak więc, mamo, twoje życie nie czeka gdzieś tam na ciebie i nie wyobrażaj sobie, że musisz je tylko znaleźć i zabrać. nie, twoje życie jest właśnie tutaj. i jest do bani. tak zazwyczaj bywa z życiem. jeśli chcesz, żeby coś się zmieniło, wcale nie musisz zaczynać żyć, lecz tylko ruszyć tyłek z kanapy.

oczywiście nie mówię tego na głos. mamy nie muszą wysłuchiwać podobnego syfu od swoich dzieciaków, jeśli nie robią czegoś naprawdę potwornego, jak na przykład palenie w łóżku, branie heroiny czy branie heroiny podczas palenia w łóżku. gdyby mama była mięśniakiem z mojej szkoły, kumple z siłowni powiedzieliby jej: „ziom, potrzebne ci porządne dymanko”. ale sorry, geniusze, nie istnieje coś takiego jak terapia dymaniem. terapia dymaniem to bajka o świętym mikołaju dla dorosłych.

to chore, że mój umysł przeszedł od rozmyślań o mamie do rozmyślań o dymaniu, więc cieszę się, gdy ona narzeka dalej.

mama: to chyba starość, prawda? mama siedzi w domu w sobotni wieczór i czeka, aż się pojawi darcy.

ja: to chyba nie jest właściwe rozwiązanie.

mama: nie. raczej nie.

ja: a zaprosiłaś tego darcy’ego na randkę?

mama: nie. jeszcze go nie znalazłam.

ja: nie pojawi się, jeśli go nie zaprosisz.

ja, dający mamie rady w kwestii miłości, to trochę jak złota rybka ucząca ślimaka latać. mógłbym jej wytknąć, że nie wszyscy faceci są takimi dupkami jak mój ojciec, ale ona masochistycznie nienawidzi, kiedy mówię o nim coś złego. prawdopodobnie boi się, iż pewnego dnia się obudzę i uświadomię sobie, że połowa moich genów

pochodzi od łajdaka, i zechcę wtedy stać się łajdakiem. wiesz co, mamó – ten dzień nadszedł bardzo dawno temu. i żałuję, że pigułki tego nie leczą, ale one pomagają tylko na efekty uboczne.

niech bóg błogosławi tabletki wyrównujące nastrój. *i wszystkie nastroje stworzone są równymi*. jestem jak jakiś cholerny ruch na rzecz praw obywatelskich nastrojów.

robi się już na tyle późno, że isaac być może wrócił do domu, więc mówię mamie, że idę spać, i dodaję z uprzejmości, że jeśli zobaczę jakichś przystojnych facetów w pantalonach do kolan, seksownie jadących konno do marketu, to podrzucę im jej numer. dziękuje mi i stwierdza, że to lepszy pomysł niż wszystkie idee jej koleżanek od pokera. zastanawiam się, czy niedługo poprosi też listonosza o poradę.

wyłączam wygaszacz ekranu, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają, i natychmiast pojawia się migające okienko komunikatora.

boundbydad: jesteś?

boundbydad: chciałbym

boundbydad: i mam nadzieję

boundbydad: i modlę się

zalewa mnie fala szczęścia. miłość to silny narkotyk.

grayscale: proszę, bądź jedynym głosem zdrowia psychicznego na całym świecie

boundbydad: jesteś!

grayscale: już jestem.

boundbydad: jeśli liczysz na moje zdrowie psychiczne, to musi być bardzo krucho.

grayscale: ta, maura wpadła do cvs na sabat czarownic, a kiedy jej powiedziałem, że próby odwołane, postanowiła

grayscale: nakłaniać mnie do bzykanka. a potem mama zaczęła mędzić, że nie ma życia. a, i muszę odrobić zadanie domowe. albo nie.

boundbydad: trudno być tobą, co?

grayscale: raczej.

boundbydad: myślisz, że maura zna prawdę?

grayscale: na pewno tak jej się wydaje.

boundbydad: wścibska suka.

grayscale: nawet nie tak bardzo. to nie jej wina, że nie chcę jej się zwierzać. wolę dzielić się tym z tobą.

boundbydad: i dzielisz się. a nie masz żadnych wielkich planów na sobotnią noc? więcej cennego czasu z mamą?

grayscale: ty, mój drogi, jesteś moim planem na sobotnią noc.

boundbydad: czuję się zaszczycony.

grayscale: powinieneś. jak tam impreza urodzinowa?

boundbydad: krótka. kara chciała tylko obejrzeć film ze mną i z jannine. miłe spotkanie, słaby film. o kolesiu, który odkrywa, że dziewczyna, z którą się ożenił, jest sukubem.

boundbydad: sukkubem?

boundbydad: sukubbem?

grayscale: sukubem

boundbydad: no właśnie. naprawdę durny, potem zrobił się do tego nudny.

następnie głośny i głupi. przez jakieś dwie minuty był tak głupi, że aż zabawny. a potem znów zrobił się nudny i skończył się dzień.

boundbydad: ale spotkanie było miłe.

grayscale: co u kary?

boundbydad: dochodzi do siebie.

grayscale: to znaczy?

boundbydad: mówi o swoich problemach w czasie przeszłym, żeby przekonać nas, że to już minęło. i może tak jest.

grayscale: pozdrowiłeś ją ode mnie?

boundbydad: ta. chyba ująłem to tak: „will mówi, że chce, byś była jego częścią”, ale efekt był ten sam. też kazała cię pozdrowić.

grayscale: <wzdycha ciężko> szkoda, że mnie tam nie było.

boundbydad: szkoda, że nie jestem teraz z tobą.

grayscale: naprawdę? :-)

boundbydad: absolutnie.

grayscale: a gdybyś tu był...

boundbydad: co bym robił?

grayscale: :-)

boundbydad: powiem ci, co bym robił.

to taka nasza zabawa. w większości nie traktujemy jej serio. może się potoczyć w różne strony. czasami nabijamy się z seksu przez Internet, wymyślając własne komipornograficzne dialogi.

grayscale: chcę, żebyś wylizał mój obojczyk.

boundbydad: liżę twój obojczyk.

grayscale: ooch, jak mi dobrze w obojczyk.

boundbydad: niegrzeczny, niegrzeczny obojczyk.

grayscale: mmmmmm

boundbydad: wwwwwwww

grayscale: rrrrrrrrrrrrrrrrrrr

boundbydad: tttttttttttttttttt

innymi razy idziemy w romanse powieściowe. porno dla mamusiek.

boundbydad: nadziej mnie na swój rozpalony maszt, ogierze.

grayscale: twoja grzeszna pochodnia roznieca we mnie ogień piekielny.

boundbydad: mój poszukiwacz penetruje twe niezbadane lądy.

grayscale: polej mnie sosem jak indyka na dziękczynienie!!!

ale czasami są takie wieczory jak dziś, gdy prawda wychodzi na jaw, ponieważ jej potrzebujemy najbardziej. albo może jeden z nas jej potrzebuje, a drugi wie, kiedy powinien ją wyjawić.

jak teraz, gdy najbardziej we wszechświecie pragnąłbym, żeby isaac był ze mną. on o tym wie i mówi:

boundbydad: gdybym tam był, stanąłbym za twoim krzesłem, położył lekko dłonie na twoich ramionach i gładziłbym je delikatnie, dopóki nie skończyłbyś ostatniego zdania.

boundbydad: wtedy pochyliłbym się i przesunął dłońmi w dół twojej piersi, przykładając szyję do twojej szyi, żebyś mógł się we mnie wtulić i przez chwilę odpocząć

boundbydad: odpoczywaj

boundbydad: a gdy będziesz gotowy, pocałuję cię raz i odsunę się. usiądę na łóżku i zaczekam na ciebie, a potem położymy się razem. ja będę obejmował ciebie, a ty mnie.

boundbydad: i zapanuje spokój. absolutny spokój. jak we śnie, ale będziemy w nim przebudzeni razem.

grayscale: byłoby cudownie.

boundbydad: wiem. też bardzo bym tego chciał.

nie moglibyśmy chyba wypowiedzieć tego dialogu na głos. ale nawet jeśli nie wyobrażam sobie, że słyszę te słowa, potrafię wyobrazić sobie, że nimi żyję. nie wizualizuję tego, lecz po prostu w tym jestem. czuję to, co bym czuł z nim tutaj. ten spokój. byłbym taki szczęśliwy, i smutno mi, bo to wszystko istnieje tylko w słowach.

kiedyś isaac wyjawiał mi, że cisza wydaje mu się niezręczna – jeżeli mija za dużo czasu, a ja nie odpowiadam, wydaje mu się, że piszę coś w innym oknie, odszedłem od komputera albo wymieniam wiadomości z dwunastoma innymi chłopakami. musiałem przyznać, że dręczą mnie te same obawy. więc teraz gdy zapada cisza, rozwiązujemy to inaczej. piszemy tylko:

grayscale: jestem

boundbydad: jestem

grayscale: jestem

boundbydad: jestem

dopóki nie pojawi się następne zdanie.

grayscale: jestem

boundbydad: jestem

grayscale: jestem

boundbydad: co robimy?

grayscale: ???

boundbydad: myślę, że już pora

boundbydad: byśmy się spotkali

grayscale: !!!

grayscale: poważnie?

boundbydad: śmiertelnie

grayscale: to znaczy, że będę mógł cię zobaczyć

boundbydad: przytulić naprawdę

grayscale: naprawdę

boundbydad: tak

grayscale: tak?

boundbydad: tak

grayscale: tak!

boundbydad: zwariowałem?

grayscale: tak! :-)

boundbydad: zwariuję, jeśli się nie spotkamy.

grayscale: musimy.

boundbydad: musimy.

grayscale: omójbózedrogi

boundbydad: zrobimy to, tak?

grayscale: teraz nie możemy się już wycofać.

boundbydad: jestem taki podekscytowany...

grayscale: i przerażony

boundbydad: ...i przerażony

grayscale: ...ale przede wszystkim podekscytowany?

boundbydad: przede wszystkim.

to się wydarzy. wiem, że to się stanie.

niepewnie, z lękiem, wyznaczamy datę.

piątek. za sześć dni.

tylko sześć dni.

za sześć dni być może naprawdę zacznie się moje życie.

to szaleństwo.

a największym szaleństwem jest to, że jestem tak rozgorączkowany, iż chcę natychmiast opowiedzieć o wszystkim isaacowi, mimo że jest jedyną osobą, która

wie, co się właśnie wydarzyło. nie maurze, nie simonowi, nie derekowi, nie mamie – nikomu na całym świecie, tylko jemu. jest zarówno źródłem mojego szczęścia, jak i jedyną osobą, z którą chcę się nim dzielić.

muszę wierzyć, że to znak.

5

To jeden z tych weekendów, kiedy w ogóle nie wychodzę z domu – dosłownie – poza krótką wyprawą z mamą do White Hen. Takie weekendy zazwyczaj mi odpowiadają, ale tym razem mam lekką nadzieję, że Kruchy i/lub Jane zadzwonią i zapewnią mi okazję do użycia dowodu, który ukryłem na półce z książkami między stronami *Perswazji*. Ale nikt nie dzwoni. Ani Kruszyna, ani Jane nie pojawiają się też on-line. Na dworze ziąb większy niż przy wieźmim cycku w stalowym staniku, więc siedzę w domu i nadrabiam zadania domowe. Robię ćwiczenia z matmy, a potem ślęczę przez trzy godziny nad podręcznikiem i próbuję ogarnąć, co zrobiłem. Taki to właśnie weekend – masz tyle czasu, że możesz sięgnąć dalej niż same odpowiedzi i zacząć zagłębiać się w idee.

Ale w niedzielny wieczór, gdy siedzę przy kompie i sprawdzam, czy ktoś jest on-line, w drzwiach pojawia się głowa mojego ojca.

– Will, możesz na chwilkę przyjść do bawialni, żeby porozmawiać? – pyta tato.

Obracam się wraz z fotelem i wstaję. Czuję lekkie ściskanie w dołku, ponieważ bawialnia to pokój najmniej odpowiedni do zabaw – tam okazuje się, że święty Mikołaj nie istnieje lub że umarła babcia, tam objawia się gniew za złe stopnie i tam wyjaśnia się, że męski samochodzik wjeżdża do damskiego garażu, wyjeżdża z niego, wjeżdża ponownie i tak kontynuuje, aż jajeczko zostanie zapłodnione.

Tato jest bardzo wysoki, bardzo chudy i bardzo łysy. Siedzi na kwiecistej sofie i stuka w podłokietnik długimi, smukłymi palcami. Sadowię się naprzeciwko niego w nadmiernie wypchanym i nadmiernie zielonym fotelu. Bębnienie palcami trwa około trzydziestu czterech lat, ale ojciec się nie odzywa, więc w końcu ryzykuję:

– Hej, tato?

Mój rodziciel ma bardzo formalny i dobitny sposób mówienia. Zawsze zwraca się do człowieka, jakby przekazywał mu wieści o raku w zaawansowanym stadium – co ma sens, jako że stanowi znaczną część jego pracy. Patrzy na mnie tymi smutnymi,

poważnymi oczyma informującymi o nowotworze i mówi:

– Twoja mama i ja jesteśmy ciekawi, jakie masz plany.

– No cóż – odpowiadam – chyba niedługo się położę. A potem pójdę do szkoły. W piątek wybieram się na koncert. Już uprzedzałem mamę.

Kiwa głową.

– Dobrze, ale co dalej?

– Dalej? Chodzi ci o pójście na studia, znalezienie pracy, ożenek, danie wam wnuków, trzymanie się z dala od używek i długie szczęśliwe życie?

Niemalże się uśmiecha. Niezwykle trudno jest bowiem rozbawić mojego ojca.

– Jedna z faz tego procesu jest dla mnie i dla mamy szczególnie interesująca w tym konkretnym momencie twojego życia.

– Studia?

– Studia.

– Mam jeszcze cały rok na myślenie o nich – zauważam.

– Nigdy nie jest za wcześnie na planowanie – oznajmia ojciec. A potem zaczyna się rozwodzić na temat kierunku na Northwestern, który obejmuje równocześnie studia oraz szkołę medyczną i trwa chyba sześć lat, więc można zostać lekarzem rezydentem w wieku lat dwudziestu pięciu, i jest się blisko domu, ale można mieszkać w kampusie i coś jeszcze, i jeszcze. Po jedenastu sekundach uświadamiam sobie, że wraz z mamą zdecydowali już, iż powinienem pójść właśnie na ten kierunek, i że przedstawiają mi tę ideę z wyprzedzeniem, by przez cały następny rok co jakiś czas o tym wspominać, naciskając, naciskając i naciskając. I uświadamiam sobie też, że jeśli się tam dostanę, to chętnie skorzystam z takiego rozwiązania. Są pewnie gorsze sposoby zarabiania na życie.

Ludzie często powtarzają, że rodzice mają zawsze rację. „Słuchaj rad rodziców, oni wiedzą, co dla ciebie dobre”. Zazwyczaj nikt nigdy nie słucha tych rad, bo nawet jeśli są słuszne, to są też tak irytujące i protekcyjne, że natychmiast budzą pragnienie, by na przykład uzależnić się od metamfetaminy i uprawiać seks bez zabezpieczenia z osiemdziesięcioma siedmioma tysiącami anonimowych partnerów. Cóż, ja słucham swoich rodziców. Wiedzą, co jest dla mnie dobre. Posłuchałbym każdego, jeśli mam być szczery. Prawie każdy wie to lepiej niż ja.

Noitakto choć mój ojciec nie ma o tym pojęcia, wszystkie kolejne argumenty co do mojej przyszłości są zbędne. Ja już się z tą wizją zgadzam. Tymczasem myślę tylko o tym, jak mały się czuję w tym absurdalnie wielkim fotelu, i o fałszywym dowodzie grzejącym strony Jane Austen, i o tym, czy Kruszyna budzi we mnie bardziej wściekłość, czy podziw, i o piątku, gdy będę trzymał się z dala od niego w *mosh picie*, gdzie będzie próbował tańczyć jak wszyscy inni. Pewnie ogrzewanie w klubie będzie za mocno odkręcone, wszyscy będą mieć ubrania mokre od potu, a muzyka będzie tak szybka i porywająca, że nawet się nie zainteresuję, o czym śpiewa

wokalista.

– To brzmi świetnie – zapewniam tatę, lecz on rozprawia dalej o tym, że zna tam pewnych ludzi, a ja tylko potakuję, potakuję i potakuję.

W poniedziałek rano przyjeżdżam do szkoły dwadzieścia minut za wcześnie, ponieważ mama musi być w szpitalu przed siódmą – pewnie ktoś ma jakiegoś ekstrawielkiego raka czy coś w tym rodzaju. Opieram się o maszt flagowy na trawniku przed budynkiem, czekając na Kruchego i trzęsąc się z zimna mimo rękawic, czapki, kurtki i kaptura. Wiatr szaleje po trawniku i słyszę, jak flaga nade mną łopocze, ale niech mnie szlag, jeśli wejdę do szkoły choć nanosekundę przed dzwonkiem na pierwszą lekcję.

Podjeżdżają autobusy i trawnik zapełnia się pierwszoklasistami, którym moja dzielność chyba nieszczególnie imponuje. I wtedy zauważam Clintą, etatowego członka mojej byłej Paczki Przyjaciół, który wyraźnie zmierza w moim kierunku z parkingu dla uczniów. Wmawiam sobie, że on wcale nie idzie w tę stronę, aż jego widoczny w mroźnym powietrzu oddech owiewa mnie niczym małą, cuchnącą chmurą. Nie będę kłamał: mam cię nadziei, że zamierza przeprosić za małoduszność niektórych swoich przyjaciół.

– Hej, dupku – wita mnie. Wszystkich tak nazywa. Czy to komplement? Obelga? A może obie rzeczy naraz, dlatego zwrot ten jest tak użyteczny.

Krzywię się nieco, czując jego kwaśny oddech, a potem odpowiadam:

– Hej.

Równie niezobowiązująco. Wszystkie rozmowy, jakie odbyłem z Clintem czy kimkolwiek innym z Paczki Przyjaciół, są identyczne: używane przez nas słowa są puste, aż echo niesie, tak że nikt nigdy nie wie, o czym drugi naprawdę mówi, wszelka uprzejmość jest okrucieństwem, egoizm hojnością, troska bezduszością.

– Kruchy dzwonił w weekend w sprawie musicalu – oznajmia Clint. – Chce funduszy od samorządu uczniowskiego. – Clint jest wiceprzewodniczącym. – Streścił mi całą tę bzdurę. Musical o wielkim geju i jego najlepszym przyjacielu, który używa pęsety do walenia konia, bo ma takiego małego fiutka. – Mówi to z uśmiechem. Nie jest wredny. Nie do końca.

A ja mam ochotę odpowiedzieć:

– Jakież to oryginalne! Skąd bierzesz te dowcipne przycinki, Clint? Masz może jakąś fabrykę dowcipasów w Indonezji, w której ośmiolatki pracują dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo, żeby dostarczać ci ten wysokiej jakości humor? Istnieją boysbandy z ciekawszymi tekstami.

Tymczasem milczę.

– No więc – kontynuuje Clint – sądzę, że mogę go wesprzeć na jutrzejszym spotkaniu. Bo ten spektakl to rewelacyjny pomysł. Mam tylko jedno pytanie:

zaśpiewasz własną rolę? Gotów jestem zapłacić majątek, żeby to zobaczyć.

Śmieję się trochę, ale nie za wylewnie.

– Nie nadaję się do teatru – mówię w końcu. I w tym momencie wyczuwam za sobą ogromną postać. Clint zadziera głowę, żeby spojrzeć na Kruszyne.

– Siema – mówi i odchodzi.

– Próbował cię namówić na powrót? – pyta Kruchy.

Odwracam się i dopiero teraz mogę mówić normalnie.

– Przez cały weekend nie dzwonisz i nie wchodzisz na neta, ale znajdujesz czas, żeby skontaktować się z Clintem i knuć, jak zrujnować moje życie towarzyskie przez magię piosenki?

– Po pierwsze, *Kruchy tancerz* nie zrujnuje twojego życia towarzyskiego, bo i tak go nie masz. Po drugie, ty też do mnie nie zadzwoniłeś. Po trzecie, byłem bardzo zajęty! Spędziliśmy z Nickiem prawie cały weekend razem.

– Myślałem, że ci wyklarowałem, dlaczego nie możesz z nim chodzić – wypominam mu i Kruchy już ma mi odpowiedzieć, kiedy zauważam przygarbioną Jane brnącą pod wiatr. Ma na sobie cienką bluzę z kapturem i idzie w naszą stronę.

Witam się, ona odpowiada i staje tuż obok mnie, jakbym był koksownikiem. Mruży oczy przed wiatrem.

– Weź to – proponuję, zdejmując kurtkę, a Jane się nią otula. Nadal próbuję wymyślić jakieś pytanie, które mógłbym jej zadać, gdy rozlega się dzwonek, więc ruszamy do szkoły.

Przez cały dzień nie spotykam jej ani razu, co mnie nieco frustruje, bo jest tak lodowato, że nawet na korytarzach można zamarznąć, i martwię się, że po szkole zamienię się w sopel lodu w drodze do auta Kruchego. Po ostatniej lekcji pędzę do szafki. Moja kurtka leży upchnięta w środku.

Do zamkniętej szafki można ewentualnie wsunąć liścik przez podłużne otwory wentylacyjne. Nawet ołówek przy odrobinie wysiłku. Raz Cooper wcisnął do mojej szafki książeczkę *Happy Bunny*. Trudno jednak wyobrazić sobie, jak Jane, która mimo wszystko nie jest najsilniejszą osobą na świecie, zdołała wetknąć przez te maleńkie szparki całą zimową kurtkę.

Ale nie jestem tu od zadawania pytań, więc ubieram się i wychodzę na parking, na którym Cooper odbywa rytuał pożegnalny – serdeczny uścisk dłoni, objęcie ramieniem itd. – nie z kim innym jak z Clintem. Otwieram drzwi pasażera i wsiadam do acury Kruchego. Przyjaciół pojawia się chwilę później i choć jestem na niego wkurzony, nawet ja potrafię docenić fascynującą i złożoną geometrię konieczną, by ktoś tak potężny jak on zmieścił się w tym maleńkim aucie.

– Mam propozycję – oznajmiam, gdy Kruchy dokonuje kolejnego cudu inżynierii, który polega na zapięciu pasa bezpieczeństwa.

– Pochlebiasz mi, ale nie prześpię się z tobą – ripostuje.

– Ale śmieszne. Słuchaj, mam taką propozycję, że jeśli wycofasz się z tej całej historii z *Kruchym tancerzem*, to ja... co chcesz, żebym zrobił? Bo zrobię wszystko.

– Chcę, abyś się umówił z Jane. Albo przynajmniej do niej zadzwonił. Po tym gdy tak sprytnie zaaranżowałem wasze sam na sam, odniosła wrażenie, że nie masz ochoty z nią chodzić.

– Bo nie mam – potwierdzam. Co jest całkowicie zgodne i całkowicie niezgodne z prawdą. Głupia wielowymiarowa prawda.

– Co ty sobie myślisz, że to rok tysiąc osiemset trzydziesty drugi? Kiedy ktoś ci się podoba, a ty jemu, to przykładasz cholerne usta do jego ust, potem je otwierasz odrobinę i dodajesz trochę akcji językiem dla pikanterii. Boże, Grayson! Wszyscy jęczą, że amerykańska młodzież to rozwiązała, opętana seksem banda maniaków, którzy masturbują się nawzajem, jakby to było poklepywanie po plecach, a ty nie potrafisz nawet pocałować dziewczyny, której bez wątpienia się podobasz?

– Ale ona mi się nie podoba, Kruchy. Nie w taki sposób.

– Jest rozkoszna.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Jestem gejem, nie ślepcem. Ma puszyste włosy i piękny nos. Naprawdę piękny. I co? Co wy tam jeszcze lubicie? Cycki? Chyba ma cycki. Wydaje się, że ma cycki w przybliżeniu normalnego rozmiaru. Czego jeszcze potrzebujesz?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Włącza silnik i zaczyna rytmicznie uderzać swoją ogromną głową w klakson. Aaaaank. Aaaaank. Aaaaank.

– Nie odstawiaj wiochy! – próbuję przekrzyczeć trąbienie.

– Będę to robił, dopóki nie dostanę wstrząśnienia mózgu albo nie obiecasz, że do niej zadzwonisz.

Zatykam uszy palcami, ale Kruchy ciągle wali z główki w klakson. Ludzie się na nas gapią. W końcu wołam:

– Dobra. Dobra! DOBRA!

I trąbienie ustaje.

– Zadzwonię do Jane. Będę dla niej miły. Ale nie chcę z nią chodzić.

– To twój wybór. Twój durny wybór.

– A więc – podejmuję z nadzieją – koniec z *Kruchym tancerzem*?

Przyjaciel rusza.

– Przykro mi, Grayson, ale nie mogę tego zrobić. *Kruchy tancerz* to sprawa większa niż ty i ja, niż każdy z nas.

– Kruchy, twoja idea kompromisu jest naprawdę pokrecona.

Śmieje się.

– Kompromis polega na tym, że ty robisz to, o co cię proszę, a ja robię to, co chcę. A to mi o czymś przypomina: chcę, żebyś wystąpił w mojej sztuce.

Tłumię śmiech, bo ta masakra nie będzie wcale śmieszna, gdy zostanie wystawiona w cholernej auli szkolnej.

– Absolutnie nie. Nie. NIE. Ponadto nalegam, żebyś wykreślił moją postać.

Kruchy wzdycha.

– Nie rozumiesz tego, co? Gil Wrayson nie jest tobą, to postać fikcyjna. Nie mogę zmienić sztuki tylko dlatego, że ty nie czujesz się z nią komfortowo.

Próbuję innej taktyki.

– To będzie upokarzające, Kruchy.

– Musical na pewno zostanie wystawiony, Grayson. Mam poparcie samorządu uczniowskiego w kwestii funduszy. Więc zamknij dziób i pogódź się z tym.

Zamykam dziób i godzę się z tym, ale tego wieczoru nie dzwonię do Jane. Nie jestem chłopcem na posyłki Kruchego.

Następnego popołudnia wracam do domu autobusem, bo Kruszyna poszedł na spotkanie samorządu. Dzwoni do mnie tuż po zakończeniu.

– Świetne wieści, Grayson! – woła.

– Świetne wieści dla jednego to zawsze katastrofalne wieści dla drugiego – odpowiadam.

No i oczywiście samorząd szkolny zaakceptował wydatek tysiąca dolarów na wystawienie oraz produkcję *Kruchego tancerza*.

Tego wieczoru czekam z kolacją na powrót rodziców i pracuję nad esejem o Emily Dickinson, ale głównie ściągam wszystkie dotychczasowe nagrania *Może Martwych Kotów*. Chyba absolutnie ich uwielbiam. A im dłużej ich słucham, tym większą mam ochotę powiedzieć komuś, że są świetni, więc dzwonię do Kruchego, ale nie odbiera. Zatem robię dokładnie to, czego chciał – jak zawsze. Dzwonię do Jane.

– Cześć, Will – wita mnie.

– Chyba absolutnie uwielbiam *Może Martwe Koty* – wyznaję.

– Nie są źli, to prawda. *Może* trochę przeintelektualizowani, ale czy wszyscy tacy nie jesteśmy?

– Wydaje mi się, że nazwa ich kapeli to odniesienie do tego fizyka – mówię. Właściwie wiem to z całą pewnością, bo sprawdziłem w Wikipedii.

– Taa – potwierdza. – Do Schrödingera. Tyle że nazwa zespołu to totalna lipa, bo Schrödinger słynie z analizy paradoksu z dziedziny fizyki kwantowej przez założenie, że w pewnych warunkach niewidoczny kot może być równocześnie żywy i martwy. A nie „może martwy”.

– Och – odpowiadam, bo nawet nie ma sensu udawać, że to wiedziałem. Czuję się jak kompletny kretyn, więc zmieniam temat. – Wygląda na to, że Kruchy Cooper

posłużył się swoją kruchą magią i wystawi jednak musical.

– Taa, a co ty masz przeciwko *Kruchemu tancerzowi*?

– Czytałaś to kiedyś?

– No. Będzie super, jeśli się uda.

– No widzisz, jestem tam jakby drugą gwiazdą. Gil Wrayson. To oczywiście ja. I to jest po prostu żenujące.

– Nie uważasz, że to fantastyczne być drugą gwiazdą w życiu Kruchego?

– Nie chcę być drugą gwiazdą w niczym życiu – protestuję. Jane nie odpowiada. –

A co u ciebie? – pytam więc po sekundzie.

– Dobrze.

– Tylko dobrze?

– Nie znalazłeś liściku w kieszeni kurtki?

– Czego nie... Był tam liścik?

– Tak.

– Och. Poczekaj.

Odkładam telefon na biurko i przekopuję kieszenie. Problem z moją kurtką polega na tym, że jeśli mam jakieś drobne śmieci – na przykład paperek po snickersie – a nie widzę w okolicy kubła, kieszenie spełniają jego funkcję. Za to później słabo mi idzie opróżnianie śmietnika z kurtki. Zatem mija kilka minut, nim udaje mi się znaleźć złożoną kartkę papieru. Na wierzchu jest napisane:

Do: Will Grayson

Od: Houdini od szafek

Chwytam telefon i mówię:

– Hej, znalazłem.

Czuję ściskanie w żołądku, które jest zarówno przyjemne, jak i nieprzyjemne.

– Przeczytałeś?

– Nie – odpowiadam i przychodzi mi do głowy, że może lepiej byłoby tego nie czytać. Przede wszystkim nie powinienem był do niej dzwonić. – Chwila.

I rozwijam kartkę.

Panie Grayson,

Powinien Pan sprawdzać, czy nikt nie patrzy, kiedy otwiera Pan szafkę. Nigdy nie wiadomo (18), kiedy ktoś (26) zapamięta (4) pański kod. Dzięki za kurtkę. Chyba duch rycerski nie zginął w narodzie.

Pańska

Jane

PS Podoba mi się, że traktujesz swoje kieszenie tak jak ja samochód.

Kończę czytać liścik i natychmiast czytam go ponownie. Co czyni obie prawdy jeszcze prawdziwszymi. Chcę jej. I równocześnie nie chcę. Może jednak jestem cyborgiem. Nie mam pojęcia, co powiedzieć, więc mówię najgorszą możliwą rzecz:

– Jak słodko.

Dlatego właśnie powinienem trzymać się zasady numer dwa.

W zapadłej ciszy mam czas przemyśleć słowo „słodko” – to, że jest lekceważące, że właściwie brzmi tak, jakby chciało się nazwać kogoś idiotą, że traktuje się go jak dziecko, że to jaśniejący w ciemnościach neon: „Ale żenada”.

Jane odzywa się w końcu:

– To nie jest mój ulubiony przysłówek.

– Przepraszam. Chodziło mi...

– Wiem, o co ci chodziło, Will – przerywa mi. – Przykro mi. Ja... sama nie wiem. Właśnie rozpadł się mój związek i chyba próbuję zapełnić pustkę, a ty jesteś najoczywistszym kandydatem. O mój Boże, to brzmi podle. Kurczę! Rozłączam się.

– Przepraszam za „słodko”. To nie było słodkie. Było...

– Zapomnij. Zapomnij też o tym liściku. Ja nawet... Po prostu zapomnij, Grayson.

Po tym niezręcznym zakończeniu, uświadamiam sobie, co miało nastąpić po: „Ja nawet...”. „Ja nawet... cię nie lubię, Grayson, ponieważ jesteś, jak by to ująć uprzejmie, niezbyt bystry. Na przykład musiałeś sprawdzić tego fizyka w Wikipedii. Tęsknię za swoim chłopakiem, a ty nie chciałeś mnie pocałować, więc potraktowałam to jak wyzwanie, i to naprawdę nic nie znaczyło, ale nie wiem, jak ci to powiedzieć, nie raniąc twoich uczuć, a ponieważ jestem o wiele bardziej współczująca i myśląca niż ty z twoim „słodko”, zakończę to zdanie na *Ja nawet...*”.

Znów dzwonię do Kruchego, tym razem nie w sprawie Może Martwych Kotów, a on odbiera po pierwszym dzwonku.

– Dzień dobry, Grayson.

Proszę go o opinię w kwestii możliwego zakończenia zdania Jane, a potem pytam, jakie spięcie nastąpiło w moim mózgu, że nazwałam jej list słodkim. I jak to możliwe, że ona mnie równocześnie pociąga i nie pociąga, i czy może jestem cyborgiem niezdolnym do prawdziwych uczuć, i czy nie sądzi, że starania, by stosować się do zasad siedzenia cicho i nieangażowania się, uczyniły ze mnie jakieś odrażające monstrum, którego nikt nigdy nie pokocha i nie poślubi. Mówię to wszystko, podczas gdy Kruchy milczy, co jest wydarzeniem bez precedensu, a kiedy wreszcie kończę, przyjaciel chrząka „hrmm” w charakterystyczny dla siebie sposób i stwierdza (cytuję dosłownie):

– Grayson, czasami zachowujesz się jak baba.

Po czym się rozłącza.

Niedokończone zdanie dręczy mnie przez całą noc. A potem moje serce cyborga postanawia coś zrobić – takie coś, co sprawiłoby przyjemność dziewczynie, która by mi się hipotetycznie podobała.

W piątek w szkole superszybko pochłaniam obiad, co przychodzi mi dość łatwo, ponieważ razem z Kruchym siedzimy przy stole okupowanym przez Ludzi Sceny. Dyskutują o *Kruchym tancerzu*, wypowiadając więcej słów przez minutę niż ja przez cały dzień. Krzywa konwersacji przebiega według pewnego schematu – głosy stają się coraz szybsze i bardziej donośne, wrzawa narasta, aż Kruchy, nie zwracając się do nikogo konkretnego, rzuca żart, a stół wybucha śmiechem. Potem wszystko się na moment uspokaja, po chwili głosy znów się odzywają, narastają i narastają aż do erupcji po uwadze Kruchego. Gdy już dostrzegam ten wzorzec, zaczyna mi się wydawać irytujący, ale próbuję się skupiać na jak najszybszym pochłonięciu enchilady. Wypijam duszkiem colę i wstaję.

Przyjaciół unosi dłoń, by uciszyć chór:

– Dokąd się wybierasz, Grayson?

– Muszę coś sprawdzić.

Znam w przybliżeniu położenie jej szafki. Stoi w korytarzu gdzieś naprzeciwko muralu, na którym nędznie namalowana wersja naszej szkolnej maskotki, Dzikiego Kota Karola, oznajmia w komiksowym dymku: „Dziki koty szanują WSZYSTKICH”, co jest komiczne na przynajmniej czternastu różnych poziomach, a czternasty jest taki, że nie istnieje taki gatunek jak dziki kot. Kot Karol przypomina nieco kuguara, i choć nie jestem ekspertem w dziedzinie zoologii, mam raczej pewność, że kuguary nie szanują wszystkich.

Opieram się więc o mural z Kotem Karolem tak, że wyglądam, jakbym to ja mówił: „Dziki koty szanują WSZYSTKICH”, i czekam około dziesięciu minut, usiłując sprawiać wrażenie, że robię coś konkretnego. Żałuję, że nie wziąłem książki czy czegoś innego, dzięki czemu nie widać by było na pierwszy rzut oka, że stoję na czatach, aż w końcu rozlega się dzwonek na przerwę i korytarz zapełnia się ludźmi.

Jane zbliża się do swojej szafki, a ja wychodzę na środek korytarza, przepychając się przez tłum uczniów, robię krok w lewo, żeby stanąć pod odpowiednim kątem, i widzę jej dłoń sięgającą do zamka szyfrowego. Wyteżam wzrok: 25-2-11. Wtapiam się w grupę i ruszam na historię.

Siódma lekcja to zajęcia z projektowania gier komputerowych. Okazuje się, że projektowanie gier jest niewiarygodnie trudne i o wiele mniej przyjemne niż granie w nie, ale korzyść z tych zajęć taka, że mam dostęp do Internetu, a mój monitor przez większość czasu stoi tyłem do nauczyciela.

Piszę więc mail do Może Martwych Kotów.

Od: williamgrayson@eths.il.us

Do: tenkotmozebycmartwy@gmail.com

Temat: Uszczęśliwcie mnie

Drogie Może Martwe Koty,

Jeśli będziecie dziś grać *Annus Mirabilis*, czy moglibyście zadedykować go 25-2-11 (to kod do szafki pewnej dziewczyny)? Byłoby cudownie.

Przepraszam, że proszę tak późno.

Will Grayson

Odpowiedź przychodzi jeszcze przed końcem lekcji.

Will,

Dla miłości wszystko.

MMK

Zatem w piątek po szkole razem z Kruchym i Jane idziemy do Frank's Frank, knajpki z hot dogami kilka przecznic od klubu. Siedzę w małym boksie obok niej, biodro w biodro. Nasze kurtki leżą na stercie obok Kruchego. Jej włosy opadają w lokach na ramiona, ubrana jest w nieodpowiedni do pogody top na cienkich ramiączkach i ma całkiem mocny makijaż.

Ponieważ to jest knajpka z klasą, kelner podchodzi, by przyjąć nasze zamówienie. Ja i Jane prosimy o hot doga i napój. Kruchy zaś zamawia cztery hot dogi, dodatkowo trzy bez bułek, miseczkę chili i dietetyczną colę.

– Dietetyczną colę? – dziwi się kelner. – Zamawiasz cztery hot dogi z bułkami, trzy bez, miseczkę chili i dietetyczną colę?

– Zgadza się – potwierdza Kruchy, po czym wyjaśnia: – Proste cukry nie pomagają mi w budowaniu masy mięśniowej.

Kelner tylko kręci głową, cmokając wymownie.

– Biedny ten twój system trawienny – mówię. – Pewnego dnia przewód pokarmowy zbuntuje się przeciwko tobie. Wyciągnie macki i cię udusi.

– Trener mówi, że idealnie by było, gdybym przytył czternaście kilo przed początkiem następnego sezonu. Chcę dostać stypendium od szkoły z pierwszej ligi? Muszę być potężny. A mnie jest tak trudno przybrać na wadze. Staram się bardzo, lecz to ciągła walka.

– Masz naprawdę ciężkie życie, Kruchy – współczuje mu Jane.

Śmieję się i wymieniamy spojrzenia, a mój przyjaciel mówi:

– O mój Boże, zróbcie to w końcu.

Czym wywołuje niezręczną ciszę, aż wreszcie Jane pyta:

– Gdzie są Gary i Nick?

– Pewnie się godzą – wyjaśnia Kruchy. – Zerwałem wczoraj z Nickiem.

– Słusznie. To od początku było skazane na porażkę.

– Wiem chyba, nie? Myślę, że chciałbym przez jakiś czas być singlem.

Odwracam się do Jane.

– Założę się o pięć dolców, że nasz przyjaciel znów się zakocha przed upływem czterech godzin.

Jane wybucha śmiechem.

– Zgódź się na trzy, a wejdę w to.

– Zakład stoi.

Podajemy sobie dłonie.

* * *

Po kolacji przez chwilę szlajamy się po okolicy, żeby zabić czas, a potem stajemy w kolejce przed Magazynem. Jest zimno, lecz budynek chroni nas przynajmniej przed wiatrem. Wyciągam portfel, wsuwam podrobiony dowód do pierwszej przegródki, a prawdziwe prawo jazdy ukrywam między kartą ubezpieczenia zdrowotnego i kartą kredytową ojca.

– Pokaż – prosi Kruchy, a ja podaję mu portfel. – Kurde, Grayson, choć raz w życiu nie wyglądasz na zdjęciu jak dupościsk.

Gdy zbliżamy się do początku kolejki, przyjaciel wpycha mnie przed siebie – chyba po to, by czerpać przyjemność z patrzenia, jak po raz pierwszy w życiu używam fałszywego dowodu. Bramkarz jest ubrany w koszulkę, która nie rozciąga się aż tak, by zakryć jego brzuch.

– Dowód – mówi do mnie. Wyciągam portfel z tylnej kieszeni, wysuwam dowód i podaję. Świeci na niego latarką, a potem kieruje ją w moją twarz, znów na dowód i pyta w końcu: – Myślisz, koleś, że nie umiem liczyć?

– Yyy? – ja na to.

– Chłopie, masz dwadzieścia lat – oznajmia bramkarz.

– Dwadzieścia jeden – protestuję.

Oddaje mi dowód ze słowami:

– Ale według twojego cholernego dowodu masz dwadzieścia.

Przyglądam się dokumentowi i wykonuję obliczenia. Według nich skończę dwadzieścia jeden lat w styczniu.

– Eee – stękam. – No tak. Przepraszam.

Ten durny, beznadziejny ćpun wstawił złą datę. Oddalam się od wejścia do klubu, a Kruchy idzie za mną, zataczając się ze śmiechu. Jane też chichocze. Przyjaciół klepie mnie za mocno po ramieniu i mówi:

– Tylko Grayson mógł załatwić sobie fałszywy dowód, w którym ma dwadzieścia lat. Kompletna beznadziejna!

– Twój kumpel – zwracam się do Jane – wstawił zły rok.

– Przykro mi – odpowiada.

Ale chyba nie jest jej aż tak przykro, bo inaczej przestałaby się śmiać.

– Spróbujemy cię wprowadzić – proponuje, ale ja kręcę głową.

– Idźcie sami – mówię. – Zadzwońcie do mnie, jak się skończy. Posiedzę sobie w Frank's Frank czy gdzieś. I dajcie znać, jeśli zagrają *Annus Mirabilis*.

I tak właśnie robią: idą sobie. Wracają do kolejki, a ja patrzę, jak znikają w klubie, i żadne z nich nawet nie próbuje powiedzieć czegoś w stylu: „Nie, nie, nie chcemy iść na koncert bez ciebie”.

Nie zrozumcie mnie źle. Ten zespół jest świetny, co nie zmienia faktu, że z jego powodu przyjaciele się na mnie wypięli. Gdy stałem w kolejce, nie czułem chłodu, ale teraz okazuje się, że jest lodowato. Nie cierpię tego rodzaju mrozu, w którym oddychanie przez nos grozi odmrożeniem mózgu. A do tego jestem sam ze swoim cholernym, bezwartościowym fałszywym dowodem za sto dolców.

Wracam do Frank's Frank, zamawiam hot doga i jem powoli. Niestety nie mogę go pochłaniać przez następne dwie lub trzy godziny – nie da się aż tak delektować hot dogiem. Mój telefon leży na stole, a ja gapię się na niego w głupiej nadziei, że może Jane albo Kruchy zadzwonią. I siedząc tak, coraz bardziej się wkurzam. To skurczysyństwo zostawić człowieka samego w knajpie, by gapił się w przestrzeń – bo nawet nie mam książki, żeby dotrzymała mi towarzystwa. Nie chodzi już tylko o Kruchego i Jane. Jestem wkurzony na siebie, że ich puściłem, że nie sprawdziłem daty w durnym dowodzie, że siedzę i czekam, aż zadzwoni telefon, choć mógłbym pojechać do domu.

Myśląc o tym, uświadamiam sobie, na czym polega problem, gdy idzie się tam, gdzie się jest pchanym: czasami zostaje się wepchniętym właśnie w taką sytuację.

Mam dość chodzenia tam, gdzie mnie pchają. Takie zachowanie rodziców można znieść. Ale Kruchy Cooper pchający mnie w ramiona Jane, potem po fałszywy dowód, a następnie śmiejący się z porachy, do której doprowadziłem, i zostawiający mnie tu samego z przeklętym, drugorzędnym hot dogiem, podczas gdy ja nawet nie lubię pierwszorzędných – to już przegięcie.

Widzę go oczyma wyobraźni, z uśmiechem na tłustym obliczu. „Kompletna beznadziejna. Kompletna beznadziejna”. Nie ma bata! Mogę kupować papierosy, choć nie palę. Mógłbym nawet nielegalnie zarejestrować swój głos w wyborach. Mogę... hej! Hm, to dopiero pomysł.

Naprzeciwko Magazynu jest takie miejsce. Takie, co ma neon i żadnych okien. Nieszczególnie kręci mnie porno – czy „książki dla dorosłych” obiecywane na tablicy koło drzwi – ale nich mnie szlag, jeśli spędzę cały wieczór we Frank's Frank, nie korzystając z fałszywego dowodu. Nie. Pójdę do sex shopu. Kruchy Cooper nie miałby jaj, żeby odwiedzić takie miejsce. Bez szans. Myślę o opowieści, którą będę miał dla przyjaciół, kiedy wyjdą z koncertu. Kładę piątkę na stole – pięćdziesiąt centów napiwku – i idę cztery przecznice dalej. Zbliżając się do wejścia, czuję się trochę nieswojo, ale tłumaczę sobie, że wałęsanie się po centrum Chicago na mrozie jest o wiele bardziej niebezpieczne niż jakikolwiek szemrany sklepik.

Popycham drzwi i wchodzę do pomieszczenia zalanego jarzeniowym światłem. Po lewej stoi gość obity taką liczbą kolczyków w różnych częściach ciała, że wygląda jak Blasany Drwal, i gapi się na mnie.

– Chcesz się rozejrzeć czy szukasz tokenów? – pyta.

Nie mam zielonego pojęcia, co to są tokeny, więc odpowiadam:

– Rozejrzeć się?

– Dobra, proszę.

– Słucham?

– No, wejdź.

– Nie sprawdzi pan mojego dowodu?

Facet śmieje się.

– A co, masz szesnaście lat?

Trafił idealnie, lecz mówię:

– Nie, dwadzieścia.

– No jasne. Tak przypuszczałem. Zapraszam.

A ja myślę: O mój Boże, czy jest w tym mieście coś trudniejszego niż skorzystanie z cholernego fałszywego dowodu? To śmieszne. Nie zniosę tego.

– Nie – protestuję z mocą. – Proszę mnie wylegitymować.

– Dobra, ziom. Jeśli od tego masz dreszcze na marakasach. – I bardzo dramatycznym tonem pyta: – Czy mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości?

– Może pan – odpowiadam i wręczam mu zalaminowany kartonik. Rzuca na niego okiem i oddaje mi ze słowami

– Dzięki, Ishmaelu.

– Bardzo proszę – mówię z rozdrażnieniem. I tak ląduję w sex shopie.

Właściwie jest tu dość nudno. Wygląda jak w zwykłym sklepie: półki z płytami DVD oraz starymi taśmami VHS i regały sklepowe skąpane w ostrym jarzeniowym świetle. Zauważam jednak pewne różnice w porównaniu ze zwykłym sklepem z filmami, na przykład: A. w zwykłym sklepie tytuły niewielu filmów zawierają słowa „anal” lub „szparka”, a tu wydaje się wręcz odwrotnie; poza tym B. w zwykłym sklepie nie ma zbyt wielu przyrządów do spankingu, a tu trochę by się ich znalazło;

ponadto C. w normalnym sklepie niewiele artykułów skłania do refleksji: „Nie mam zielonego pojęcia, jak ani gdzie tego używać”.

Poza señorem Muy Okolczykowanym nie ma tu nikogo i bardzo chciałbym już opuścić ten przybytek, ponieważ jest to najmniej przyjemna i satysfakcjonująca część tego dnia, który był i tak bardzo nieprzyjemny i niesatysfakcjonujący. Ale cała wyprawa kompletnie straci sens, jeśli nie zdobędę dowodu, że naprawdę tu byłem. Moim celem jest znalezienie czegoś, co ubarwi przezabawną opowieść, co sprawi, że Kruchy i Jane poczują, iż miałem fantastyczny wieczór, z którego im skapnie tylko okruch. I w ten oto sposób w końcu trafiam na hiszpańskojęzyczny magazyn zatytułowany *Mano a Mano*.

6

w tej chwili chciałbym wykonać skok naprzód w czasie. albo natychmiast przenieść się w przeszłość.

chciałbym dać susa w przyszłość, ponieważ za dwadzieścia godzin będę z isaakiem w chicago, i marzę o tym, by do tego czasu pominąć wszystko, żeby szybciej się z nim spotkać. nie obchodzi mnie, czy za dziesięć godzin wygram na loterii albo czy za dwanaście otrzymam szansę szybszego skończenia szkoły. nie dbam o to, czy za czternaście godzin będę miał najbardziej wiekopomny orgazm w całej niepisanej historii. chciałbym to wszystko przewinąć jak najszybciej, żeby być z isaakiem zamiast tylko o nim myśleć.

jeśli chodzi o podróż wstecz w czasie, to bardzo proste – pragnę przenieść się w przeszłość i zamordować kolesia, który wymyślił matematykę. dlaczego? ponieważ teraz siedzę przy stole w stołówce, a derek mówi:

derek: jak się czujesz przed jutrzejszym konkursem matematycznym?

i wraz z tym prostym wyrażeniem – konkurs matematyczny – każdy gram znieczulenia kiedykolwiek podany mojemu ciału tak jakby natychmiast przestaje działać.

ja: kurczę blade matko boska

w naszej szkole są czterej matematycy biorący udział w konkursach. ja jestem tym czwartym. derek i simon to numer jeden i dwa, ale żeby wziąć udział w zawodach potrzebują co najmniej czterech członków drużyny. (numer trzy to jakiś pierwszoklasista, którego imienia z rozmysłem nie zapamiętuję. jego ołówek ma więcej charakteru niż on).

simon: zapomniałeś o tym?

obaj odkładają swoje meatburgery (tak się nazywają u nas w stołówce) na talerze i patrzą na mnie tak pustym wzrokiem, że mógłbym przysiąc, iż widzę ekrany komputerów odbite w ich okularach.

ja: nie wiem. nie czuję się na siłach. może znajdziecie sobie zastępstwo?

derek: to nie jest śmieszne.

ja: haha! bo nie miało być!

simon: mówiłem ci – nie musisz nic robić. to zawody matematyczne, występujemy jako drużyna, ale jesteśmy oceniani indywidualnie.

ja: wiecie, że jestem waszym najzagorzalszym fanem. ale, hm, niestety mam na jutro inne plany.

derek: nie możesz nam tego zrobić.

simon: powiedziałeś, że weźmiesz udział.

derek: obiecuję, że będzie fajnie.

simon: nikt inny nam nie pomoże.

derek: będziemy się dobrze bawić.

rozpoznaję, że derek jest zaniepokojony, bo wygląda tak, jakby rozważał, czyby nie okazać lekkiej reakcji emocjonalnej na przedstawione mu bodźce informacyjne. chyba go to jednak przerasta, ponieważ bierze tacę i mamrocząc coś o karach w bibliotece, odchodzi od stołu.

nie mam żadnych wątpliwości, że wystawię chłopaków. jedyna kwestia jest taka, czy potrafię to zrobić, nie czując się jak najgorszy gnojek. to chyba objaw desperacji, ale postanawiam powiedzieć simonowi coś odlegle zbliżonego do prawdy.

ja: słuchaj, wiesz, że normalnie najważniejszy byłby dla mnie konkurs. ale to wyjątkowa sytuacja. umówiłem się na... na coś w rodzaju randki. i naprawdę, naprawdę muszę się zobaczyć z tą osobą, która dla mnie przyjeżdża z bardzo daleka. gdyby dało się to pogodzić i pójść z wami na zawody, zrobiłbym to. ale nie mogę. to jak... jeśli pociąg jedzie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i musi dojechać z konkursu matematycznego do centrum chicago na spotkanie w, powiedzmy, dwie minuty, nie ma szans, by zdążyć. muszę więc wskoczyć do ekspresu, ponieważ tory prowadzące na spotkanie będą wyłożone tylko ten jeden jedyny raz, a jeżeli wsiałę do złego pociągu, będę bardziej nieszczęśliwy, niż dałoby się to wyrazić jakimkolwiek równaniem.

dziwnie się czuję, mówiąc to wszystko komuś, zwłaszcza simonowi.

simon: nie obchodzi mnie to. obiecałeś, że pojedziesz, i musisz pojechać. to przypadek, w którym cztery minus jeden równa się zero.

ja: ale simon...

simon: przestań jęczeć i znajdź jakieś żywe ciało, które wsiałdzie z nami do samochodu pana nadlera. albo nawet martwe ciało, jeśli utrzyma się prosto przez godzinę. byłoby dobrze, gdyby dla odmiany pojechał ktoś, kto potrafi dodawać, ale przysięgam, że nie będę wybredny, wypierdku.

zdumiewające, że zazwyczaj przeżywam każdy dzień, nie uświadamiając sobie, jak niewiele mam przyjaciół. okazuje się, że poza pierwszą piątką więcej wśród nich pracowników szkoły niż członków społeczności uczniowskiej. a choć dozorca jim nie ma nic przeciwko temu, żebym od czasu do czasu rozwinął rolkę papieru toaletowego w ramach „projektu artystycznego”, mam przecucie, że nie chciałby poświęcić piątkowego popołudnia na wycieczkę z matematycznymi kujonami i groupies z ich fakultetu.

wiem, że mam tylko jeden strzał, i to niełatwy. maura cały dzień była w dobrym nastroju – to znaczy, w jej wersji dobrego nastroju, co oznacza, że prognoza przewiduje mżawki zamiast burz z piorunami. nie wspominała o kwestii gejowskiej, a ja, na boga, też nie.

czekam do ostatniej lekcji, wiedząc, że jeśli presja będzie większa, maura szybciej się zgodzi, mimo że siedzimy obok siebie, wydaję telefon pod ławką i wysyłam jej sms.

ja: co robisz jutro wieczorem?

maura: nic. masz jakąś propozycję?

ja: chciałbym. muszę jechać do chicago z mamą.

maura: ale czad.

ja: musisz wziąć za mnie udział w konkursie matematycznym. inaczej s&d będą uziemieni.

maura: kpisz sobie?

ja: nie, naprawdę będą.

maura: dlaczego miałabym to zrobić?

ja: bo będę ci winien przysługę. i dam ci 20 \$.

maura: winien 3 przysługi i dasz 50 \$.

ja: zgoda.

maura: zachowam te sms-y.

prawda? jest taka, że prawdopodobnie uratowałem maurę przed popołudniem spędzonym na chodzeniu po sklepach z matką, na odrabianiu zadań domowych albo na rozpruwaniu żył piórem w celu zdobycia materiału na poematy. po lekcjach mówię jej, że na pewno spotka tam jakiegoś innego wziętego na doczepkę outsidera z miasteczka, o którym nigdy nie słyszeliśmy, wymkną się we dwójkę na goździkowe papierosy i pogaduchy o tym, jacy wszyscy inni są beznadziejni, podczas gdy derek, simon i ten głupi pierwszak rozłożą się na teorematy i deltoidach. naprawdę czynię cuda dla jej życia towarzyskiego.

maura: nie przeginaj.

ja: przysięgam, będzie bosko.

maura: chcę dwadzieścia dolców z góry.

cieszę się, że nie musiałem kłamać, iż mam odwiedzić chorą babcię, czy coś w tym rodzaju, ponieważ, gdy tylko się powie, że babcia jest chora, dzwoni telefon, a następnie mama wchodzi do pokoju, by przekazać bardzo złe wieści o babcinej trzustce. i choć człowiek wie, że małe niewinne kłamstewka nie wywołują raka, i tak pozostaje mu poczucie winy do końca życia. maura dopytuje się o wypad do chicago, więc staram się ją przekonać, że jest ważny dla moich relacji z matką. ponieważ ona ma dwoje szczęśliwych rodziców, a ja jednego smętnego, wygrywam licytację na litość. myślę tyle o isaacu, że panicznie się boję, iż palnę coś na jego temat, ale na szczęście dociekliwość maury pomaga mi zachować czujność.

gdy nadchodzi pora, by każde z nas ruszyło w swoją stronę, maura wyprowadza jeszcze jeden sztych w poszukiwaniu prawdy.

maura: chciałbyś mi coś powiedzieć?

ja: jasne. chcę ci powiedzieć, że mam laktację z trzeciego sutka i zrastają mi się policzki na tyłku. jak myślisz, co powinienem z tym zrobić?

maura: mam uczucie, że czegoś mi nie mówisz.

oto problem z maurą: zawsze chodzi przede wszystkim o nią. zawsze. nie przeszkadza mi to zazwyczaj, ponieważ jeśli chodzi tylko o nią, wtedy nie chodzi o mnie. lecz czasami światło reflektorów skierowanych na maurę, pada również na mnie, i tego nie cierpię.

wydyma usta i muszę jej oddać sprawiedliwość: robi autentyczny dzióbek. nie próbuje mną manipulować, udając, że jest zirytowana. maura nie robi takich durnot i dlatego z nią wytrzymuję. wszystkie emocje odbijające się na jej twarzy mogą przyjmować za wartość nominalną, a to cenne u przyjaciela.

ja: powiem ci, gdy będę chciał ci coś powiedzieć, dobra? a teraz leć do domu pouczyć się matmy. masz... zrobiłem dla ciebie fiszki.

sięgam do torby i wyciągam karteczki, które przygotowałem na siódmej lekcji, jakoś przeczuwając, że maura się zgodzi pojechać na konkurs. nie są to prawdziwe

fiszki, bo nie noszę przy sobie kompletu kart na wszelki wypadek. ale porobiłem kropkowane linie, żeby wiedziała, gdzie je przeciąć. na każdej karteczce jest jedno równanie.

$$2 + 2 = 4$$

$$50 \times 40 = 2000$$

$$834\ 620 \times 375\ 002 = \text{kogo to obchodzi?}$$

$$x + y = z$$

$$\text{pyton} + \text{bóbr} = \text{szczęśliwa para zwierząt}$$

$$\text{czerwony} + \text{niebieski} = \text{fioletowy}$$

$$\text{ja} - \text{konkurs} = \text{ja} + \text{wdzięczność dla ciebie}$$

maura przygląda się im przez chwilę, potem zgina kartkę wzdłuż kropkowanych linii, jakby składała mapę. nie uśmiecha się ani trochę, ale przynajmniej nie wygląda na wkurzoną.

ja: nie pozwól, żeby derek i simon za bardzo się rozbrykali, okay? pamiętaj zawsze o zabezpieczeniu.

maura: chyba uda mi się nie stracić błony dziewiczej na konkursie matematycznym.

ja: teraz tak mówisz, ale zobaczymy za dziewięć miesięcy. jeśli to będzie dziewczynka, powinnaś dać jej na imię logarea, a chłopcu tryg.

przychodzi mi do głowy, że życie tak dziwnie się plecie, iż maura pewnie spotka jakiegoś seksownego matematycznego analfabetę, który włoży swój minus w jej plus, podczas gdy ja zawalę sprawę z isaakiem i wrócę do domu po pociechę własnej dłoni.

postanawiam nie mówić o tym maurze, żeby nie zapeszyć.

przyjaciółka żegna się ze mną przed odejściem. wygląda, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale nie robi tego. kolejny powód do wdzięczności.

dziękuję jej jeszcze raz. i jeszcze raz. i jeszcze raz.

gdy już mam to z głowy, wracam do domu i mailuję z isaakiem, kiedy przychodzi ze szkoły – dziś nie pracuje. omawiamy nasz plan jakieś dwa tysiące razy. jego przyjaciel odpowiedział, byśmy się spotkali w knajpie o nazwie frenchy's, a ponieważ nie znam chicago poza miejscami, które zwiedzaliśmy podczas szkolnych wycieczek, zgadzam się na to i drukuję przesłane przez niego wskazówki dojazdu.

kiedy kończymy wymianę maili, wchodzę na facebooka i po raz miliardowy oglądam jego profil. nie zmienia go tak często, ale w ten sposób przekonuję się, że

isaac naprawdę istnieje. chociaż wymieniliśmy się tyloma fotkami i rozmawialiśmy tak dużo, bym miał pewność, że jest prawdziwy – na pewno nie podszywa się pod niego jakiś czterdziestosześcioletek, który przygotował już dla mnie przytulne miejsce na tyle swojego nieoznakowanego vana. nie jestem taki głupi. poza tym spotkamy się w miejscu publicznym i mam przy sobie telefon. nawet jeśli isaac wpadnie w jakąś psychozę, będę na to przygotowany.

przed spaniem oglądam wszystkie jego zdjęcia, tak jakbym nie znał ich na pamięć. na pewno go rozpoznam, gdy tylko go ujrzę. i jestem pewien, że będzie to jedna z najlepszych chwil w moim życiu.

w piątek po szkole dopada mnie okrutna rzeczywistość. chciałbym popełnić mord na tysiąc różnych sposobów, a ofiarą byłaby moja garderoba. nie mam pojęcia, w co się ubrać – a bynajmniej nie należę do tych kolesiów, co to jęczą, że nie mają co na siebie włożyć, więc nawet nie wiem, jak podejść do problemu. każda cholerna sztuka mojej odzieży wybrała sobie ten moment, by ujawnić wady. wkładam tę koszulkę, w której zawsze wydawało mi się, że wyglądam dobrze, i która sprawia, że moja klatka piersiowa nabiera jakiegoś kształtu. ale wtedy odkrywam, iż koszulka zrobiła się tak mała, że gdy uniosę ramiona choć o trzy centymetry, demonstruję owłosienie na brzuchu. przymierzam więc tę czarną, lecz wyglądam w niej, jakbym się za bardzo starał. potem kolej na białą. w niej jest spoko, dopóki nie dostrzegam plamy na dole. mam nadzieję, że to sok pomarańczowy, ale pewnie zrobiłem ją, wsuwając koszulkę w spodnie, zanim się wytarłem. t-shirty z nazwami zespołów są zbyt oczywiste – jeśli włożę z jego ulubioną kapelą, wyjdzie na to, że się podlizuję, a jeśli z taką, za którą nie przepada, pomyśli, że mam słaby gust. szara bluza z kapturem jest zbyt znoszona, natomiast ta niebieska ma praktycznie taki sam odcień jak džinsy, a błękitny *total look* może udźwignąć tylko ciasteczkowy potwór.

po raz pierwszy w życiu rozumiem, dlaczego wieszaki tak właśnie się nazywają, bo po piętnastu minutach przymierzania ciuchów mam ochotę zamocować jeden na drzwiach szafy, przełożyć przezeń głowę i zawisnąć na nim całym ciężarem. mama wejdzie i pomyśli, że uprawiałem jakieś autoerotyczne podduszanie, tylko że nie zdążyłem nawet wyjąć kutasa, a ja będę martwy i nie będę mógł jej wyjaśnić, iż uważam autoerotyczne podduszanie za jedną z najdurniejszych rzeczy we wszechświecie, na równi z republikanami gejami. ale nie będę już żył i wszystko odbędzie się jak w odcinku *CSI:FU*, pojawią się śledczy i spędzą trzy kwadransy plus czas na reklamy, grzebiąc w moim życiu, a pod koniec zabiorą mamę na komendę, posadzą za stołem i przekażą jej nagą prawdę.

glina: proszę pani, syn nie został zamordowany. on tylko przygotowywał się na pierwszą randkę.

uśmiecham się pod nosem, wyobrażając sobie, jak będą kręcić tę scenę, lecz nagle przypominam sobie, że stoję półnagi na środku pokoju, a niedługo muszę pędzić na pociąg. w końcu wybieram koszulkę z wizerunkiem robota wykonanego ze srebrnej taśmy klejącej opatrzonym pod spodem małym napisem *robotboy*. nie wiem, dlaczego mi się podoba. i nie wiem dlaczego, ale czuję, że isaacowi też się spodoba.

chyba rzeczywiście się denerwuję, ponieważ martwię się tym, jak wygląda moja fryzura, ale kiedy stoję przed lustrem w łazience, postanawiam zostawić włosy w spokoju. ponieważ zazwyczaj najlepiej wyglądają, gdy wieje wiatr, po prostu wystawię głowę przez okno w pociągu czy coś w tym rodzaju. mógłbym użyć maminych kosmetyków do włosów, ale nie chcę pachnieć jak motyle na łące. skończyłem.

powiedziałem mamie, że konkurs odbywa się w chicago. uznałem, że skoro i tak kłamię, to równie dobrze mogę jej dać satysfakcję, że dotarliśmy do finału stanowego. zapewniłem ją, że szkoła wynajęła autobus, a tymczasem kieruję swoje kroki na dworzec kolejowy, a co tam. nerwy mam już kompletnie rozdygotane. próbuję czytać *zabić drozda* na angielski, ale jest tak, jakby litery stanowiły po prostu ładny wzór na stronie, bo nie niosą dla mnie więcej treści niż zygzaki na kolejowych siedzeniach. mógłby to być film akcji zatytułowany *giń, drożdziej, giń!*, a mnie i tak by to nie ruszyło. zamykam więc oczy i słucham muzyki z i-poda, lecz mam wrażenie, że został przeprogramowany przez jakiegoś wrednego kupidyna, bo każdy utwór kojarzy mi się z isaakiem. to o nim są wszystkie piosenki. i choć jakaś część mnie wie, że prawdopodobnie jest tego wart, inna część wydziera się, żebym się, kurka, opamiętał. spotkanie z isaakiem będzie na pewno ekscytujące, ale też niezręczne. rzecz w tym, by ta niezręczność nam nie zaszkodziła.

poświęcam jakieś pięć minut na wspomnianie historii moich randek – nie mam czego wspominać dłużej – i wracam do traumatycznego przeżycia z pijaną carissą nye obmacującą mnie na imprezie u sloana mitchella kilka miesięcy temu. całowanie było bardzo podniecające, ale gdy zrobiło się poważniej, carrisa zaczęła mieć taką głupio napaloną minę, że nieomal wymiękłem. mieliśmy spore problemy ze stanikiem, który odciął dopływ krwi do jej mózgu, a kiedy w końcu chwyciłem jej piersi w dłonie (nie żebym się o to prosił), nie wiedziałem, co z nimi robić, więc pieściłem je, jakby były szczeniaczkami. szczeniaczkom to się podobało i carrisa postanowiła mnie też popieścić, co sprawiło mi przyjemność, ponieważ jeśli o to chodzi, dłonie to dłonie, a dotyk to dotyk, i ciało reaguje tak, jak powinno reagować. nie obchodzi go za grosz rozmowa, która ma się odbyć potem. nie tylko z carissą, która chciała zostać moją dziewczyną, a którą ja chciałem jak najdelikatniej spławić, lecz w efekcie i tak zraniłem jej uczucia. nie, musiałem jeszcze uporać się z maurą, ponieważ gdy tylko się o tym dowiedziała (nie ode mnie), totalnie się wkurzyła (wyłącznie na mnie). oznajmiła, że jej zdaniem carissa mnie wykorzystuje, ale zachowywała się tak,

jakbym to ja wykorzystywał carissę, podczas gdy cała sprawa była po prostu dla obu stron niekorzystna. ale niezależnie od tego, ile razy bym o tym nie zapewnił, nie chciała mi odpuścić. przez kilka tygodni krzyczała: „to może zadzwoń sobie do carissy?”, gdy tylko się pokłóciliśmy. całe to obmacywanie nie było tego warte.

isaac oczywiście to zupełnie inna sprawa. nie tylko w kwestii obmacywania. choć na pewno to też jest ważne. nie jadę do miasta tylko po to, by się z nim obłapiać. być może nie jest to moja ostatnia myśl, ale też nie pierwsza.

myślałem, że będę za wcześnie, ale naturalnie jeszcze zanim udaje mi się dotrzeć w poblize miejsca, w którym mamy się spotkać, jestem bardziej spóźniony niż miesięczka ciężarnej. idę po michigan avenue wraz z tłumem młodzieży na wieczornym wypadzie do miasta. wszyscy wyglądają tak, jakby właśnie wyszli z treningu koszykówki albo jakby właśnie skończyli oglądać mecz koszykówki w telewizji. kilka okazji wpada mi w oko, ale patrzę na nie z czysto naukowym zainteresowaniem. przez następnych, och, już tylko dziesięć minut zamierzam oszczędzać się dla isaaca.

ciekawe, czy już jest na miejscu. ciekawe, czy denerwuje się tak jak ja. ciekawe, czy poświęcił tyle czasu na wybieranie koszulki. ciekawe, czy jakimś dziwnym zrządzeniem losu okaże się, że ubraliśmy się tak samo. jakby siła wyższa postanowiła objawić, że to ma być całkowicie oczywiste.

spoczone dłonie. drżące nogi. uczucie, że hel wyparł cały tlen z powietrza. zerkam na mapę piętnaście razy na sekundę. pozostało pięć przecznic. cztery przecznice. trzy. dwie. stanówka. róg ulicy. szukam frenchy's. zakładam, że to będzie modny klub. albo kawiarnia. albo sklep z undergroundową muzyką. albo choćby podupadła knajpka.

dochodzę na miejsce i odkrywam, że to... sex shop.

uznam, że pewnie dostał nazwę po jakimś lokalu w okolicy. może to dzielnica frenchy's i wszystko tak się tu nazywa, tak jak na przykład w śródmieściu są bajgle śródmiejskie, pralnia śródmiejska i śródmiejskie studio jogi. ale nie. obchodzę cały budynek. próbuję od tyłu. sprawdzam adres ciągle od nowa.

i wracam. znów stoję pod drzwiami.

przypominam sobie, że to przyjaciel isaaca zasugerował to miejsce. tak przynajmniej twierdził isaac. jeśli to prawda, może to jest żart i biedak dotarł tu wcześniej, zawstydził się i czeka na mnie w środku. a może to jakiś kosmiczny test. muszę przekroczyć rzekę skrajnego zakłopotania, żeby dostać się do raju na drugim brzegu.

a co mi tam, do cholery, stwierdzam.

wokół mnie szaleje lodowaty wiatr, a ja wchodzę do środka.

7

Słyszę brzdęknięcie elektronicznego sygnału przy drzwiach, więc się odwracam i widzę, że do sklepu wchodzi jakiś chłopaczek. Oczywiście sprzedawca go nie legitymuje, a choć dzieciak być może ma już włosy łonowe, to na pewno nie skończył jeszcze osiemnastu lat. Drobnny, wielkooki, rozczochrany i absolutnie wylękniony – tak przerażony jak ja bym pewnie był, gdybym już wcześniej nie stanął na skraju załamania nerwowego przez spisek antygraysonowy obejmujący A. Jane, B. Kruchego, C. zakolczykowanego osobnika za kontuarem i D. upalonego McKopistęKonopistę.

W każdym razie młodzik tak badawczo szacuje mnie wzrokiem, że ogarnia mnie zakłopotanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, iż dzierżę w ręku egzemplarz *Mano a Mano*. Pewien jestem, że istnieje bezlik fantastycznych sposobów, na które można dać do zrozumienia nieletniemu obcemu stojącemu obok Wielkiej Ściany Dildo, że nie jest się tak naprawdę fanem *Mano a Mano*, ale ja obieram strategię polegającą na wymamrotaniu:

– To, eee, dla przyjaciela.

To przecież prawda, ale A. ta wymówka nie brzmi wybitnie przekonująco, B. sugeruje, że przyjaźnię się z typem, który lubi *Mano a Mano*, a ponadto implikuje, że C. jestem człowiekiem, który kupuje kumplom pornomagazyny. Gdy tylko mówię: „To dla przyjaciela”, uświadamiam sobie, że powinienem był powiedzieć: „Próbuję poduczyć się hiszpańskiego”.

Dzieciak nadal się na mnie gapi, lecz teraz mruży oczy ze złością. Przez kilka sekund przetrzymuję jego wzrok, a potem się odwracam. W końcu mija mnie i rusza do alejek z filmami. Mam wrażenie, że szuka czegoś konkretnego i że to nie jest związane z seksem, w którym to wypadku tutaj tego raczej nie znajdzie. Wędruje na tyły sklepu, gdzie widać otwarte drzwi, które mogą się chyba jakoś wiązać z „tokenami”. Marzę tylko, by zniknąć stąd z egzemplarzem *Mano a Mano*, więc podchodzę do zakolczykowanego i mówię:

- Tylko to, proszę.
- Wybija cenę na kasie.
- Dziewięć osiemdziesiąt trzy – oznajmia.
- Dziewięć DOLARÓW? – upewniam się z niedowierzaniem.
- I osiemdziesiąt trzy centy – dopowiada.

Kręcę głową. Robi się z zakupu wybitnie kosztowny żart, ale nie zamierzam wracać do regału z tymi paskudnymi czasopismami i szukać czegoś tańszego. Grzebię w kieszeniach i wydobywam coś około czterech dolców. Wzdycham więc, sięgam do tylnej kieszeni i podaję kołesiowi kartę debetową. Co prawda rodzice przeglądają wyciągi, ale Frenchy's powie im tyle samo co Danny's.

Koleś patrzy na kartę. Potem na mnie. Na kartę. Na mnie. Jeszcze zanim się odzywa, dociera do mnie, że na karcie widnieje nazwisko William Grayson. A w dowodzie Ishmael J. Biafra.

– William. Grayson. William. Grayson – mówi sprzedawca zdecydowanie zbyt głośno. – Gdzie ja widziałem to nazwisko? A, wiem. Nie w twoim dowodzie.

Przez chwilę rozważam, jakie mam opcje, i odpowiadam spokojnie.

– To moja karta. Znam PIN. Proszę skasować.

Przesuwa kartę przez czytnik, mówiąc :

– Gównu mnie to obchodzi, stary. Hajs to hajs.

Nagle czuję, że ten młody stoi za mną i znów się we mnie wgapia, więc obracam się.

– Co pan powiedział? – pyta chłopak.

Tyle że nie zwraca się do mnie, lecz do Kolczyka.

– Że gównu mnie obchodzi jego dowód osobisty.

– Nie wołał mnie pan?

– O czym ty, dziecko, kurna, mówisz?

– William Grayson. Powiedział pan William Grayson? Czy ktoś mnie tu wołał?

– Co? Nie, synu. William Grayson to ten kolo – wyjaśnia, kiwając głową w moją stronę. – Choć istnieją co do tego dwie szkoły, ale tak stoi na jego karcie kredytowej.

Młody patrzy na mnie zdezorientowany przez jakąś minutę, aż w końcu pyta:

– Jak się nazywasz?

To już mnie naprawdę wpienia. Frenchy's to nie miejsce na uprzejme konwersacje. Mówię więc do Kolczyka:

– Mogę prosić o gazetkę?

Podaje mi ją w całkowicie nieprzejrzystej czarnej plastikowej reklamówce bez napisów, za co jestem mu bardzo wdzięczny, a następnie wręcza mi kartę i paragon. Wychodzę ze sklepu, przebiegam pół przecznicy w dół Clark, siadam na krawężniku i czekam, aż wyrówna mi się tętno.

I już zaczyna się wyrównywać, gdy nieletni współtowarzysz mojej pielgrzymki po

Frenchy's dogania mnie i pyta:

– Jak się nazywasz?

Wstaję i odpowiadam:

– Will Grayson.

– W-I-L-L G-R-A-Y-S-O-N? – upewnia się, literując niewiarygodnie szybko.

– No tak – potwierdzam. – Dlaczego pytasz?

Dzieciak patrzy na mnie przez sekundę, przekrzywiając głowę, jakby myślał, że go nabieram, aż w końcu wyznaje:

– Bo ja też jestem Will Grayson.

– Zalewasz?

– Nie.

Nie mogę się zdecydować, czy jest paranoikiem, czy schizofrenikiem, czy jednym i drugim, ale wtedy wyciąga z kieszeni poklejony taśmą portfel i pokazuje mi prawo jazdy z Illinois. Drugie imiona mamy inne, ale reszta się zgadza.

– No cóż – mówię – miło cię poznać.

Po czym zaczynam się odwracać, bo choć nie mam nic do niego, nie uśmiecha mi się rozmowa z ziomem, który bywa w sex shopach, nawet jeśli, formalnie rzecz biorąc, ja też kimś takim jestem. Ale młody dotyka mojego ramienia. Wydaje się za mały, żeby być niebezpiecznym, więc zatrzymuję się.

– Znasz Isaaca? – pyta.

– Kogo?

– Isaaca.

– Nie znam nikogo o tym imieniu, stary – zaprzeczam.

– Miałem się z nim spotkać w tamtym miejscu, ale go nie było. Nie wyglądasz jak on, ale pomyślałem... Sam nie wiem, co pomyślałem. Co... co tu się, do cholery, dzieje? – Dzieciak okręca się w kółko, jakby szukał kamery albo czegoś w tym rodzaju. – Czy Isaac cię w to wrobił?

– Mówiłem już, stary, nie znam żadnego Isaaca.

Znów się odwraca, ale nikt za nim nie stoi. Wyrzuca ramiona w górę i mówi:

– Już nawet nie wiem, o co się wściekać.

– To był szalony dzień dla Willów Graysonów tego świata – przyznaję.

Potrząsa głową i siada na krawężniku, a ja obok niego, bo co innego mam zrobić. Obrzuca mnie spojrzeniem, odwraca wzrok, ale po chwili znów na mnie zerka. A potem całkiem mocno szczypie się w rękę.

– Tak myślałem. Sny nie mogą być aż tak dziwaczne.

– Chyba nie – zgadzam się. Nie umiem określić, czy chce, żebym z nim rozmawiał, ani czy ja chcę z nim rozmawiać, ale po chwili dodaje: – To jak poznałeś tego Isaaca, który chciał się spotkać w sex shopie?

– To... mój przyjaciel. Przyjaźnimy się od dłuższego czasu w necie.

– W necie?!

Will Grayson jeszcze bardziej zapada się w siebie, jeśli to w ogóle możliwe. Z przygarbionymi ramionami wpatruje się w kratkę ściekową na ulicy. Wiem oczywiście, że istnieją różni Wille Graysonowie. Googlowałem swoje nazwisko. Ale nie spodziewałem się, że któregoś z nich poznam. W końcu dzieciak potwierdza:

– Taa.

– Nigdy nie spotkałeś go w realu – podsumowuję.

– Nie – przyznaje – ale widziałem go na jakimś tysiącu zdjęć.

– To pięćdziesięcioletni facet – stwierdzam rzeczowo. – Zbok. Jeden Will do drugiego: nie ma szans, by ten Isaac był tym, za kogo go masz.

– Pewnie jest tylko... Nie wiem, może spotkał innego szurniętego Isaaca w autobusie i utknął w Świecie Dziwów.

– Po co, u diabła, miałby kazać ci iść do Frenchy's?

– Dobrze pytanie. Po co ktokolwiek idzie do sex shopu? – Chyba uśmiecha się pod nosem.

– Trafiony – przyznaję. – Ta, masz rację. Ale kryje się za tym pewna historia.

Czekam sekundę, aż Will Grayson spyta o moją historię, ale nie robi tego, więc i tak ją opowiadam. Mówię o Jane i Kruchym, o Może Martwych Kotach, o *Annus Mirabilis* i kombinacji do szafki Jane, o fałszerzu, który nie umiał liczyć. Po drodze kilka razy udaje mi się skłonić go do uśmiechu, ale przez większość czasu tylko patrzy w stronę Frenchy's i czeka na Isaaca. Na jego twarzy nadzieja walczy ze złością. Właściwie nieszczególnie zwraca na mnie uwagę, i bardzo dobrze, bo opowiadam tę historię tylko po to, by ją z siebie wyrzucić. I przedstawiam ją obcemu, ponieważ to najbezpieczniejszy rodzaj zwierzeń. Cały czas trzymam w kieszeni rękę na telefonie, by mieć pewność, że poczuję, jak wibruje, gdyby ktoś zadzwonił.

Później on opowiada mi o Isaacu, o tym, że przyjaźnią się od roku i że bardzo chciał go spotkać, bo nie ma nikogo takiego jak Isaac na przedmieściach, na których mieszka. Dość szybko zaczyna mi świtać, że uczucia Willa Graysona do Isaaca wcale nie są do końca platoniczne.

– I jaki pięćdziesięcioletni zboczeniec zrobiłby coś takiego? – mówi Will. – Jaki zbok traciłby rok życia na rozmowy ze mną, na opowiadanie mi wszystkiego o swoim zmyślonym ja, podczas gdy ja opowiadałem mu wszystko o swoim prawdziwym ja? A jeśli rzeczywiście by to zrobił, to dlaczego nie pojawił się w Frenchy's, żeby mnie zgwałcić i zamordować? Nawet w totalnie niemożliwy dzień to akurat jest totalnie niemożliwe.

Przez chwilę zastanawiam się nad tym.

– Nie wiem – mówię w końcu. – Ludzie bywają pokręceni, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś.

– Taa. – Już nie gapi się na Frenchy's, tylko przed siebie. Widzę go kątem oka i on

zapewne widzi mnie, ale nie patrzymy na siebie, tylko w to samo miejsce na ulicy, którą przejeżdżają samochody, a mój mózg próbuje ogarnąć wszystkie niemożliwości, wszystkie zbiegi okoliczności, które mnie tu sprowadziły, wszystkie fałszy i prawdy. Milczymy przez chwilę na tyle długą, że wydaję z kieszeni telefon, by się upewnić, czy nikt nie dzwonił, po czym chowam go znów, a Will w końcu przenosi wzrok z ulicy na mnie i pyta:

– Jak myślisz, co to znaczy?

– Co?

– Nie ma znów tak wielu Willów Graysonów – wyjaśnia. – To musi coś znaczyć, jeśli jeden Will spotyka drugiego w przypadkowym sex shopie, w którym żaden z nich normalnie nie bywa.

– Sugerujesz, że to Bóg sprowadził dwóch nieletnich Willów Graysonów z Chicago w tym samym momencie do Frenchy's?

– Nie, dupku – irytuje się – ale sugeruję, że to musi coś znaczyć.

– Ta. Trudno uwierzyć w taki zbieg okoliczności, ale jeszcze trudniej w coś innego. – I w tej chwili telefon podskakuje w mojej dłoni, a kiedy wyciągam go z kieszeni, komórka Willa Graysona też zaczyna dzwonić.

Nawet jak dla mnie trochę dużo tych zbiegów okoliczności. Chłopak mruczy pod nosem:

– Boże, to Maura.

Jakbym wiedział, kim jest Maura. Tylko wpatruje się w aparat, jakby niepewny, czy powinien odebrać. Do mnie dzwoni Kruchy. Mówię do Willa:

– To mój przyjaciel, Kruchy.

Patrzę na uroczego, zmieszanego i zagubionego Willa, i odbieram telefon.

– Grayson! – Kruszyna przekrzykuje muzykę w tle. – Kocham tę kapelę! Zostaniemy jeszcze na dwa kawałki, a potem po ciebie przyjdę. Gdzie jesteś, kotku ?! Gdzie mój śliczny, malutki Graysonik?!

– Po drugiej stronie ulicy! – odkrzykuję. – I przyjdź tu na kolanach, dziękując dobremu Bogu, bo, człowieku, spotkałem kogoś, kogo chętnie poznasz.

8

jestem tak skołowany, że gdyby ktoś mi wyciągnął klauna z tyłka, wcale bym się nie zdziwił.

być może to wszystko miałoby jakiś sens, gdyby ten stojący obok mnie DRUGI WILL GRAYSON nie był willem graysonem, ale złotym medalistą w praniu mózgów. kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, wcale nie pomyślałem: hej, ten koleś na pewno też się nazywa will grayson. nie, pomyślałem jedynie: hej, to nie jest isaac. wiek się zgadza, ale twarz zupełnie nie ta. więc go zignorowałem. obejrzałem pudełko z dvd, udając, że mnie zainteresowało. zawierało film zatytułowany *mleczny futrzak*. w tematyce „seksu muu”, a aktorzy na okładce nosili stroje krów (z jednym wymieniem). ucieszyłem się, że prawdziwe bydło nie doznało szwanku (albo przyjemności) podczas kręcenia dzieła. niezła jazda. nie mój klimat. obok leżało dvd zatytułowane *kiedy umieram z rozkoszy* ze szpitalną sceną na okładce. wyglądała trochę jak z serialu *chirurdzy*, tylko bardziej anatomicznie. przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl: nie mogę się doczekać, aż opowiem o tym isaacowi. bo oczywiście zapomniałem, że miał być tu ze mną.

gdyby przyszedł, musiałbym go zauważyć. w sklepie nie było nikogo, poza mną, d.w.g. oraz sprzedawcą, który wyglądał jak knedel ze śliwkami zostawiony na tydzień na stolnicy. chyba wszyscy inni oglądają porno w internecie. poza tym wystrój frenchy's niezbyt zachęca do zakupów – jest oświetlony jak 7-eleven, przez co cały ten plastik wygląda jeszcze bardziej plastikowo, metal metalowo, a nadzy ludzie na okładkach filmów jeszcze mniej seksownie, jak w tanim porno. minąwszy *zstąp we mnie, mojjeszu* i *popołudniową igraszkę z anią*, znalazłem się w dziwacznej sekcji z penisami. ponieważ umysł mam zupełnie popaprany, natychmiast zacząłem wymyślać sequel do *toy story* zatytułowany *sex toy story*, w którym wszystkie te dildo, wibratory oraz królicze uszy nagle ożywają i muszą robić różne rzeczy, na przykład przechodzić przez ulicę, żeby się dostać do domu.

wyobrażając sobie to wszystko, od razu zamierzałem opowiedzieć o tym isaacowi.

tak byłem zaprogramowany.

z zamyślenia wyrwało mnie moje nazwisko wypowiedane przez sprzedawcę. i tak trafiłem na d.w.g.

no tak, wszedłem do sex shopu w poszukiwaniu isaaca, a zamiast tego znalazłem drugiego willa graysona.

boże, parszywy z ciebie popapraniec.

oczywiście isaac też poszedł w górę na skali parszywego popaprania. jednak mam nadzieję, że jest po prostu znerwicowanym popaprańcem – może przyszedł i odkrył, że miejsce, które polecił jego przyjaciel, to sex shop, i tak się zawstydził, że uciekł z płaczem. to przecież możliwe. a może po prostu się spóźni. muszę mu dać co najmniej godzinę. jego pociąg mógł utknąć w tunelu czy coś w tym rodzaju. takie rzeczy się zdarzają. w końcu przyjeżdża aż z ohio. ludzie w ohio pewnie notorycznie się spóźniają.

mój telefon dzwoni dokładnie w tym samym momencie co komórka d.w.g. i choć to żałosne i niemożliwe, nagle ogarnia mnie nadzieja, że to isaac.

na wyświetlaczu widnieje imię maury.

ja: boże, to maura.

początkowo chcę ją zignorować, ale d.w.g. zamierza odebrać swój telefon.

d.w.g.: to mój przyjaciel, kruchy.

uznam, że jeśli on odbiera, ja też powinienem to zrobić. przypomina mi się też, że maura wyświadcza mi dziś przysługę. jeśli później dowiem się, że na konkurs matematyczny wtargnął oddział uzbrojonych w uzi humanistycznych fanatyków, będę się czuł winny, że nie dałem jej szansy, by się ze mną pożegnała.

ja: szybko – ile wynosi pierwiastek kwadratowy z mojej bielizny?

maura: hej, will.

ja: zero punktów za taką odpowiedź.

maura: jak tam w chicago?

ja: w ogóle tu nie wieje!

maura: co robisz?

ja: och, siedzę sobie z willem graysonem.

maura: tak przypuszczałam.

ja: co masz na myśli?

maura: gdzie twoja mama?

oho. to zalatuje podstępem. czy maura dzwoniła do mojego domu? rozmawiała z mamą? hamulec do dechy, i wstecz!

ja: czy jestem stróżem matki mej? (ha ha ha)

maura: przestań kłamać, will.

ja: dobra, dobra. musiałem wymknąć się z domu. idę później na koncert.

maura: jaki koncert?

kurna! nie pamiętam nazwy kapeli wymienionej przez d.w.g., a on ciągle gada przez telefon i nie mogę go zapytać.

ja: to zespół, o którym nigdy nie słyszałaś.

maura: sprawdź mnie.

ja: to jest ich nazwa. zespół, o którym nigdy nie słyszałaś.

maura: o, słyszałam o nim.

ja: tak ?

maura: czytałam właśnie recenzję jego płyty w spin.

ja: super.

maura: album nosi tytuł: isaac nie przyjdzie, ty cholerny kłamco.
nie jest dobrze.

ja: dość durny tytuł na płytę.

co? co co co?

maura: daj sobie spokój, will.

ja: moje hasło.

maura: co?

ja: zhakowałaś moje hasło. czytałaś moje maile, tak?

maura: o czym ty mówisz?

ja: o isaacu. skąd wiesz, że miałem się z nim spotkać?

pewnie patrzyła mi przez ramię, kiedy sprawdzałem pocztę w szkole. widziała, które klawisze wciskam. ukradła moje głupie hasło.

maura: to ja jestem isaakiem, will.

ja: nie bądź durna. to chłopak.

maura: nie. to profil. ja go stworzyłam.

ja: jasne.

maura: naprawdę.

nie. nie nie nie nie nie nie nie nie nie nie.

ja: jak to?

nie proszę nie nie nie proszę nie kurna nie NIE.

maura: isaac nie istnieje. nigdy nie istniał.

ja: nie możesz...

maura: dałeś się nabrać.

dałem się nabrać?!? KURWA.

ja: powiedz, że żartujesz.

maura: ...

ja: to nie może się dziać.

drugi will grayson skończył rozmowę i patrzy na mnie.

d.w.g.: dobrze się czujesz?

powoli dociera do mnie prawda. ten moment „czy naprawdę kowadło spadło mi na głowę?” minął i czuję ciężar kowadła. o, boże, jakże boleśnie go czuję.

ja: ty. parszywa. zdiro.

tak, synapsy przekazują informacje. skrót wiadomości: isaac nigdy nie istniał. twoja przyjaciółka podszywała się pod niego. to wszystko było kłamstwem.
wszystko to kłamstwo.

ja: ty. odrażająca. suko.

maura: dlaczego dziewczyny nigdy nie nazywa się dupkiem?

ja: nie będę w ten sposób obrażał dupków. to słowo pochodzi od użytecznej części ciała.

maura: słuchaj, wiedziałam, że się wściekniesz...

ja: WIEDZIAŁAŚ, że się WŚCIEKNĘ!?!

maura: naprawdę chciałam ci o tym powiedzieć.

ja: rety, dzięki.

maura: ale ty nie chciałeś ze mną rozmawiać.

d.w.g. wygląda na zaniepokojonego. zakrywam więc mikrofon ręką i wyjaśniam mu:

ja: nie czuję się dobrze. właściwie to chyba przeżywam najgorszą chwilę w życiu. nie odchodź.

d.w.g. kiwa głową.

maura: will? słuchaj, przepraszam.

ja: ...

maura: chyba nie sądziłeś, że on spotka się z tobą w sex shopie, co?

ja: ...

maura: to był żart.

ja: ...

maura: will?

ja: tylko szacunek dla twoich rodziców powstrzymuje mnie przed tym, by natychmiast cię zamordować. ale zapamiętaj jedno: nigdy, przenigdy już się do ciebie nie odezwę, nie będę pisał liścików, sms-ów ani nawet używał pieprzonego języka migowego. chętniej zjem psie gówno pełne żyletek, niż kiedykolwiek narażę się na kontakt z tobą.

przerywam połączenie, zanim zdąży cokolwiek odpowiedzieć. wyłączam telefon. siedzę na krawężniku. zamykam oczy. i krzyczę. jeśli cały mój świat ma się zawalić, to chcę, aby było słychać, jak się rozpada. chcę krzyczeć tak, by popękały mi kości.

raz. drugi. znowu.

potem milknę. w oczach wzbierają mi łzy, ale liczę na to, że jeśli będę mocno zaciskał powieki, to one nie wypłyną. przekraczam wszelkie granice beznadziei, bo chcę otworzyć oczy i ujrzeć isaaca, który powie mi, że maura zwariowała. albo żeby drugi will grayson powiedział mi, że to też dziwny zbieg okoliczności, bo tak naprawdę to on jest tym willem graysonem, z którym maura wymieniała maile. po prostu pomyliła willów graysonów.

ale rzeczywistość... cóż, rzeczywistość to kowadło.

biorę głęboki wdech, który brzmi, jakbym się dławił.

przez cały czas...

przez cały ten czas to była maura.

nie isaac.

żadnego isaaca.

nigdy.

cios. ból. czuję cios i ból naraz.

przeżywam naraz cios i ból.

d.w.g.: hej... will?

wygląda, jakby dokładnie widział na mojej twarzy ten cios i ten ból.

ja: kojarzysz tego chłopaka, z którym miałem się tu spotkać?

d.w.g.: isaaca.

ja: tak, isaaca. okazuje się, że jednak nie był pięćdziesięciolatkiem. to moja przyjaciółka, maura, zrobiła mi kawał.

d.w.g.: piekielnie podły kawał.

ja: taa. czuję to.

nie mam pojęcia, czy rozmawiam z nim, bo też się nazywa will grayson, czy dlatego, że trochę mi o sobie opowiedział, czy że jest jedyną osobą na świecie chętną, by mnie słuchać. wszystkie instynkty podpowiadają mi, bym się zwinął w małą kulkę i wtoczył do najbliższego kanału – ale nie chcę mu tego robić. czuję, że on zasługuje na coś więcej niż oglądanie mojej autodestrukcji.

ja: zdarzyło ci się kiedyś coś podobnego?

d.w.g. kręci głową.

d.w.g.: to dla mnie całkiem nowe terytorium. co prawda mój najlepszy przyjaciel, kruchy, próbował kiedyś bez mojej wiedzy zgłosić mnie do konkursu na chłopaka miesiąca w magazynie dla nastolatków, ale to chyba nie to samo.

ja: jak się o tym dowiedziałeś?

d.w.g.: uznał, że ktoś powinien zredagować jego tekst, i poprosił o to akurat mnie.

ja: wygrałeś?

d.w.g.: obiecałem kruchemu, że wyślę to za niego, a potem wszystko skasowałem. bardzo się przejął, że nie wygrałem... ale byłoby znacznie gorzej, gdybym jednak wygrał.

ja: mogłeś w nagrodę spotkać się z miley cyrus. jane umarłaby z zazdrości.

d.w.g.: chyba najpierw umarłaby ze śmiechu.

nie mogę się powstrzymać – wyobrażam sobie, że isaac też się śmieje.

i muszę zabić ten obraz.

bo isaac nie istnieje.

czuję, że zaraz znów się rozpadnę.

ja: dlaczego?

d.w.g.: dlaczego jane umarłaby ze śmiechu?

ja: nie, dlaczego maura to zrobiła?

d.w.g.: nie potrafię tego wyjaśnić.

maura. isaac.

isaac. maura.
kowadło.
kowadło.
kowadło.

ja: wiesz, co jest parszywe w miłości?
d.w.g.: co?

ja: że jest tak mocno związana z prawdą.

łzy znów napływają mi do oczu. ten ból... wiem, że odpuszczę wszystko. isaaca. nadzieję. przeszłość. uczucia. świat. odpuszczam wszystko i to boli.

d.w.g.: will?

ja: chyba muszę na chwilę zamknąć oczy i poczuć to, co muszę poczuć.

zamykam oczy, odcinam się od swojego ciała, próbuję odciąć się od wszystkiego. wydaje mi się, że d.w.g. wstaje. chciałbym, aby był isaakiem, choć wiem, że nim nie jest. chciałbym, żeby maura nie była isaakiem, choć wiem, że nim jest. chciałbym być kimś innym, choć wiem, że nigdy, nigdy nie ucieknę, od tego, co zrobiłem, i od tego, co mnie zrobiono.

boże, ześlij na mnie niepamięć, pozwól zapomnieć każdą chwilę, której tak naprawdę nie przeżyłem z isaakiem. pozwól zapomnieć o istnieniu maury. tak właśnie musiała się czuć mama, kiedy ojciec jej oznajmił, że to koniec. teraz to rozumiem. twoje największe nadzieje stają się tym, co cię w efekcie zabija.

słyszę, że d.w.g. z kimś rozmawia, cichym głosem streszczając przebieg wydarzeń. słyszę zbliżające się kroki. próbuję trochę się uspokoić, następnie otwieram oczy... i widzę przeogromnego kolesia, który stoi nade mną. a gdy dostrzega, że go zauważyłem, uśmiecha się szeroko. przysięgam, że dołki w jego policzkach mają wielkość niemowlęcych główek.

przeogromny: cześć. jestem kruchy.

wyciąga dłoń. nie jestem w nastroju do serdecznych powitań, ale zrobi się niezręcznie, jeśli go zignoruję, więc podaję mu rękę. zamiast ją uścisnąć, podnosi mnie na nogi.

kruchy: ktoś umarł?

ja: tak, ja.

znów się uśmiecha.

kruchy: no cóż... w takim razie witaj w zaświatach.

9

Można powiedzieć wiele złych rzeczy o Kruchym Cooperze. Wiem to, bo sam je mówiłem. Ale jak na kolesia, który absolutnie nie radzi sobie ze swoim życiem uczuciowym, Kruszyna jest geniuszem, jeśli chodzi o leczenie zawodów miłosnych u innych. Jest niczym jakaś gigantyczna gąbka, która natychmiast wchłania ból po utraconej miłości. I tak też się dzieje w wypadku Willa Graysona. To znaczy, tego drugiego Willa Graysona.

Jane stoi przed sklepem kawalek dalej i rozmawia przez telefon. Spoglądam na nią, ale ona nie patrzy na mnie. Zastanawiam się, czy zagrali ten kawalek. Cały czas kołaczę mi się po głowie to, co Will – ten drugi Will – powiedział tuż przed pojawieniem się moich przyjaciół: miłość jest powiązana z prawdą. Wyobrażam je sobie jak nieszczęśliwe i zależne od siebie bliźnięta.

– Oczywiście – mówi Kruchy – Maura jest parującą kupą śmierdzącego łajna, ale mimo to szacun za imię. Isaac. Isaac. Chyba mógłbym nawet zakochać się w dziewczynie, gdyby miała na imię Isaac.

Ten drugi Will Grayson nie wygląda na rozbawionego, ale Kruchego to nie peszy.

– Musiałeś się nieźle wkurzyć, gdy zobaczyłeś, że to sex shop, co? Kto by się chciał umówić w takim miejscu.

– A do tego jego imiennik kupował tam czasopismo – dodaję i podnoszę czarną torbę, myśląc, że Kruchy ją wyrwie, by obejrzeć moją zdobycz. Ale nie robi tego, tylko mówi:

– Postąpiła nawet gorzej niż Tommy.

– A co on zrobił? – pyta Will.

– Powiedział, że jest naturalnym blondynem, a był tak fatalnie utleniony, że jego włosy wyglądały jak fryz à la Mattel, po prostu wykapana Barbie. Poza tym Tommy nie było wcale skrótem od Tomasa, jak twierdził, tylko od zwykłego Thomasa.

– Tak, gorzej – stwierdza Will. – Trochę gorzej.

Nie umiem nic wniesć do tej konwersacji, poza tym Kruchy zachowuje się, jakbym

nie istniał.

– Zostawię was, chłopcy, samych – rzucam z uśmiechem.

Patrzę na drugiego Willa, który sprawia wrażenie, jakby miał się przewrócić, gdy mocniej powieje wiatr. Chcę coś dodać, bo naprawdę bardzo mu współczuję, ale nigdy nie wiem, co należy powiedzieć. Mówię więc to, co myślę:

– Wiem, że to, co się stało, jest chore, ale w pewnym sensie też dobre. – Spogląda na mnie, jakbym wypowiedział jakiś totalny idiotyzm, i oczywiście ma rację. – Chodzi mi o to, że miłość i prawda są ze sobą powiązane. Jedno sprawia, że drugie jest możliwe, rozumiesz?

Młody posyła mi jakąś jedną ósmą uśmiechu i odwraca się do Kruchego, który – bądźmy szczerzy – jest niewątpliwie lepszym terapeutą. Czarna torba z *Mano a Mano* nie wydaje mi się już zabawna, więc rzucam ją na chodnik obok chłopaków. Nawet tego nie zauważają.

Jane stoi na czubkach palców na krawężniku, niemalże wypadając na ulicę zapchaną taksówkami. Grupka studentów przechodzi obok, obrzucając ją wzrokiem, a jeden z nich unosi brwi, spoglądając porozumiewawczo na drugiego. Nadal myślę o powiązaniach między miłością i prawdą, co sprawia, że pragnę wyznać jej tę prawdę, całą sprzeczną prawdę, bo czy inaczej na pewnym poziomie nie jestem taki sam jak ta dziewczyna? Czy nie jestem taki jak ta dziewczyna, która udawała Isaaca?

Podchodzę do Jane i próbuję dotknąć jej łokcia, ale robię to zbyt delikatnie, więc chwytam tylko jej kurtkę. Odwraca się do mnie i widzę, że nadal rozmawia przez komórkę. Robię gest, który ma wyrażać: „Hej, nie spiesz się, gadaj, ile chcesz”, a prawdopodobnie wyraża: „Hej, patrz! Mam skurcze rąk!”. Jane unosi palec. Kiwam głową, a ona miękko, uroczo mówi do telefonu:

– Tak, wiem. Ja też.

Wycofuję się na drugą stronę chodnika i opieram o ceglana ścianę między Frenchy’s i zamkniętą restauracją z sushi. Po mojej prawej rozmawiają Will i Kruchy. Po lewej Jane. Wyjmuję komórkę, jakbym chciał wysłać wiadomość, ale tylko przewijam listę kontaktów. Clint. Tato. Jane. Mama. Ludzie, z którymi się przyjaźniłem. Ludzie, których trochę znam. Kruchy. Lista kończy się na literze T. Niezbyt tego wiele jak na telefon, który mam od trzech lat.

– Hej – odzywa się Jane. Podnoszę wzrok, zamykam telefon i uśmiecham się do niej. – Przykro mi z powodu koncertu – dodaje.

– Nic się nie stało – odpowiadam, bo to prawda.

– Kim jest ten chłopak?

– To Will Grayson – mówię. Spogląda na mnie zbита z tropu. – Spotkałem w sex shopie chłopaka, który też się nazywa Will Grayson – wyjaśniam. – Poszedłem tam, żeby wykorzystać fałszywy dowód, a on miał się tam spotkać ze swoim fałszywym chłopakiem.

– Jezu, gdybym przewidziała, że coś takiego się stanie, zrezygnowałabym z koncertu.

– Ta, jasne – staram się, by w moim głosie nie było słycać sarkazmu. – Przejdźmy się.

Kiwa głową. Idziemy w stronę Michigan Avenue i Magnificent Mile, gdzie znajdują się największe, najbardziej ekskluzywne sieciówki w Chicago. Wszystko jest teraz pozamykane, a turyści, których tłumy płyną w dzień szerokimi chodnikami, wrócili już do hoteli wznoszących się na pięćdziesiąt pięter w górę. Bezdomni, żebrzący wśród turystów też zniknęli, więc jesteśmy właściwie tylko my. Nie można powiedzieć prawdy, nic nie mówiąc, więc opowiadam całą historię, starając się, by brzmiała zabawnie i bardziej fascynująco niż jakikolwiek koncert MMK. Kiedy kończę, na chwilę zapada cisza, a potem Jane się odzywa:

– Mogę ci zadać pytanie nie na temat?

– Oczywiście. – Mijamy sklep Tiffany’ego i zatrzymuję się na sekundę. Białe, żółte światła uliczne rozjaśniają front sklepu akurat na tyle, bym przez potrójną szybę i kratę mógł dojrzeć pustą wystawę – szary aksamitny kontur szyi bez biżuterii.

– Wierysz w epifanie? – pyta Jane. Ruszamy dalej.

– Hm, możesz rozwinąć pytanie?

– No czy na przykład wierysz, że człowiek może zmienić swoje nastawienie do czegoś. Pewnego dnia budzisz się i uświadamiasz sobie coś, widzisz to w sposób, w który nigdy na to nie patrzyłeś i bum! Objawienie. Coś zmienia się na zawsze. Wierysz w to?

– Nie – odpowiadam. – Uważam, że nic nie dzieje się nagle. Na przykład Kruchy. Myślisz, że on zakochuje się co dnia? Nic podobnego. On uważa, że tak jest, ale to nieprawda. Jeśli coś zaistnieje nagle, może z równym prawdopodobieństwem tak samo przestać istnieć, rozumiesz?

Przez chwilę nic nie mówi. Tylko idzie. Nasze dłonie co jakiś czas się muskają, ale nic się między nami nie dzieje.

– Tak. Może masz rację – stwierdza w końcu Jane.

– Dlaczego zapytałaś?

– Nie wiem. Właściwie bez szczególnego powodu. – Język angielski ma długą i skomplikowaną historię. I w całej tej historii nikt nigdy nie zadał „pytania nie na temat” o „epifanie” „bez szczególnego powodu”.

– A kto przeżył epifanie? – dopytuję się.

– Hm, chyba jesteś najmniej odpowiednią osobą do rozmowy na ten temat.

– Jak to?

– Wiem, że źle zrobiłam, idąc na ten koncert – stwierdza nagle. Podchodzimy do plastikowej ławki i Jane siada.

– Nic się nie stało – uspokajam ją i też siadam.

– Stało się w największym możliwym wymiarze. Rzecz w tym, że jestem trochę zdezorientowana. – Zdezorientowana. Telefon. Słodki, dziewczęcy głos. Epifania. W końcu zaczynam rozumieć.

– Twój były chłopak – mówię.

Czuję, że żołądek mi opada, jakby dawał nura w oceaniczną głębię, i dociera do mnie prawda: Jane mi się podoba. Jest fajna i bystra we właściwy, potencjalnie najmniej pretensjonalny sposób, a w rysach twarzy ma jakąś łagodność, która paradoksalnie nadaje ostrość wszystkiemu, co mówi. Podoba mi się i nie tylko powinienem być wobec niej szczery. Chcę tego. Tak właśnie te kwestie wiążą się ze sobą – myślę.

– Mam pomysł – oznajmiam.

Jane patrzy na mnie, więc zaciągam troczki kaptura od kurtki. Czuję, że uszy mam tak lodowate, jakby paliły.

– Jaki pomysł? – pyta.

– Plan jest taki, że na dziesięć minut zapomnimy, co czujemy. Zapomnimy o chronieniu siebie i innych. Będziemy mówić tylko prawdę. Przez dziesięć minut. A potem znów możemy zachowywać się jak lamy.

– Podoba mi się – stwierdza – ale ty musisz zacząć.

Odsuwam rękaw kurtki i zerkam na zegarek. 22.42.

– Gotowa? – pytam.

Kiwa głową. Znów spoglądam na zegarek.

– Dobra... Start. Podobasz mi się. Nie byłem tego pewien, dopóki nie wyobraziłem sobie, że jesteś na tym koncercie z jakimś innym facetem, lecz teraz już to wiem, i zdaję sobie sprawę, że wychodzę na dupościska, ale tak, podobasz mi się. Uważam, że jesteś świetna, i bardzo urocza – w sensie, że jesteś piękna, ale nie chcę używać tego słowa, bo to banalne, ale to prawda... I nie przeszkadza mi nawet, że jesteś muzyczną snobką.

– To nie snobizm, tylko dobry gust. Chodziłam z pewnym chłopakiem i wiedziałam, że wybiera się na ten koncert. Chciałam na niego pójść z tobą częściowo dlatego, że wiedziałam, iż Randall też tam będzie. A potem chciałam pójść nawet bez ciebie z tego samego powodu. Zauważył mnie, gdy MMK grały *Krótkie omówienie paradoksów podróży w czasie*. Wykrzyczał mi do ucha, że miał objawienie i wie już, że powinniśmy być razem. Potraktowałam to dość sceptycznie, więc zacytowałam wiersz e.e. cummingsa o tym, że pocałunki są lepszym losem niż mądrość. A potem okazało się, iż poprosił MMK, by zadedykowali mi piosenkę. Było to coś, czego nie zrobiłby nigdy przedtem, a ja poczułam, że zasługuję na kogoś, kto będzie mnie lubił bezwarunkowo, a w twoim wypadku tak nie jest. Pogubiłam się trochę.

– Jaką piosenkę?

– *Annus Mirabilis*. Jest jedynym człowiekiem, który zna mój kod do szafki, i poprosił, by zadedykowali mi ją tymi liczbami, i to było... to znaczy nie wiem. To było coś.

Choć mamy dziesięć minut prawdy, nie prostuję tego. Nie mogę. To zbyt żenujące. Chodzi o to, że jeśli coś takiego robi były chłopak, to jest słodkie. A jeśli robi to facet, który nie chciał się całować w pomarańczowym volvo, jest to dziwaczne, a może nawet podłe. Jane ma rację, że zasługuje na kogoś konsekwentnego, i być może nie mogę to być ja. Niemniej i tak oczerniam tego kolesia.

– Cholernie nienawidzę typów, którzy cytują dziewczynom poezję, skoro mamy być szczerzy. Poza tym mądrość to lepszy los niż znakomita większość pocałunków. Mądrość to z pewnością lepszy los niż całowanie się z cwaniakami, którzy wykorzystują poezję, żeby dobrać się dziewczynie do majtek.

– O raju – wzdycha Jane – szczerzy Will i zwykły Will są fascynująco różni!

– Prawdę mówiąc, wolę przeciętnych, banalnych debili ze szklanym wzrokiem i tępą bezmyślnością od typów, którzy próbują zburzyć mój spokój czytaniem poezji i słuchaniem nedorobionej muzy. Ciężko pracowałem na swój spokój. W gimnazjum zbierałem za niego baty. Sam na niego zapracowałem.

– No, nawet go nie znasz – protestuje Jane.

– I wcale nie chcę – odpowiadam. – Słuchaj, masz rację. Może nie lubię cię tak, jak powinno się ciebie lubić. Nie będę dzwonił i co wieczór przed snem czytał ci poezji. Mam mętlik w głowie, okay? Czasami myślę: Boże, jaka ona jest seksowna, bystra i trochę pretensjonalna, ale ta pretensjonalność sprawia, że jej pragnę. A czasami z kolei uważam, że to absolutnie fatalny pomysł, że chodzenie z tobą będzie jak seria niepotrzebnych zabiegów leczenia kanałowego z rzadka przeplatana pieszczotami.

– Jezu, ale mnie pojechałeś.

– Nie do końca, bo myślę i tak, i tak! Ale to nie ma znaczenia, ponieważ jestem tylko twoim planem B. Może jestem planem B z powodu tych odczuć, a może mam takie odczucia, bo jestem planem B, ale niezależnie od tego, oznacza to, że ty powinnaś być z Randallem, a ja powinienem pozostać na swoim naturalnym wygnaniu uczuciowym, które sam sobie narzuciłem.

– Co za zmiana! – zachwyca się. – Czy mógłbyś być taki zawsze?

– Prawdopodobnie nie – odpowiadam.

– Ile minut nam zostało?

– Cztery.

I zaczynamy się całować.

Tym razem to ja się nachyliam, ale ona się nie odwraca. Jest zimno, nasze usta są spierzchnięte, nosy trochę wilgotne, czoła spocone pod wełnianymi czapkami. Nie mogę dotknąć jej twarzy, mimo że chcę, bo mam rękawiczki. Ale, Boże, gdy rozchyła

wargi, wszystko robi się ciepłe, a jej słodki jak cukier oddech wypełnia moje usta, choć ja pewnie smakuję jak hot dog, ale nie obchodzi mnie to. Jane całuje tak, że zupełnie się w tym zatracam. Nie wiem, gdzie mam ją dotykać, ponieważ chcę jej całej. Chcę dotykać jej kolan, bioder, brzucha i pleców, jej całej. Ale jesteśmy opatuleni ubraniami, więc zachowujemy się jak dwa objijające się o siebie marshmallowsy. Jane uśmiecha się podczas pocałunku, ponieważ też zauważa, jakie to zabawne.

– Lepsze niż mądrość? – pyta, dotykając nosem mojego policzka.

– Powiedzmy, że remis – odpowiadam i uśmiecham się, przyciągając ją bliżej.

Nigdy wcześniej nie czułem, co to znaczy chcieć kogoś – nie w sensie seksualnym, ale chcieć kogoś, chcieć kogoś. Teraz to czuję. Może więc uwierzę w objawienia.

Odsuwa się ode mnie na tyle, by spytać:

– Jak brzmi moje nazwisko?

– Nie mam pojęcia – przyznaję się natychmiast.

– Turner. Nazywam się Turner. – Kradnę ostatniego całusa, a ona siada prosto, choć jej dłoń w rękawiczce nadal spoczywa na mojej piersi w kurtce. – Widzisz, nawet się nie znamy. Muszę się dowiedzieć, czy wierzę w objawienia, Will.

– A ja nie wierzę, że on ma na imię Randall. Chyba nie chodzi do Evanston?

– Nie, do Latin. Poznaliśmy się na performansie poetyckim.

– No przecież. Mój Boże, wyobrażam sobie tego oślizgłego buraka: jest wysoki, ma przydługie potargane włosy i uprawia sport – pewnie piłkę nożną – ale udaje, że nawet tego nie lubi, bo tak naprawdę uwielbia jedynie poezję, muzykę i ciebie. Wyznaje ci, że jesteś poematem, cały emanuje pewnością siebie i pewnie zapachem sprayu do ciała. – Jane śmieje się, kręcąc głową. – Co? – pytam.

– Piłka wodna – prostuje Jane. – Nie nożna.

– O, Jezu. Oczywiście. Piłka wodna. Nic tak nie pasuje do punk rocka jak piłka wodna.

Chwyta mnie za rękę i patrzy na zegarek.

– Minuta – oznajmia.

– Wyglądasz lepiej ze spiętymi włosami – mówię w pośpiechu.

– Naprawdę?

– Tak, z rozpuszczonymi przypominasz trochę szczeniaczka.

– Ty wyglądasz lepiej, gdy się nie garbisz – mówi.

– Koniec czasu! – krzyczę.

– Dobra. Szkoda, że nie możemy tego robić częściej.

– O którą część ci chodzi? – pytam z uśmiechem.

Jane wstaje.

– Muszę wracać do domu. Północ to durna godzina policyjna w weekend.

– No raczej – zgadzam się z nią i wyjmuję telefon. – Zadzwońię po Kruchego

i powiem mu, gdzie jesteśmy.

– Wezmę taryfę.

– Zaraz zadzwonię...

Ale ona już stoi na krawężniku, noskami trampków poza krawędzią chodnika, i unosi rękę. Taksówka się zatrzymuje. Jane obejmuje mnie szybko, lekko dotykając czubkami palców moich łopatek, i znika bez słowa.

Nigdy nie byłem sam o tej porze w mieście, gdy jest zupełnie opustoszałe. Dzwonię do Kruchego. Nie odbiera. Odzywa się poczta głosowa. „Dodzwoniłeś się na pocztę głosową Kruchego Coopera, pisarza, producenta i gwiazdy nowego musicalu *Kruchy tancerz: historia Kruchego Coopera*. Przykro mi, ale zaprzęta mnie teraz coś bardziej fascynującego niż rozmowa z tobą. Gdy poziom fascynacji nieco opadnie, oddzwonię do ciebie. Biiip”.

– Kruchy, następnym razem, kiedy będziesz mnie wrabiał w jakąś dziewczynę, która ma chłopaka, to przynajmniej mnie uprzedź, że go ma. Poza tym jeśli nie oddzwonisz w ciągu pięciu minut, będę musiał założyć, że trafiłeś z powrotem do Evanston bez mnie. A do tego jesteś dupkiem. To wszystko.

Na Michigan Avenue panuje umiarkowany ruch, ale gdy skręcam w boczną uliczkę Huron, robi się zupełnie spokojnie. Mijam kościół, a potem idę State Street w stronę Frenchy’s. Już trzy przecznice wcześniej zauważyłem, że nie ma tam Kruchego i Willa, ale mimo to nadal zmierzam w kierunku sklepu. Rozglądam się po ulicy, lecz nikogo nie widzę, a poza tym Kruchy nigdy nie milknie, więc słyszałbym, gdyby był w pobliżu.

Przegrzebuje śmietnik w kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków. Są zawinięte w liścik, którego nadawcą jest Houdini od szafek.

Idąc w stronę samochodu, dostrzegam na chodniku plastikową torbę, szeleszczącą na wietrze. *Mano a Mano*. Zostawiam ją w nadziei, że ktoś jutro będzie miał miłą niespodziankę.

Po raz pierwszy od długiego czasu jadę bez muzyki. Nie jestem szczęśliwy – z powodu Jane i pana Randalla Buraka Piłka Wodna IV, z powodu Kruchego, który mnie porzucił i nawet nie raczył zadzwonić, z powodu źle sfalszowanego fałszywego dowodu – ale w ciemnościach na Lake Shore, gdy samochód pochłania wszystkie dźwięki, jest coś w odrętwieniu moich ust po jej pocałunkach, co chciałbym zachować i czego chciałbym się trzymać, coś, co wydaje się czyste, co wydaje się jedyną prawdą.

* * *

Docieram do domu cztery minuty przed wyznaczoną godziną. Rodzice siedzą na sofie, mama z nogami na kolanach taty, który wyłącza dźwięk w telewizorze i pyta:

– Jak było?

– Całkiem nieźle – odpowiadam.

– Zagrali *Annus Mirabilis*? – wtrąca mama, ponieważ kawałek podobał mi się tak bardzo, że go jej puściłem. Chyba częściowo pyta dlatego, że chce być matką na czasie, a częściowo po to, by się upewnić, że rzeczywiście byłem na koncercie. Pewnie sprawdzi później listę zagranych utworów. Oczywiście nie byłem na koncercie, ale wiem, że grali tę piosenkę.

– Ta – mówię. – Ta. Było super. – Patrzę na nich przez sekundę, po czym dodaję: – Dobra, idę spać.

– Może pooglądasz coś z nami? – proponuje tato.

– Jestem zmęczony – oznajmiam stanowczo i odwracam się do wyjścia.

Ale nie idę spać. Siadam przed komputerem i czytam w Internecie o e.e. cummingsie.

Następnego ranka mama odwozi mnie do szkoły wcześniej. Cały korytarz jest obwieszony plakatami do *Kruchego tancerza*.

PRZESŁUCHANIA DZISIAJ NA DZIEWIĄTEJ LEKCJI W AULI. BĄDŹ GOTÓW ŚPIEWAĆ. BĄDŹ GOTÓW TAŃCZYĆ. BĄDŹ GOTÓW ZACHWYCAĆ.

NA WYPADEK GDYBYŚ NIE ZAUWAŻYŁ POPRZEDNIEGO PLAKATU, PRZESŁUCHANIA ODBYWAJĄ SIĘ DZISIAJ.

ŚPIEWAJ, TAŃCZ I CELEBRUJ TOLERANCJĘ W NAJWAŻNIEJSZYM MUSICALU NASZYCH CZASÓW.

Biegnę korytarzem, a potem na górę, do szafki Jane. Ostrożnie wpycham przez otwór wentylacyjny liścik, który wczoraj napisałem:

Do: Houdini od szafek

Od: Will Grayson

Re: Ekspert w dziedzinie dobrych związków?

Droga Jane!

Dla Twojej wiadomości: e.e. cummings zdradzał obie swoje żony. Z prostytutkami.

Twój

Will Grayson

10

kruchy cooper.

kruchy.

kruchy.

bez przerwy powtarzam jego imię w myślach.

kruchy.

kruchy.

to śmieszne imię, i cała sprawa jest śmieszna, ale nie mógłbym przestać, nawet gdybym próbował.

kruchy.

jeśli wypowiem je wystarczającą liczbę razy, może przestanie mi doskwierać, że isaac nie istnieje.

wszystko zaczyna się tego wieczoru. przed frenchy's. nadal jestem w szoku. nie wiem, czy to stres pourazowy, czy uraz postresowy. niezależnie od tego spora część mojego życia została wymazana i wcale nie pragnę zapełniać tej dziury. zostawmy ją pustą, powiadam. pozwólmy mi umrzeć.

jednak kruchy mi na to nie pozwala. rozpoczyna grę w „ja miałem gorzej”. ale ona nigdy nie działa, ponieważ osoba pocieszająca albo opisuje wydarzenie, które wcale nie było gorsze („nie był naturalnym blondynem”), albo które było tak straszne, że czujesz się śmieszny ze swoimi rozterkami („spotkałem się kiedyś z pewnym facetem... i randka skończyła się tak, że pożarł go lew! a gdy umierał, wypowiedział moje imię!”).

mimo to kruchy próbuje pomóc. a ja chyba powinienem przyjąć pomoc, gdy jej potrzebuję.

d.w.g. ze swojej strony też stara się pomóc. gdzieś w tle majaczy dziewczyna, zapewne osławiona jane. początkowo starania d.w.g wychodzą jeszcze gorzej niż kruchemu.

d.w.g.: wiem, że to, co się stało, jest chore, ale w pewnym sensie też dobre.

fraza niemalże tak podnosząca na duchu jak film o hitlerze, który obłapia się z panienką, zaśmiewając się w głos. w pełni potwierdza coś, co nazywam regułą ptasiego gówna. kojarzycie, gdy ludzie mówią, że jak na kogoś nasra ptak, to będzie miał szczęście? i oni w to wierzą! chciałbym nimi potrząsnąć i powiedzieć: „ziomy, nie kumacie, że ten cały przesąd wymyślono dlatego, że nie da się powiedzieć niczego dobrego komuś, kto został właśnie obesrany?”. a ludzie robią to nieustannie – i nie tylko z czymś tak błahym jak ptasia kupa. straciłeś pracę? świetna okazja do rozwoju! przegrałeś życie? teraz może być już tylko lepiej! rzucił cię chłopak, który nigdy nie istniał? wiem, że to lipa, ale w pewnym sensie to dobrze!

już mam pozbawić d.w.g. jego praw do bycia willem graysonem, kiedy ten dodaje:

d.w.g.: chodzi mi o to, że miłość i prawda są ze sobą powiązane. jedno sprawia, że drugie jest możliwe, rozumiesz?

nie wiem, co uderza mnie bardziej – fakt, że ktoś obcy zechciał mnie wysłuchać, czy myśl, że ma on, formalnie rzecz biorąc, absolutną rację.

drugi will grayson odchodzi, zostawiając mnie z moim nowym kompanem wielkości zamrażarki, który patrzy na mnie z taką szczerością, że mam ochotę go spoliczkować.

ja: nie musisz zostawać. naprawdę.

kruchy: i co, porzucić cię tu, żebyś się smucił?

ja: to wykracza daleko poza smutek. to jest totalna rozpacz.

kruchy: auaaaa.

a potem mnie przytula. wyobraźcie sobie, że przytula was sofa. to mniej więcej takie samo uczucie.

ja (duszając się): duszę się.

kruchy (głaszcząc mnie po włosach): już dobrze, dobrze.

ja: ziom, nie pomagasz.

odpycham go. wygląda na urażonego.

kruchy: powiedziałeś do mnie „ziom”!

ja: przepraszam. ale, no...

kruchy: ja tylko staram się pomóc!

dlatego powinienem nosić przy sobie dodatkowe pigułki. myślę, że nam obu przydałaby się teraz podwójna dawka.

ja (znów): przepraszam.

kruchy patrzy na mnie. i jest to dziwne, bo on naprawdę mnie widzi. robi mi się totalnie nieswojo.

ja: co?

kruchy: chcesz usłyszeć piosenkę z *kruchego tancerza: historia kruchego coopera*?

ja: słucham?

kruchy: to musical, nad którym pracuję. na podstawie mojego życia. myślę, że jedna z piosenek byłaby teraz w sam raz.

stoimy na rogu ulicy przed sex shopem. mijają nas ludzie. to mieszkańcy chicago, a nikt nie może być mniej umuzykalniony niż mieszkańcy chicago. jestem w stanie absolutnej rozsypki. mój umysł przechodzi atak serca. ostatnie, czego potrzebuję, to by śpiewała dla mnie gruba diwa. ale czy protestuję? czy postanawiam przeżyć resztę życia w kanałach metra, żywiąc się szczurami? nie. tylko milcząco kiwam głową, ponieważ on tak bardzo chce zaśpiewać tę piosenkę, że czułbym się jak drań, gdybym odmówił.

kruchy pochyla lekko głowę i zaczyna cicho nucić. gdy trafia w tonację, zamyka

oczy, rozkłada ramiona i śpiewa:

*myślałem, że spełnią się sny
lecz to nie ty, lecz to nie ty*

*że ty i ja to teraz my
lecz to nie ty, lecz to nie ty*

*wierzyłem w nas do chwili, gdy
gdy zrozumiałem, że to nie ty*

*serce mi pękło, było jak wrak
aż zrozumiałem, że to nie tak*

*że to nie ty, że nie ma nas
lecz życie trwa i jest mój czas*

*że cały ból, zniewagi twe
nie złamię mnie, lecz wzmocnię mnie*

*wal się! i opuść moje sny
gdzieś chłopak lepszy jest niż ty*

*więc z nami koniec. ok? ça va?
bo nie ma nas, lecz jestem ja[8].*

kruchy śpiewa na całe gardło, całym sobą. jakby z jego ust wymaszerowywała parada słów. nie mam wątpliwości, że docierają przez jezioro michigan do większej części kanady, a potem na biegun północny. rolnicy z saskatchewan płaczą. święty mikołaj odwraca się do pani mikołajowej i pyta: co to, kurwa, było? jestem śmiertelnie zażenowany, ale wtedy kruchy otwiera oczy i spogląda na mnie z tak widoczną troską, że nie wiem, co robić. od wieków nikt nie próbował mi dać nic takiego. prócz isaaca, ale on nie istnieje. cokolwiek można by powiedzieć o kruchym, on istnieje z całą pewnością.

pyta mnie, czy mam ochotę się przejść. a ja znów w milczeniu kiwam głową. i tak nie mam nic lepszego do roboty.

ja: kim ty jesteś?

kruchy: kruchym cooperem.

ja: nie możesz mieć na imię kruchy.

kruchy: nie, to trochę ironiczna ksywa.

ja: och.

kruchy (prychając): nie ochaj do mnie tu. nie mam z tym problemów. jestem grubokościsty.

ja: ziom, to nie tylko kości.

kruchy: dzięki temu jest mnie więcej do kochania!

ja: ale to wymaga też o wiele większego wysiłku.

kruchy: słońce, jestem tego wart !

to chore, ale muszę przyznać, że kruchy ma w sobie coś atrakcyjnego. nie kumam tego. tak jak czasami widuje się naprawdę seksowne dziecko. zaraz, to brzmi obrzydliwie. nie o to mi chodzi. rzecz w tym, że choć jest wielki jak dom (i nie mam tu na myśli jakiejś nędznej chatki), ma niezwykle gładką cerę, naprawdę zielone oczy i wszystkie części ciała proporcjonalne. nie czuję więc odrazy, którą powinienem czuć do człowieka trzykrotnie ode mnie większego. chcę mu powiedzieć, że powinienem teraz zabić parę osób, a nie iść z nim na przechadzkę. ale on jakoś trochę oczyszcza mnie z morderczych myśli. co nie znaczy, że później do nich nie wrócę.

po drodze do parku milenijnego kruchy opowiada mi wszystko o *kruchym tancerzu*. jak ciężko walczył, by go napisać, zagrać, wyreżyserować, wyprodukować, zrobić scenografię, kostiumy, projekt oświetlenia i zdobyć fundusze. w zasadzie jest szalony, a ponieważ ja też bardzo bym chciał oszaleć, próbuję za nim nadążyć. tak jak przy maurze (pierdolona wiedźma suka dupa mussolini al-kaida darth vader kanalia) nie muszę mówić ani słowa, co mi odpowiada.

gdy docieramy do parku, kruchy rzuca się pędem do fasoli. jakoś mnie to nie dziwi.

fasola to ta naprawdę głupia rzeźba, wykonana specjalnie dla parku milenijnego – chyba na milenium – która oryginalnie nosiła inną nazwę, ale wszyscy zaczęli nazywać ją fasolą i tak zostało. wygląda rzeczywiście jak wielka, wykonana z lśniącego metalu fasola, pod którą można przejść i zobaczyć swoje całkowicie zniekształcone odbicie. bywałem tu wcześniej na szkolnych wycieczkach, ale nigdy z kimś tak ogromnym jak kruchy. zazwyczaj trudno zlokalizować swoje odbicie w lustrzanej powierzchni, lecz tym razem wiem, że jestem tą wężykowatą gałązką stojącą obok tej wielkiej człowieczej kuli. kruchy chichocze na swój widok. autentycznym perlistym chichotem. nienawidzę, gdy dziewczyny to robią, bo to zawsze brzmi totalnie sztucznie. ale w wypadku kruchego w ogóle nie jest sztuczne. brzmi tak, jakby życie go połaskotało.

kruchy, oglądając swoje odbicie w fasoli, wypróbowuje pozę baleriny, pozę bejsbolisty w wymachu, pozę z *dźwięków muzyki* na szczycie góry, a potem prowadzi mnie na ławkę z widokiem na lake shore drive. wydaje mi się, że powinien być cały spocony, bo większość ludzi poci się z wysiłku po podniesieniu ciasteczka do ust. ale kruchy jest zbyt cudowny, żeby się pocić.

kruchy: zwierz się kruchemu ze swoich problemów.

nie potrafię odpowiedzieć, bo kruchy formułuje to tak, że można by zamiast „kruchy” podstawić „mama”, a zdanie brzmiałoby tak samo.

ja: czy kruchy może mówić normalnie?

kruchy (swoim najlepszym głosem andersona coopera): owszem, może, ale to nie jest nawet w połowie tak zabawne.

ja: brzmisz jak typowy gej.

kruchy: hm... jest po temu powód?

ja: niby tak. nie wiem. nie lubię gejowskiego zachowania.

kruchy: ale siebie chyba lubisz?

kurka wodna, chcę być z planety tego chłopaka. czy on mówi poważnie? patrzę na niego i widzę, że tak.

ja: dlaczego miałbym lubić siebie? nikt mnie nie lubi.

kruchy: ja lubię.

ja: wcale mnie nie znasz.

kruchy: ale chcę cię poznać.

to głupie, lecz nagle zaczynam wrzeszczeć.

ja: zamknij się! po prostu się zamknij!

a on wygląda na tak zranionego, że muszę dodać:

ja: nie, nie, nie chodzi o ciebie. rozumiesz? jesteś miły. ja nie. ja nie jestem miły, okay? więc przestań!

ponieważ teraz nie wygląda na zranionego. wygląda na smutnego. z mojego powodu. on mnie naprawdę widzi. chryste.

ja: to takie głupie.

chyba wie, że gdyby mnie dotknął, to poniosłoby mnie i zacząłbym go bić, płakać i nie chciałbym go już nigdy więcej widzieć. zamiast tego siedzi więc bez ruchu, gdy ściskam głowę rękami, jakbym dosłownie usiłował ją powstrzymać przed rozpadnięciem się. ale on nie musi mnie dotykać, bo z kimś takim jak kruchy cooper wystarcza, że jest obok, a ty o tym wiesz. musi tylko być, a ty wiesz, że jest z tobą.

ja: dupa dupa dupa dupa dupa.

najbardziej chore i pokręcone jest to, że jakaś część mnie uważa, iż na wszystko zasłużyłem. że może gdybym nie był takim dupkiem, isaac istniałby naprawdę. gdybym nie był taką nędzną namiastką człowieka, przydarzyłoby mi się coś dobrego. to niesprawiedliwe, ponieważ nie prosiłem, żeby ojciec odszedł, nie prosiłem o depresję ani o brak pieniędzy, ani o to, żebym pożył chłopaków, był taki głupi, nie miał prawdziwych przyjaciół, czy o to, by choć połowa tych bzdur, które

wychodzą z moich ust, z nich wychodziła. chciałem tylko jednej cholernej zmiany na lepsze, jednej idiotycznej dobrej rzeczy, ale wyraźnie prosiłem o zbyt wiele, pragnąłem za dużo.

nie rozumiem, dlaczego ten chłopak, który pisze musicale o sobie samym, chce mi towarzyszyć. jestem aż tak żalosny? a może on kolekcjonuje odznaki za zbieranie szczątków pokiereszowanych istot ludzkich?

puszczam głowę, bo to i tak nie pomaga. kiedy wynurzam się na powierzchnię, spoglądam na kruchego i wszystko znów wydaje mi się dziwne. on nie tylko patrzy na mnie, on mnie widzi. z jego oczu praktycznie bije blask.

kruchy: nigdy się nie całuję na pierwszej randce.

patrzę na niego z absolutnym niezrozumieniem, a on dodaje:

kruchy: ...ale czasami robię wyjątek.

mój poprzedni szok przechodzi w inny szok, i jest to potężny szok, ponieważ w tym momencie, choć kruchy jest kolosalny i choć w ogóle mnie nie zna, choć zajmuje mniej więcej trzy razy więcej ławki niż ja, wydaje mi się zaskakująco, niezaprzeczalnie pociągający. jego skóra jest gładka, uśmiech łagodny, ale przede wszystkim te jego oczy... są w nich zwariowana nadzieja i tęsknota, i zabawne oszołomienie, i chociaż uważam, że to kompletna głupota i że nigdy nie poczuję tego, co on, w najmniejszym stopniu nie odstręcza mnie myśl, by go pocałować i sprawdzić, co się stanie. kruchy zaczyna się rumienić, zawstydzony swoją propozycją, i jest tak naprawdę zbyt nieśmiały, żeby pochylić się w moją stronę, więc ja unoszę się, żeby go pocałować, nie zamykając oczu, gdyż chcę widzieć jego zaskoczenie i szczęście, bo nie mogę zobaczyć ani poczuć własnego.

nie jest tak, jakbym całował się z sofą. jest tak, jakbym całował się z chłopakiem. nareszcie z chłopakiem.

kruchy zamyka oczy. uśmiecha się, gdy przestajemy.

kruchy: nie sądziłem, że ten wieczór tak się skończy.

ja: a co ja mam powiedzieć?

chcę uciec. nie z nim. po prostu nie chcę wracać do szkoły i do życia. gdyby po tamtej stronie nie czekała na mnie mama, pewnie bym to zrobił. chcę uciec, bo

straciłem wszystko. jestem pewien, że gdybym powiedział to kruchemu, odrzekłby, że straciłem złe rzeczy tak samo jak dobre. powiedziałby, że jutro wszędzie słońce, czy jakąś inną bzdurę. ale ja bym mu nie uwierzył. nie wierzę w nic takiego.

kruchy: hej, nawet nie wiem, jak się nazywasz.

ja: will grayson

na te słowa kruchy zrywa się z ławki, niemalże zrzucając mnie na trawnik.

kruchy: nie!

ja: yyy... tak?

kruchy: czy to nie przegenialne?

zaczyna się śmiać, wołając:

kruchy: pocałowałem willa graysona! pocałowałem willa graysona!

zauważa, że to przeraża mnie bardziej niż rekiny, więc siada i mówi:

kruchy: cieszę się, że to byłeś ty.

myślę o drugim willu graysonie i zastanawiam się, jak mu idzie z jane.

ja: ale nie nadaję się do czasopisma dla nastolatków, okay?

jego wzrok promienieje.

kruchy: opowiedział ci o tym?

ja: taa.

kruchy: to było totalnie niesprawiedliwe. tak się wściekłem, że napisałem list do

redakcji, ale go nie wydrukowali.

czuję bolesne ukłucie zazdrości, że d.w.g. ma takiego przyjaciela. nie wyobrażam sobie, by ktoś kiedyś napisał w mojej sprawie list do redakcji. nie liczę nawet na to, że ktoś zamieści w gazecie mój nekrolog.

zastanawiam się nad wszystkim, co się wydarzyło, i przychodzi mi do głowy, że kiedy wrócę do domu, nie będę miał nawet komu o tym opowiedzieć. a potem spoglądam na kruchego i ku własnemu zaskoczeniu, znów go całuję. bo co do cholery. no właśnie, co do cholery!

trwa to przez jakiś czas. dostaję ogromnej erekcji od całowania kogoś z ogromną erekcją. a między pieszczotami kruchy wypytuje mnie, gdzie mieszkam, co się dziś stało, co chcę robić z życiem, jaki smak lodów lubię najbardziej. odpowiadam na te pytania, na które potrafię (czyli o mieszkanie i lody) i wyjaśniam mu, że co do reszty nie mam pojęcia.

nikt na nas nie patrzy, ale zaczyna mi się wydawać, że ktoś nas obserwuje, więc przestajemy się tulić. i znów myślę o isaacu, bo choć ta cała historia z kruchym jest ciekawym wydarzeniem, wszystko inne i tak jest do bani. mam takie wrażenie, jakby tornado zniszczyło mój dom, a kruchy był jedynym ocalałym pokojem. czuję, że jestem mu za to coś winien, więc mówię:

ja: cieszę się, że istniejesz.

kruchy: w tej chwili ja też się cieszę, że istnieję.

ja: nie masz pojęcia, jak bardzo się co do mnie mylisz.

kruchy: to ty nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz co do siebie.

ja: przestań.

kruchy: tylko jeśli ty przestaniesz.

ja: ja tylko cię ostrzegam.

nie wiem, co prawda ma do miłości i *vice versa*. nawet nie myślę tutaj w kategoriach miłości. jest na to o wiele, wiele za wcześnie. ale chyba myślę w kategoriach prawdy. chcę, by to było szczere. i nawet gdy zaprzeczam kruchemu

i sobie, prawda staje się coraz bardziej oczywista.
czas, byśmy się zastanowili, jak to wszystko sobie poukładać.

8 Przetłumaczył Tomasz Chalecki.

11

Zostało jeszcze dziesięć minut do dzwonka na pierwszą lekcję. Siedzę pod swoją szafką, kiedy Kruchy wpada na korytarz, dzierżąc w ramionach naręcza plakatów zachęcających do udziału w przesłuchaniach do *Kruchego tancerza*.

– Grayson! – woła.

– Hej – odpowiadam. Wstaję, biorę od niego plakat i przytrzymuję przy ścianie. Wypuszcza rulon z pozostałymi i przygotowuje kawałki taśmy klejącej, odrywając je zębami. Przykleja plakat, potem zbieramy resztę z podłogi, przechodzimy kilka kroków dalej i powtarzamy całą procedurę. A przez cały ten czas Kruchy mówi. Jego serce bije, powieki mrugają, płuca oddychają, nerki rozkładają toksyny, a on mówi, i wszystko to są czynności mimowolne.

– Przepraszam, że nie wróciłem do Frenchy’s, ale uznałem, że się domyślisz, iż pojedę taksówką, bo tak zrobiłem, a poza tym razem z Willem poszliśmy aż do Fasoli i, słuchaj, Grayson, wiem, że zdarzało mi się już tak twierdzić przedtem, ale on mi się naprawdę podoba. To znaczy, musiał mi się naprawdę spodobać, skoro połączyłem z nim taki kawał do Fasoli i wysłuchałem historii o jego chłopaku, który nie był ani jego, ani chłopakiem, a poza tym zaśpiewałem dla niego. I, Grayson, posłuchaj tylko: uwierzysz, że pocałowałem Willa Graysona? Ja. Pocałowałem. Willa. Graysona. Nie bierz tego do siebie, bo jak już ci mówiłem kwadrylion razy, uważam cię za pierwszorzędnego gościa, ale dałbym sobie uciąć lewe jajko, że nigdy nie będę się obłapiał z Willem Graysonem, kumasz?

– Hm... hm... – mówię, ale Kruchy nie czeka nawet, aż wyjdę poza „hm”, i dalej miele ozorem.

– I dostaję od niego SMS-y mniej więcej co czterdzieści dwie sekundy. Są świetne i cieszą mnie, bo przy okazji przyjemna vibracja na udzie przypomina mi, że on... O proszę, następny. – Przytrzymuję plakat, podczas gdy Kruchy wyjmuje z kieszeni dzinsów telefon. – Łaa.

– Co tam? – pytam.

– Tajemnica. Will ufa, że nie będę rozpowiadał o tym, co do mnie pisze, wiesz?

Mógłbym zwrócić uwagę na śmieszność założenia, że ktokolwiek ufa, iż Kruchy nie rozpapla o czymkolwiek, ale tego nie robię. Przykleja taśmą plakat i rusza dalej korytarzem. Ja za nim.

– Cieszę się, że miałeś taki fantastyczny wieczór. Tymczasem ja zostałem zaatakowany z zaskoczenia przez grającego w piłkę wodną byłego chło...

– Przede wszystkim – przerywa mi – co to ma dla ciebie za znaczenie? Przecież nie lecisz na Jane. A po drugie, nie nazywałbym go chłopakiem. To mężczyzna. Posągowy, niepokalanie poczęty, powalająco seksowny były mężczyzna Jane.

– Nie pomagasz.

– Tylko wyjaśniam. Nie w moim typie, ale prawdziwy cud. A jego oczy! Niczym szafiry rzucające blask na najciemniejsze zakamarki twojego serca. Tak czy siak, nawet nie wiedziałem, że ze sobą chodzą. Nigdy o tym nie słyszałem. Myślałem tylko, że to gorący gość, który do niej uderza. Jane nie opowiada mi o chłopakach. Nie wiem dlaczego. Jestem w tych kwestiach absolutnie godzien zaufania. – Jego głos brzmi zbyt sarkastycznie, bym się zaśmiał. Kruchy ciągnie dalej niezrażony. – Zdumiewające, czego nie wiemy o ludziach, nie sądzisz? Na przykład myślałem o tym, co opowiedział mi Will. Zakochał się w Isaacu, który okazał się zmyśloną osobą. Wydaje się, że to możliwe tylko w Internecie, a przecież to samo dzieje się cały czas w realu.

– Isaac nie był zmyślony. Był po prostu dziewczyną. To znaczy ta dziewczyna Maura jest Isaakiem.

– Nie jest – odpowiada z prostotą.

Trzymam ostatni plakat, który Kruchy przykleja do drzwi męskiej ubikacji. Widnieje na nim hasło: JESTEŚ FANTASTYCZNY? JEŚLI TAK, DO ZOBACZENIA DZISIAJ NA DZIEWIĄTEJ LEKCJI W AULI. Kończy i ruszamy na matkę. Korytarz zaczyna się wypełniać uczniami.

Cała ta kołomyja z imionami Isaac/Maura przypomina mi o czymś.

– Kruchy – zagajam.

– Grayson – odpowiada.

– Czy mógłbyś zmienić nazwisko jednego bohatera w twojej sztuce, tego przydupasa?

– Gila Wraysona? – Potakuję skinieniem głowy. Kruchy wyrzuca ramiona w górę i oznajmia: – Nie mogę zmienić nazwiska Gilowi Wraysonowi! Ono jest kluczowe dla całego przedstawienia.

– Naprawdę nie jestem w nastroju na te twoje wymysły – ostrzegam.

– To nie wymysły! On musi nazywać się Wrayson. Wymów to powoli. Ray[9]-sin[10]. Rays-in[11]. Ma podwójne znaczenie. Wrayson ulega przemianie. I musi wpuścić promienie słońca do swojego wnętrza – te promienie, które emanują

z piosenek Kruchego – by stać się naprawdę sobą. Przestać być śliwką, a zacząć być skąpanym w słońcu rodzinie. Nie czaisz?

– Daj spokój, Kruchy. Jeśli to prawda, to dlaczego, do cholery, ma na imię Gil?

Moje pytanie na chwilę zamyka mu usta.

– Hmmm – mruczy, zmrużonymi oczami patrząc w ciagle jeszcze dość cichy korytarz. – Po prostu dobrze mi brzmiało. Ale chyba mógłbym je zmienić. Pomyślę nad tym, okay?

– Dziękuję.

– Proszę. A teraz przestań zachowywać się jak ciota.

– Słucham?

Podchodzimy do naszych szafek i choć mogą go usłyszeć inni, mówi tak głośno jak zawsze.

– Chlip, chlip, Jane mnie nie lubi, chociaż ja też nie lubię jej. Chlip, chlip, Kruchy nazwał moim imieniem postać w swojej sztuce. Słuchaj, na świecie żyją ludzie z prawdziwymi problemami, wiesz? Zachowaj właściwą perspektywę.

– Ziom, t y mówisz m n i e, żeby zachowywać właściwą perspektywę? Jezu Chryste, Kruchy. Chodziło mi tylko o to, że nie wiedziałem o jej chłopaku.

Kruchy zamyka oczy i bierze głęboki wdech, jakbym to ja był irytujący.

– Już mówiłem, że nawet nie wiedziałem o jego istnieniu, okay? Ale potem zobaczyłem, jak z nią rozmawia, i z jego zachowania wywnioskowałem, że mu na niej zależy. A kiedy sobie poszedł, musiałem zapytać, kto to. Ona na to: „Mój były chłopak”, a ja: „Były? Musisz natychmiast odzyskać tego pięknego mężczyznę!”.

Patrzę na szeroką twarz Kruszyny. On odwraca wzrok i zagląda do szafki. Wygląda na nieco znudzonego, ale nagle unosi brwi, a ja przez sekundę mam nadzieję, że zrozumiał, jak mnie wkurzyło to, co właśnie powiedział. Lecz wtedy wkłada rękę do kieszeni i wyjmuję telefon.

– Nie mogłeś tego zrobić – mówię.

– Przepraszam, wiem, że nie powinienem czytać SMS-ów podczas rozmowy, ale jestem w tej chwili trochę zadurzony.

– Nie chodzi mi o SMS-y, Kruchy. Nie powiedziałeś Jane, żeby wróciła do tamtego typu?

– Ależ oczywiście, że powiedziałem, Grayson – odpowiada, nadal patrząc na ekran telefonu. – On jest fantastyczny, a ty stwierdziłeś, że Jane ci się nie podoba. Więc teraz ci się podoba? Typowy facet: jesteś zainteresowany tylko wtedy, gdy ona nie jest.

Mam ochotę przyłożyć mu w nery za to, że się myli i że ma rację. Ale to zaboloby jedynie mnie. Jestem tylko drugoplanową postacią w historii Kruchego Coopera i nic nie mogę na to poradzić, tylko podpierać ściany. Dopóki liceum się nie skończy, nie wyrwę się z jego orbity i nie przestanę być księżycem jego grubej

planety.

Nagle uświadamiam sobie, co mogę zrobić. Jaką posiadam broń. Zasada nr 2. Siedzieć cicho. Mijam go i wchodzę do klasy.

– Grayson ! – woła.

Nie odpowiadam.

Nie odzywam się przed matką, kiedy Kruchy cudem wciska się w ławkę. Ani wtedy, gdy mi oznajmia, że teraz już nie jestem jego ulubionym Willem Graysonem. Również wtedy, gdy zwierza się, że napisał do drugiego Willa Graysona czterdzieści pięć razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i czy nie uważam, że to za dużo. Nie odzywam się, kiedy podsuwa mi swój telefon pod nos, pokazując wiadomość od Willa, którą powinienem uznać za uroczą. Nic nie mówię, kiedy mnie pyta, dlaczego, do cholery, nic nie mówię. I nie odzywam się, gdy wyjaśnia:

– Grayson, po prostu mnie denerwowałeś i powiedziałem to wszystko, żebyś się zamknął. Ale nie chciałem, żebyś zamknął się aż tak bardzo.

Milczę, kiedy dodaje:

– Proszę, poważnie, odezwij się do mnie.

I nadal siedzę cicho, kiedy mówi pod nosem, ale dość głośno, by inni dosłyszeli:

– Serio, Grayson, przepraszam, okay? Przepraszam.

A potem na szczęście rozpoczyna się lekcja.

Pięćdziesiąt minut później dzwoni dzwonek, a Kruchy wędruje za mną na korytarz niczym jakiś rozdęty cień, mówiąc:

– Poważnie, daj spokój, przecież to śmieszne.

Nie chodzi o to, że mam ochotę go jeszcze podręczyć. Po prostu rozkoszuję się tym, że nie muszę słuchać urazy i bezsilności brzęących w moim głosie.

Przy obiedzie siadam na końcu długiego stołu obstawionego przez członków mojej byłej Grupy Przyjaciół. Niejaki Alton wita mnie tekstem:

– Jak leci, parówko?

– Całkiem nieźle – odpowiadam.

A niejaki Cole pyta:

– Idziesz na imprezę do Clinty? Będzie czadowo.

Dociera do mnie, że ci kolesie wcale mnie nie nienawidzą, mimo że jeden z nich właśnie nazwał mnie „parówką”. Najwyraźniej towarzystwo Kruchego w roli jedyne go i najlepszego przyjaciela nie przygotowuje dobrze do zawilności męskich rytuałów socjalizacyjnych.

– Spróbuję wpaść – mówię, choć nawet nie wiem, kiedy impreza ma się odbyć.

Wtedy ten kolo z ogoloną głową, Ethan, pyta:

– Hej, a idziesz na casting do tej gejowskiej sztuki Kruchego?

– Raczej nie – zaprzeczam.

– Ja chyba pójdę – stwierdza, a ja nie mam pojęcia, czy żartuje. Wszyscy wybuchają śmiechem i gadają naraz, próbując mu dopiec, lecz on ich zbywa, mówiąc:

– Dziewczyny uwielbiają wrażliwych mężczyzn. – Odwraca się na krześle i woła w kierunku stołu za swoimi plecami, przy którym siedzi jego dziewczyna, Anita: – Słonko, prawda, że seksownie śpiewam?

– Jak cholera – odpowiada Anita.

Ethan spogląda na nas z zadowoleniem. Ale chłopaki nadal się z niego nabijają. Ja głównie milczę, lecz pod koniec konsumowania cheeseburgera śmieję się z ich żartów w odpowiednich momentach, co chyba oznacza, że jem z nimi lunch.

Kruchy dopada mnie, gdy odnoszę tacę. Jest z nim Jane i oboje ruszają za mną. Początkowo nikt nic nie mówi. Jane ma na sobie oliwkowozieloną bluzę z kapturem naciągniętym na głowę. Wygląda niemalże niesprawiedliwie rozkosznie, jakby wybrała ten strój specjalnie, by kusić.

– Zabawny liścik, Grayson – odzywa się w końcu. – Kruchy mówi, że złożyłeś śluby milczenia.

Kiwam głową.

– Dlaczego? – dopytuje.

– Dzisiaj rozmawiam tylko z uroczymi dziewczynami – odpowiadam i uśmiecham się. Kruchy miał rację: istnienie kolesia od piłki wodnej sprawia, że łatwiej jest mi flirtować.

Jane też się uśmiecha.

– Myślę, że Kruszyna jest dość uroczą dziewczynką.

– Ale dlaczego? – jęczy Kruchy, gdy skręcam w następny korytarz. Kiedyś ten labirynt identycznych korytarzy różniących się tylko malowidłami z Dzikim Kotem napawał mnie panicznym strachem. Boże, chciałbym cofnąć się do tych czasów, gdy moim największym lękiem były korytarze. – Grayson, proszę. ZABIJASZ mnie.

Jestem świadom, że po raz pierwszy od kiedy pamiętam, Kruchy i Jane idą za mną.

Przyjaciel postanawia mnie zignorować i mówi do Jane, że ma nadzieję, iż pewnego dnia zgromadzi tyle SMS-ów od Willa Graysona, by zebrać je w książkę, bo są prawdziwą poezją.

Zanim zdążę się ugryźć w język, oznajmiam:

– „Czy mam przyrównać cię do dnia letniego” staje się „jesteś napalony jak kocur w marcu”.

– On gada! – wrzeszczy Kruchy i obejmuje mnie ramieniem. – Wiedziałem, że dojdiesz do siebie! Jestem tak szczęśliwy, że zmienię imię Gilowi Wraysonowi! Od dziś znany będzie jako Phil Wrayson! Phil Wrayson, który musi chłonać promienie

słońca Kruchego, by stać się naprawdę sobą. Doskonale! – Pochylam głowę. Ludzie nadal będą zakładali, że to ja, ale Kruszyna... cóż, przynajmniej udaje, że się stara. – Och, SMS! – Wyjmuje telefon, czyta wiadomość, wzdycha głośno i próbuje wystukać odpowiedź swoimi potężnymi kciukami.

Tymczasem ja mówię:

– Chcę mieć wpływ na to, kto będzie go grał.

Kruchy z roztargnieniem kiwa głową.

– Kruszon – powtarzam – chcę wybrać, kto go będzie grał.

Podnosi wzrok.

– Co? Nie, nie, nie. Ja jestem reżyserem. Jestem też scenarzystą, producentem, asystentem kostiumografa i kierownikiem obsady.

– Widziałam, jak skinąłeś głową – wtrąca Jane. – Już się na to zgodziłeś. – Kruchy tylko prychnie z irytacją. Gdy stajemy przed moją szafką, Jane odciąga mnie za łokieć na bok i dodaje cicho: – Nie możesz mówić takich rzeczy.

– Źle, jak mówię, źle, jak nie mówię... – odpowiadam z uśmiechem.

– Posłuchaj... Grayson, ja... po prostu nie możesz mówić takich rzeczy.

– Jakich?

– O uroczych dziewczynach.

– Dlaczego?

– Bo nadal analizuję związek między piłką wodną i epifaniami. – Odważa się na lekki uśmiech.

– Pójdiesz ze mną na przesłuchania do *Kruchego tancerza*? – pytam. Kruchy nadal macha kciukami.

– Grayson, nie mogę... to znaczy, w pewnym sensie nie jestem wolna, rozumiesz?

– Nie zapraszam cię na randkę, tylko na zajęcia pozalekcyjne. Będziemy siedzieli w ostatnim rzędzie i śmiali się z ziomków marzących o tym, by mnie zagrać.

Ostatni raz czytałem tę sztukę zeszłego lata, ale z tego, co pamiętam, jest tam chyba siedem porządných ról: Kruchy, jego mama (która ma duet z synem), Phil Wrayson, chłopcy, w których Kruchy się podkochuje, Kaleb i Barry, oraz fikcyjna heteroseksualna para, dzięki której główny bohater zaczyna w siebie wierzyć czy coś w tym rodzaju. I jest chór. W sumie Kruchy potrzebuje trzydziestu ludzi w obsadzie. Zakładałam, że na casting przyjdzie może dwunastu.

Kiedy wchodzę po chemii do auli, wokół sceny już kręci się około pięćdziesięciu osób, a pierwszych kilka rzędów czeka, aż zaczną się przesłuchania. Gary biega między nimi, wręczając wszystkim agrałki i kartki z odręcznie napisanymi numerami, które kandydaci przypinają sobie do ubrań. A ponieważ to ludzie teatru, wszyscy gadają. Absolutnie wszyscy. Naraz. Nie zależy im na tym, by ktoś ich słuchał. Potrzebują tylko mówić.

Zajmuję fotel w ostatnim rzędzie, drugi od przejścia, żeby Jane mogła usiąść na pierwszym. Zjawia się tuż po mnie i siada obok. Przez chwilę się rozgląda, a potem stwierdza:

– Gdzieś wśród nich, Grayson, jest ktoś, kto będzie musiał zajrzeć w twoją duszę, żeby móc się w ciebie wcielić.

Już mam odpowiedzieć, gdy pada na nas cień Kruchego. Przyjaciel klęka obok i każdemu z nas wręcza podkładkę z kartkami.

– Proszę, zanotujcie swoje uwagi na temat każdej osoby, która nadawałaby się do roli Phila. Myślę też o dopisaniu niewielkiego epizodu dla postaci o imieniu Janey.

A potem pewnym siebie krokiem oddala się przejściem między rzędami.

– Ludzie! – krzyczy. – Zajmijcie miejsca. – Kandydaci pospiesznie siadają w pierwszych rzędach. – Nie mamy wiele czasu – dodaje Kruchy dziwnie afektowanym głosem. Chyba mówi tak, jak jego zdaniem powinni mówić ludzie teatru. – Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, czy potraficie śpiewać. Każdy z was ma minutę, żeby coś zaprezentować. Niektórzy z was zostaną ponownie poproszeni, by przeczytać fragment roli. Możecie sobie wybrać piosenkę, ale jedno musicie wiedzieć: Kruchy. Cooper. Nienawidzi. *Over. The. Rainbow.*

Energicznie zeskakuje ze sceny i woła:

– Numer jeden, rozkochaj mnie w sobie!

Numer 1, myszowata blondynka, która przedstawia się jako Marie F., wspina się po schodach na scenę i garbi się przed mikrofonem. Patrzy spod grzywki na tylną ścianę auli, na której wielkimi drukowanymi fioletowymi literami napisane jest: DZIKI KOT DAJE CZADU. Ona natomiast wprost odwrotnie przez oszałamiająco fatalną interpretację ballady Kelly Clarkson.

– O mój Boże – wzdycha cicho Jane. – O Boże. Niech to się już skończy.

– Nie wiem, o czym mówisz – szepczę. – Ta laska jest idealna do roli Janey. Fałszuje, kocha korporacyjny pop i pewnie chodzi z jakimś dupościskiem.

Jane daje mi kuksańca.

Numer 2 to chłopak, zachrypnięty młodzian o włosach zbyt długich, by można je było uznać za normalne, i za krótkich, by uznać je za naprawdę długie. Śpiewa kawałek zespołu, który chyba nazywa się Cholerni Jankesi – Jane go oczywiście zna, kurka wodna. Nie wiem, jak brzmi oryginał, ale jego wyjąca wersja *a cappella* pozostawia wiele do życzenia.

– Śpiewa tak, jakby ktoś przed chwilą kopnął go w jaja – stwierdza Jane, na co odpowiadam:

– Jeśli nie przestanie, ktoś to zaraz zrobi.

Przed numerem 5 marzę o przeciętnym wykonaniu czegoś nienapastliwego jak *Over the Rainbow*, i przypuszczam, że Kruchy też, sądząc po tym, że jego początkowe pełne animuszu: „To było super! Wróćmy do ciebie” przeszło

w „Dzięki. Następny”.

Utwory są różne, od standardów jazzowych po covery boysbandów, ale wszyscy wykonawcy mają wspólną cechę: są do bani. To znaczy, nie każdy jest do bani w ten sam sposób i nie każdy równie bardzo, ale każdy przynajmniej trochę. Jestem zaskoczony, kiedy mój kolega ze stołówki, Ethan, czyli numer 19, okazuje się najlepszym wykonawcą do tej pory. Prezentuje utwór z jakiegoś musicalu zatytułowanego *Przebudzenie wiosny*. Chłopak ma kawał głosu.

– Mógłby zagrać ciebie – stwierdza Jane. – Gdyby zapuścił włosy i nabrał złego nastawienia do świata...

– Nie mam złego nastawienia...

– Ludzie ze złym nastawieniem zawsze tak właśnie twierdzą. – Jane się uśmiecha.

W ciągu kolejnej godziny wyławiam kilka potencjalnych Jane. Numer 24 śpiewa osobliwie dobrą, choć przesłodzoną wersję piosenki z *Facetów i laleczek*. Inna dziewczyna, numer 43, ma proste rozjaśnione włosy z niebieskimi pasemkami i śpiewa *Mary Had a Little Lamb*. Coś w kontraście między dziecięcą pioseneczką i jej niebieskim włosami kojarzy mi się z Jane.

– Głosuję na nią – oznajmia Jane, gdy dziewczyna zaczyna drugą zwrotkę.

Ostatnia kandydatka to drobniutka, wielkooka istotka o imieniu Hazel, która śpiewa utwór z *Rent*. Gdy kończy, Kruchy wbiega na scenę, żeby wszystkim podziękować, zapewnić, iż byli fantastyczni i niezwykle trudno będzie dokonać wyboru, ale wyniki zostaną na pewno ogłoszone pojutrze. Wykonawcy mijają nas w drodze do wyjścia. Kruchy wlecze się na końcu.

– Czeka cię ciężka robota – zwracam się do niego.

Wymownie zwiesza ramiona, pokazując, jak bardzo jest zdruzgotany.

– Nie zobaczyliśmy dzisiaj zbyt wielu przyszłych gwiazd Broadwayu – przyznaje.

Gary podchodzi do nas.

– Podobały mi się numery sześć, dziewiętnaście, trzydzieści jeden i czterdzieści dwa. A pozostali, cóż... – I wtedy Gary przykładą dłonie do piersi i zaczyna śpiewać: – „Gdzieś nad tęczą wysoko/ śpiew Dzikiego Kota rozsadza mi oko”.

– Jezu – wzdycham. – Brzmisz jak prawdziwy śpiewak. Jak Pavarotti.

– Tylko że on jest barytonem – koryguje Jane, której muzyczne aspiracje rozciągają się najwyraźniej również na świat opery.

Podeksycytowany Kruchy pstryka palcami jednej ręki, a drugą pokazuje na Gary’ego.

– Ty! Ty! Ty! Dostajesz rolę Kaleba. Gratulacje.

– Chcesz, żebym zagrał fikcyjną wersję mojego byłego chłopaka? – dziwi się Gary. – Raczej nie.

– W takim razie Phila Wraysona! Obojętnie. Wybierz sobie rolę. Mój Boże,

śpiewasz lepiej od nich wszystkich razem wziętych.

– Tak! – zgadzam się. – Masz tę rolę.

– Ale będę musiał pocałować dziewczynę – protestuje Gary. – Fuj.

Nie pamiętam, by moja postać całowała jakieś dziewczyny i już chcę zapytać o to Kruchego, ale nie daje mi dojść do słowa:

– Naniosłem pewne poprawki.

Kruchy zasypuje Gary’ego kolejnymi komplementami, aż ten zgadza się zagrać mnie, i szczerze mówiąc, bardzo mi to pasuje. Ruszamy w stronę stołówki, a Gary zwraca się do mnie, przekrzywiając głowę i mrużąc oczy.

– Jak to jest być Willem Graysonem? Muszę wiedzieć, jak to jest od środka.

Uśmiecha się, ale też chyba czeka na poważną odpowiedź. Zawsze myślałem, że być Willem Graysonem to być mną, ale najwyraźniej nie. Ten drugi Will Grayson też jest Willem Graysonem i będzie nim również Gary.

– Staram się tylko siedzieć cicho i niczym się nie przejmować – wyjaśniam.

– Jakie poruszające słowa. – Gary uśmiecha się szerzej. – Zbuduję twoją postać na atrybutach skał na brzegu jeziora: milczących, apatycznych i – biorąc pod uwagę to, jak mało ćwiczą – zaskakująco ładnie wyrzeźbionych.

Śmieją się wszyscy poza Kruchym, który akurat pisze SMS-a. Gdy wychodzimy z korytarza, zauważam Ethana z plecakiem opierającego się o gablotę z pucharami Dzikich Kotów. Podchodzę do niego.

– Nieźle ci poszło – mówię.

– Mam tylko nadzieję – oznajmia z uśmiechem – że nie jestem zbyt seksowny, by cię zagrać.

Uśmiecha się, ja też, choć wydaje mi się, że nie jest to do końca żart.

– Widzimy się w piątek u Clinty? – pyta.

– Ta, może – odpowiadam.

Poprawia plecak na ramieniu i odchodzi ze skinieniem głowy. Słyszę, jak Kruchy za mną błaga dramatycznie:

– Proszę, niech ktoś mi powie, że wszystko dobrze się ułoży!

– Pewnie – uspokaja go Jane. – Przeciężni aktorzy wyrastają na świetny materiał.

Przyjaciel oddycha głęboko, energicznie otrząsa się z jakiejś myśli i mówi:

– Masz rację. Razem będą lepsi niż suma ich części. Pięćdziesięciu trzech kandydatów starało się o rolę w mojej sztuce! Moje włosy wyglądają dzisiaj ekstra! Dostałem czwórkę z wypracowania z angielskiego! – Jego telefon brzęczy. – I przyszedł SMS od mojego nowego ulubionego Willa Graysona. Masz absolutną rację, Jane, Kruchemu świetnie się układa.

9 *Ray* (ang.) – promień.

10 *Sin* (ang.) – grzech.

11 *Rays in* (ang.) – promienie do wewnątrz.

12

zaczynamy do siebie pisać w drodze powrotnej z chicago do domu. mam już w telefonie dwadzieścia siedem sms-ów od kruchego, a on dwadzieścia siedem ode mnie. pisanie z nim zajęło większą część podróży pociągiem. przez resztę zastanawiałem się, co powinienem zrobić, kiedy wejdę do domu. ponieważ jeśli nieistnienie isaaca mnie przytłoczy, będę musiał uporządkować parę innych spraw, żeby zupełnie nie wgniotło mnie w grunt. teraz już na niczym mi nie zależy. to znaczy wcześniej też myślałem, że na niczym mi nie zależy. ale to była czysta amatorszczyzna. teraz to niepowstrzymana wolność, której nic nie obchodzi.

mama czeka na mnie w kuchni, popijając herbatę i kartkując jeden z tych idiotycznych magazynów, w których bogaci celebryci chwalą się swoimi domami. podnosi wzrok, kiedy wchodzę.

mama: jak było w chicago?

ja: słuchaj, mamu, jestem zdeklarowanym gejem i byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mogła całe to szaleństwo odstawić za jednym razem. mamy co prawda spory kawał życia, żeby sobie z tym poradzić, ale im szybciej przejdziemy przez całą tę męczarnię, tym lepiej.

mama: całą męczarnię?

ja: no wiesz, modlenie się za moją duszę, przeklinanie mnie, że nie dam ci wnuków oraz żonki, i powtarzanie, jak potwornie jesteś mną rozczarowana.

mama: naprawdę myślisz, że będę się tak zachowywała?

ja: masz chyba do tego prawo. ale gdybyś zechciała pominąć ten etap, będę bardzo zadowolony.

mama: chyba chcę go pominąć.

ja: naprawdę?

mama: naprawdę.

ja: rety. to znaczy, super.

mama: czy dasz mi chociaż chwilę na ochłonięcie po tej niespodziance?

ja: jasne. chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewałaś, kiedy pytałaś, jak było w chicago.

mama: chyba można bezpiecznie tak to ująć.

wpatruję się w jej twarz, by sprawdzić, czy coś ukrywa, ale wygląda na to, że nie. co jest dość imponujące, biorąc wszystko pod uwagę.

ja: zamierzasz mi powiedzieć, że wiedziałaś o tym od dawna?

mama: nie. ale zastanawiałam się, kim jest isaac.

o cholera.

ja: isaac? ty też mnie szpiegowałaś?

mama: nie, tylko...

ja: co?

mama: powtarzałeś jego imię we śnie. nie szpiegowałam. ale słyszałam.

ja: raju.

mama: nie złość się.

ja: o co miałbym się złościć?

wiem, że to głupie pytanie. dowiodłem, że potrafię się złościć o zupełnie bzdury. raz obudziłem się w środku nocy. gotów przysiąc, że mama zainstalowała czujnik dymu w moim pokoju, kiedy spałem. wpadłem więc do jej sypialni i zacząłem się pieklić, że tak po prostu weszła do mnie i coś zrobiła, nie informując mnie o tym. obudziła się i spokojnie powiadomiła mnie, że czujnik dymu znajduje się w korytarzu. praktycznie wywlokłem ją z łóżka, by jej pokazać, że się myli, i oczywiście na moim suficie niczego nie było – tylko mi się to przyśniło. a ona nie krzyczała na mnie ani nic w tym stylu, tylko kazała mi wracać do łóżka. a następnego dnia była zupełnie wykończona, ale ani razu nie wypomniała mi, że to dlatego, iż obudziłem ją w środku nocy.

mama: widziałeś się z isaakiem w chicago?

jak mam jej to wyjaśnić? jeśli powiem, że pojechałem do miasta do sex shopu, by spotkać się z facetem, który okazał się nie istnieć, zarobki z wieczorków pokerowych z kilku następnych tygodni pójdą na wizyty u dr keebler. ale mama potrafi poznać, kiedy ściemniam, jeśli się tego spodziewa. nie chcę teraz kłamać. więc trochę naginam prawdę.

ja: tak, widziałem się z nim. nosi ksywę kruchy. tak go nazywam, choć jest ogromny. okazał się w sumie, wiesz, bardzo miły.

wkraczamy na zupełnie nieodkryte terytorium w relacjach matka–syn, nie tylko w tym domu – być może w całej ameryce.

ja: nie zamartwiaj się od razu. poszliśmy tylko do parku milenijnego i trochę rozmawialiśmy. było tam też kilkoro jego przyjaciół. nie zajdę w ciążę.

mama naprawdę się śmieje.

mama: co za ulga.

wstaje od stołu i, zanim zdążam zareagować, przytula mnie. przez moment nie wiem, co zrobić z rękami, aż myślę: „ty durniu, też ją przytul”. robię to, spodziewając się, że zacznie płakać, ponieważ jedno z nas powinno. ale gdy się odsuwa, ma zupełnie suche oczy – może trochę zamglone, ale widywałem ją, kiedy wszystko się waliło, i poznaję, że to nie jest jedna z tych chwil. wszystko jest okay.

mama: maura dzwoniła kilka razy. wydawała się zaniepokojona.

ja: może iść do diabła.

mama: will!

ja: przepraszam. nie chciałem powiedzieć tego na głos.

mama: co się stało?

ja: nie chcę w to wnikać. powiem ci tylko, że naprawdę bardzo mnie zraniła, i niech to wystarczy. jeśli tu przyjdzie, powiedz jej, że nie chcę z nią już nigdy rozmawiać. nie udawaj, że mnie nie ma. nie kłam, jeżeli będę w pokoju obok. powiedz jej prawdę – że to koniec, nieodwołalny koniec. proszę.

nie wiem, czy dlatego, że się zgadza, czy dlatego, że wie, iż niezgadanie się ze mną, gdy jestem w takim nastroju, nie ma sensu, ale mama kiwa głową. mam bardzo bystrą mamę, biorąc wszystko pod uwagę.

czas już, żeby wyszła z pokoju – myślałem, że tak będzie po przytulaniu – ale ponieważ ona nadal się ociąga, ja wykonuję ruch.

ja: idę spać. do zobaczenia rano.

mama: will...

ja: to był naprawdę długi dzień. dziękuję, że okazałaś się taka, wiesz, wyrozumiała. jestem ci zobowiązany. bardzo.

mama: nie chodzi o zobowiązania...

ja: jasne. ale wiesz, co mam na myśli.

nie chcę wychodzić, dopóki moje wyjście nie będzie całkiem okay. przynajmniej tyle mogę zrobić.

mama pochyła się i całuje mnie w czoło.

mama: dobranoc.

ja: dobranoc.

dopiero wtedy idę do pokoju, włączam komputer i tworzę nowego nicka.

willupleasebequiet: kruchy?

bluejeanbaby: jestem!

willupleasebequiet: jesteś gotów?

bluejeanbaby: na co?

willupleasebequiet: na przyszłość

willupleasebequiet: bo wydaje mi się, że właśnie się zaczęła

* * *

kruchy przysłała mi plik z jedną z piosenek z *kruchego tancerza*. ma nadzieję, że mnie zainspiruje. zgrywam ją na ipoda i słucham w drodze do szkoły następnego ranka.

*Kiedyś myślałem,
Że wagina kręci mnie.
Lecz przyszło to lato
I zapewniam was
Zmieniłem zdanie swe.*

*Od chwili gdy sąsiad, gdym prysznic chciał wziąć,
Tak słodko zapagnął spodenki mi zdjąć.
Poczułem, że serce me kwili jak ptak
Joseph Dick Trzeci – nazywał się tak.*

*Gejowskie dni!
Ja chyba to śnię!
Gejowskie dni
nie budźcie mnie!*

*Rodzice nie wiedzą, że los mój zmienili,
Gdy mnie na obóz aktorski puścili.*

*Tylu Hamletów do wzięcia tu jest,
Niektórzy są śliczni, niektórzy zaś nie.
Na miecze walczymy, lecz mnie
Rola Ofelii podoba się.*

*I był tam chłopak, i mówił mi „siostro”,
I były siostry, co dały mi znak,
I Joseph, co szeptał mi bzdurki na ucho,
Gdy go karmiłem, leżąc na wznak.*

*Gejowskie dni!
Na scenie trwam!
Gejowskie dni!
Anioła dziś gram!*

*Rodzice płacili, nie wiedząc, że ja
Ich kasę wydałem na miłość do cna.*

*Na scenie czasem całować się trzeba,
Taka to nieraz jest praca tu.
Lecz my w nią wkładamy i serce, i ciało
I nawet po pracy ćwiczymy bez tchu.*

Gejowskie dni

*Skończyły się!
Gejowskie dni
Pamiętam je!*

*Związek nasz przetrwał tylko do września,
Potem się rozpadł, czasami tak jest.
Lecz zmienił me życie, i wiem to na pewno,
Hetero nie będę już nigdy, o nie.*

*Od teraz na zawsze mój sen się śni,
To były, są, będą
Gejowskie dni! [12]*

ponieważ nigdy nie słuchałem musicali, nie wiem, czy wszystkie brzmią tak gejowsko, czy tylko ten kruchego. przypuszczam, że wszystkie wydawałyby mi się równie gejowskie. nie do końca wiem, jak to ma mnie zainspirować do zrobienia czegokolwiek poza wstąpieniem do kółka teatralnego, co teraz jest równie prawdopodobne jak to, że zaproszę maurę na randkę. jednak kruchy powiedział mi, że jestem pierwszą osobą, która usłyszała tę piosenkę poza jego mamą, a to już coś. nawet jeśli to żenada, to słodka żenada.

nawet udaje mi się dzięki temu na chwilę oderwać myśli od szkoły i od maury. ale gdy tam docieram, ona już jest w zwykłym miejscu, a góra we mnie przypomina sobie, że tak naprawdę jest wulkanem, i nic nie mogę poradzić, że chciałbym wszystko zalać lawą. mijam ją bez słowa, lecz to jej nie powstrzymuje. depcze mi po piętach, mówiąc wszystkie te rzeczy, które znalazłyby się na pocztówkach hallmarku, gdyby hallmark produkował pocztówki na takie okazje, gdy ktoś wymyśli przyjacielowi internetowego chłopaka i zostanie przyłapany na kłamstwie.

maura: przepraszam, will. nie chciałam cię zranić. po prostu się wygłupiałam. nie miałam pojęcia, że potraktujesz to tak poważnie. jestem totalną suką, wiem. ale robiłam to tylko dlatego, że to był jedyny sposób, by do ciebie dotrzeć. nie ignoruj mnie, will. odezwij się.

będę udawał, że ona nie istnieje, ponieważ inne opcje doprowadziłyby do mojego aresztowania i/lub wydalenia ze szkoły.

maura: proszę, will. naprawdę bardzo, bardzo przepraszam.

placze teraz, ale mnie to nie obchodzi. łzy mają przynieść ulgę jej, nie mnie. niech się nasyci bólem potrzebnym do poetyckich wzlotów. to nie ma ze mną nic wspólnego. już nie.

próbuję przesyłać mi liściki podczas lekcji. zrzucam je z ławki na podłogę. wysyła mi sms-y, ale kasuję je bez czytania. próbuję podejść do mnie na początku przerwy obiadowej, ale wznoszę mur milczenia, którego nie pokona żaden gotycki smutek.

maura: dobra. rozumiem, że jesteś wściekły. ale ja nadal tu będę, gdy złość ci przejdzie.

gdy coś się raz stłucze, nie da się tego z powrotem skleić. ponieważ gubią się gdzieś małe kawałeczki i krawędzie nie pasują do siebie, nawet gdyby chciały. cały kształt się zmienia.

nigdy już nie będę się przyjaźnił z maurą. a im wcześniej ona to zrozumie, tym mniej nerwów będzie.

rozmawiam z simonem i derekiem. okazuje się, że wczoraj roznieśli trygonometrycznych przeciwników w pył, więc przynajmniej nie są na mnie wściekli, że ich wystawiłem. moje miejsce przy stole w stołówce pozostaje bezpieczne. siedzimy i jemy w milczeniu co najmniej przez pięć minut, zanim simon się odzywa.

simon: i jak twoja wielka randka w chicago?

ja: naprawdę chcesz wiedzieć?

simon: tak. jeśli była tak ważna, że aż olałeś konkurs, to chcę wiedzieć, jak poszła.

ja: cóż, początkowo on nie istniał, ale potem zaistniał i poszło całkiem nieźle. gdy z tobą rozmawiałem wcześniej, starałem się nie używać żadnych zaimków, ale teraz mi to wisi.

simon: czekaj, jesteś gejem?

ja: taa. to chyba właściwy wniosek.

simon: to obrzydliwe!

nie całkiem takiej reakcji spodziewałem się po simonie. stawiałem raczej na coś bliższego obojętności.

ja: co jest obrzydliwe?

simon: no wiesz. że wkładasz swój interes tam, gdzie on defekuje.

ja: po pierwsze, nigdzie jeszcze nie włożyłem swojego interesu. a po drugie, czy masz świadomość, że kiedy chłopak i dziewczyna uprawiają seks, on wkłada swój interes tam, gdzie ona oddaje mocz i ma menstruację?

simon: och. nie myślałem o tym w ten sposób.

ja: no właśnie.

simon: tak czy siak, to dziwne.

ja: nie bardziej niż masturbowanie się przy postaciach z gier komputerowych.

simon: kto ci o tym powiedział?

odwraca się i tłucze dereka plastikowym widelcem po głowie.

simon: ty mu powiedziałeś?

derek: nic mu nie mówiłem!

ja: sam się domyśliłem. serio.

simon: ale tylko przy dziewczęcych postaciach.

derek: i niektórych czarnoksiężnikach!

simon: SIEDŹ CICHOO!

muszę przyznać, że nie tak sobie wyobrażałem bycie gejem.

na szczęście kruchy co pięć minut przysyła mi sms-y. nie wiem, jak mu się to udaje podczas lekcji. może ukrywa telefon w fałdach na brzuchu czy coś w tym rodzaju. niezależnie od tego, jestem mu wdzięczny. bo trudno nienawidzić życia, gdy ktoś ci przerywa dzień takimi tekstami

MAM NA TWÓJ TEMAT SZCZĘŚLIWE GEJOWSKIE MYŚLI

i

CHCĘ CI ZROBIĆ SWETER NA DRUTACH. W JAKIM KOLORZE?

i

CHYBA WŁAŚNIE ZAWALIŁEM TEST Z MATMY BO ZA DUŻO O TOBIE MYŚLAŁEM

i

CO SIĘ RYMUJE Z „PROCES O SODOMIĘ”?

potem

CIEŻKĄ LOBOTOMIĘ

potem

KOCHAM TWĄ ANATOMIĘ

potem

DOTKNIJ MNIE NIESKROMNIE

potem

TYŁEK WYPNIJ DO MNIE

aż w końcu

BTW – TO 4 SCENA W KTÓREJ NAWIEDZA MNIE WE ŚNIE DUCH OSCARA WILDE’A

rozumiem mniej więcej połowę z tego, co pisze, a to zazwyczaj wkurza mnie na maksa. ale przy kruchym jakoś się tym nie przejmuję. może pewnego dnia zrozumiem. a jeśli nie, to trudno, niewiedza też może być zabawna. tłuścioch robi ze mnie mięczaka. to naprawdę chore.

zadaje mi też różne pytania o to, jak leci, jak się czuję i kiedy znów mnie zobaczy. nic nie mogę na to poradzić, ale wydaje mi się, że jest trochę tak jak z isaakiem. tylko bez tego dystansu. tym razem czuję, że wiem, z kim rozmawiam. bo mam przekonanie, że w wypadku kruchego to, co widzę, jest prawdą. on nic nie ukrywa. chciałbym taki być. tylko żebym w tym celu nie musiał przytyć o jakieś sto trzydzieści kilo.

po lekcjach maura dopada mnie w szatni.

maura: simon powiedział mi, że już oficjalnie jesteś gejem. że „poznałeś kogoś” w chicago.

nie jestem ci nic winien, mauro. a już na pewno nie wyjaśnienia.

maura: co ty robisz, will? dlaczego mu to powiedziałeś?

bo rzeczywiście kogoś poznałem, mauro.

maura: odezwij się do mnie.

nigdy. pozwolę, by za mnie przemówiło trzaśnięcie drzwiczek szafki. odgłos moich oddalających się kroków. to, że się nawet nie odwrócę i nie spojrzę. widzisz, mauro, mam to gdzieś.

tego wieczoru kruchy i ja gadamy przez net bite cztery godziny. mama daje mi spokój i pozwala siedzieć do późna.

jakiś anonim zostawia komentarz na mojej stronie w myspace, nazywając mnie ciotą. to raczej nie maura. pewnie ktoś inny ze szkoły już się dowiedział.

przeglądam pocztę. przy wszystkich zachowanych wiadomościach od isaaca jego twarz została zastąpiona szarym kwadratem z czerwonym X.

„profil nie istnieje” – oznajmia program.

tak więc listy od niego zostają, choć on zniknął.

następnego dnia w szkole kilka osób dziwnie mi się przygląda. zastanawiam się, czy dałoby się odtworzyć drogę, którą plotka dotarła od dereka i simona do wysokiego nadętego pakera, który pogardliwie mierzy mnie wzrokiem. oczywiście jest możliwe, że zawsze tak na mnie patrzył, ale zauważyłem to dopiero teraz. staram się mieć to gdzieś.

maura odpuściła, lecz pewnie dlatego, że planuje następny atak. chcę jej powiedzieć, że nie warto. może nasza przyjaźń nie miała trwać dłużej niż rok. może to, co nas zbliżyło – fatalizm, defetyzm, sarkazm – nie miało nas połączyć na dłużej. pokręcone jest to, że tęsknię za isaakiem, a za nią nie, choć wiem, że to ona nim była. rozmowy z nią straciły wszelką wartość. autentycznie mi przykro, że posunęła się do czegoś takiego, by zmusić mnie do wyjawienia prawdy. ale przede wszystkim byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy nigdy się nie zaprzyjaźnili. nie zamierzam jej karać. nie powiem nikomu, co zrobiła, nie skopię jej szafki, nie wydrę się na nią przy

wszystkich. chcę tylko, by dała mi spokój. i tyle na ten temat. koniec.

tuż przed lunchem jeden kumpel, gideon, łapie mnie w szatni. nie rozmawialiśmy ze sobą od siódmej klasy, kiedy to siedzieliśmy razem na zajęciach z chemii. on potem został prymusem, a ja nie. lubię go i mówimy sobie „cześć” na korytarzu. często jest dj-em, głównie na imprezach, na które nie chodzę.

gideon: hej, will.

ja: hej.

jestem prawie pewny, że nie zamierza mnie pobić. zdradza to koszulka z nadrukiem przedstawiającym soundsystem.

gideon: no więc... słyszałem, że chyba jesteś, wiesz...

ja: mańkutem? filatelistą? homoseksualistą?

uśmiecha się.

gideon: tak. i, no wiesz, kiedy zrozumiałem, że jestem gejem, ciężko mi było, że nikt nie powiedział niczego w stylu „no i git”. więc chciałem tylko powiedzieć ci...

ja: no i git?

rumieni się.

gideon: wiem, że to głupio brzmi. ale mniej więcej o to mi chodziło. witaj w klubie. w tej szkole jest on bardzo mały.

ja: mam nadzieję, że nie ma opłat członkowskich?

wpatruje się w swoje buty.

gideon: hm, nie. to nie jest prawdziwy klub.

gdyby kruchy chodził do naszej szkoły, zapewne byłby tu klub. a on byłby jego prezesem.

uśmiecham się. gideon podnosi wzrok i zauważa to.

gideon: może miałbyś ochotę, nie wiem, skoczyć na kawę albo na coś innego po szkole...?

chwilę trwa, zanim ogarniam.

ja: zapraszasz mnie na randkę?

gideon: może.

tutaj, na środku korytarza? wśród tych wszystkich otaczających nas ludzi ? zdumiewające.

ja: słuchaj, bardzo chętnie gdzieś bym się z tobą wybrał. ale... mam chłopaka.

te słowa naprawdę padają z moich ust.
zduuuumiewające.

gideon: och.

wyjmuję telefon i pokazuję mu skrzynkę odbiorczą pełną sms-ów od kruchego.

ja: przysięgam, nie zmyślam tego, żeby się wymiksować z randki z tobą. ma na imię kruchy. chodzi do szkoły w evanston.

gideon: szczęściarz z ciebie.

to określenie nieczęsto pada pod moim adresem.

ja: może siądziesz w stołówce ze mną, derekiem i simonem?

gideon: oni też są gejami?

ja: tylko jeśli jesteś czarnoksiężnikiem.

minutę później wysyłam kruchemu sms.

MAM NOWEGO KOLEGĘ GEJA.

a on odpisuje:

POSTĘP!!!

a potem

POWINIENESZ ZAŁOŻYĆ GSA!

na co odpowiadam:

JEDEN KROK NARAZ, WIELKI CHŁOPCZE

a on na to:

WIELKI CHŁOPIEC – PODOBA MI SIĘ!

wymiana sms-ów trwa przez cały dzień i część nocy. to naprawdę niesamowite, jak często można do kogoś pisać, jeśli się wysyła krótkie teksty. to głupie, ale mam wrażenie, jakby kruchy przeżywał ten dzień ze mną. jakby był tu, gdy ignoruję maure, rozmawiam z gideonem czy odkrywam, że nikt nie zarąbie mnie siekierą na lekcji wuefu, bo wysyłam homoseksualne wibracje.

jednak to mi nie wystarcza, bo czasami tak samo się czułem przy isaacu. i nie chcę, by cała ta relacja przebiegała wyłącznie w mojej głowie.

więc wieczorem dzwonię do kruchego i rozmawiamy. zapraszam go, by przyjechał mnie odwiedzić. a on nie szuka wymówek. nie twierdzi, że to niemożliwe. zamiast tego pyta:

kruchy: kiedy?

muszę przyznać, że olewanie wszystkiego wymaga pewnej dozy nieolewania.

mówiąc, że cię nie obchodzi, iż świat się rozpada, w pewnym sensie mówisz, że chcesz, by się nie rozpadł, ale na twoich warunkach.

gdy kończę rozmowę z kruchym, mama wchodzi do pokoju.

mama: co u ciebie?

ja: dobrze.

i to prawda, przynajmniej ten jeden raz.

12 Przetłumaczył Tomasz Chalecki.

13

Przytomnieję na rytmiczny dźwięk budzika, który wydaje mi się głośny niczym alarm przeciwbombowy, a ponagla mnie z zajądłością niemalże raniącą moje uczucia. Przewracam się w łóżku i wyteżam wzrok w ciemnościach. Jest 5.43 nad ranem. Mój budzik nie powinien dzwonić przed 6.37.

I wtedy do mnie dociera, że ten dźwięk to wcale nie budzik. To klakson samochodu, wyrykujący jakąś koszmarną syrenią pieśń na ulicach Evanston, jakieś wyjące ostrzeżenie przed zagładą. Klaksony nie trąbią o tej porze i nie z taką uporczywością. Coś musiało się stać.

Wyskakuję z łóżka, naciągam dżinsy i rzucam się do frontowych drzwi. Z ulgą widzę, że całkiem żywi rodzice też pędzą do wejścia.

– Jezu, co to jest?! – wołam.

Mama wzrusza ramionami, a tato odpowiada:

– Klakson?

Dopadam drzwi pierwszy i wyglądam przez przeszklenie obok nich.

Przed domem parkuje samochód, w którym siedzi Cooper i metodycznie trąbi.

Wybiegam na zewnątrz, a on przestaje dopiero wtedy, gdy mnie dostrzega. Opuszcza okno od strony pasażera.

– Chryste, Kruchy. Obudzisz całą okolicę.

Widzę puszkę red bulla w jego wielkiej drżącej dłoni. Druga ręka spoczywa na klaksonie, w każdej chwili gotowa do akcji.

– Musimy jechać – oznajmia pospiesznie. – Musimy jechać, szybko, szybko, szybko!

– Co się z tobą dzieje?

– Musimy pędzić do szkoły. Wyjaśnię później. Wsiadaj do auta. – W jego głosie brzmi taka gorączkowa powaga, a ja jestem tak zmęczony, że nawet nie protestuję. Gnam do domu, wkładam skarpety oraz buty, szoruję zęby, zawiadamiam rodziców, że jadę wcześniej do szkoły, po czym wracam biegiem do samochodu przyjaciela.

– Pięć rzeczy, Grayson – oznajmia, wrzucając bieg i odjeżdżając pędem, bez wypuszczania red bulla z drżącej ręki.

– Co? Kruchy, co się stało?

– Nic się nie stało. Wszystko jest dobrze. Nie mogłoby być lepiej. Mogłoby być mniej pracowicie. Mniej męcząco. Mniej kofeinowo. Ale nie mogłoby być lepiej.

– Ziom, jesteś naspeedowany?

– Nie, naredbulłowany. – Podaje mi puszkę, a ja wącham zawartość, zastanawiając się, czy została czymś doprawiona. – I opity kawą – dodaje. – Ale słuchaj, Grayson. Pięć rzeczy.

– Nie mogę uwierzyć, że obudziłeś całą dzielnicę o piątej czterdzieści trzy zupełnie bez powodu.

– Właściwie – odpowiada znacznie głośniejszym głosem, niż wydaje się to konieczne o tej barbarzyńskiej porze – obudziłem cię z pięciu powodów i próbuję ci o nich opowiedzieć, ale cały czas mi przerywasz, co pasuje raczej do stylu Kruchego Coopera.

Znam Kruchego od czasów, gdy był bardzo potężnym i bardzo gejowatym piątoklasistą. Widywałem go pijanego i trzeźwego, głodnego i sytego, głośnego i głośniejszego, zakochanego i stęsknionego. Widywałem go w dobrej i złej formie, w zdrowiu i chorobie. I w ciągu tych wszystkich lat nigdy nie zrobił żadnej kpiącej uwagi na własny temat. Nie mogę oprzeć się myśli, że może Kruchy powinien częściej smażyć swój mózg w kofeinie.

– No dobra, co to za pięć rzeczy? – pytam.

– Po pierwsze, skończyłem casting do spektaklu wczoraj około jedenastej wieczorem, siedząc na Skypie z Willem Graysonem. Pomógł mi. Naśladowałem potencjalnych kandydatów, a on pomagał mi zdecydować, który był najmniej straszny.

– Z drugim Willem Graysonem – koryguję go.

– Po drugie, później Will poszedł do łóżka – ciągnie, jakby mnie nie usłyszał – a ja sobie rozmyślałem. Wiesz, minęło już osiem dni, od kiedy go poznałem, a jeszcze nigdy w życiu nie podobał mi się nikt, komu ja też bym się podobał, aż przez osiem dni, chyba że liczyć mój związek z Bethany Keene w trzeciej klasie, czego oczywiście nie można brać pod uwagę, ponieważ ona była dziewczyną.

Po trzecie, rozmyślałem o tym, leżąc i gapiąc się w sufit na te gwiazdki, które tam nakleiliśmy chyba w szóstej klasie. Pamiętasz? Takie fluorescencyjne gwiazdki, komety i inne?

Kiwam głową, ale Kruchy nie patrzy na mnie, mimo że stoimy na światłach.

– No więc – kontynuuje – patrzyłem na te gwiazdki, a one blakły, ponieważ minęło już kilka minut od wyłączenia światła, i nagle doznałem oślepiającego objawienia. O czym jest *Kruchy tancerz*? To znaczy, jaki jest jego temat? Grayson? Czytałeś tę

sztukę.

Zakładam, że przyjaciel jak zwykle zadaje pytanie retoryczne, więc nie odpowiadam, by mógł ciągnąć swoją tyradę, bo z bólem, ale przyznaję, że jest coś cudownego w tyradach Kruchego, zwłaszcza na pustej ulicy, gdy na poły śpię. W samym fakcie, że mówi, jest coś niewytłumaczalnie przyjemnego, choć wolałbym, by nie było. Coś w jego głosie, nie w barwie czy kofeinowej, gorączkowej dykcji, lecz w samym głosie – może to, że jest mi tak znajomy, ale też to, że jest tak pewny siebie.

Lecz Kruchy nic nie mówi, czyli naprawdę chce, bym odpowiedział. Nie wiem, co chciałby usłyszeć, więc w efekcie mówię prawdę.

– *Kruchy tancerz* jest o Kruchym Cooperze.

– No właśnie! – wykrzykuje, uderzając w kierownicę. – A tak naprawdę żaden wielki musical nie opowiada o konkretnej osobie. I w tym problem. Na tym polega cały kłopot z tą sztuką. Nie jest o tolerancji, zrozumieniu, miłości czy o czymś. Jest o mnie. Nie mam nic przeciwko sobie oczywiście. W końcu jestem raczej cudowny. Prawda?

– Jesteś filarem cudowności w społeczeństwie – zapewniam go.

– No właśnie – powtarza. Uśmiecha się, ale trudno określić, do jakiego stopnia żartuje.

Podjeżdżamy pod szkołę, która jest kompletnie opustoszała. Nie ma pod nią ani jednego samochodu. Kruchy staje na swoim miejscu, sięga do tyłu po plecak, wysiada i rusza przez pusty parking. Idę za nim.

– Po czwarte – mówi – uświadomiłem sobie więc, że mimo mojej wielkiej i wspaniałej cudowności ta sztuka nie może być o mnie. Musi być o czymś znacznie bardziej cudownym: o miłości. Polichromiczny, wspaniały, rajski płaszcz snów o miłości w całej gamie odcieni. Więc trzeba ją przepisać. I zmienić tytuł. Siedziałem więc do późna. I pisałem jak szalony, pisałem musical o tytule *Przytul mnie*. Będziemy potrzebowali więcej scenografii. A także! Także! Więcej głosów w chórze. Chór musi być jak mur z pieśni, rozumiesz?

– Jasne, okay. A po piąte?

– Słusznie. – Przekłada szelkę na plecy, tak że trzyma plecak na piersi. Rozpina zamek przedniej kieszeni, przez chwilę w niej grzebie, a potem wyciąga różę wykonaną z zielonej taśmy klejącej. Podaje mi ją. – Gdy się stresuję – wyjaśnia – zajmuję się rękodziełem. Okay. Okay. Pójdę do auli i zacznę ustawiać niektóre układy. Zobaczę, jak nowy materiał wygląda na scenie.

Zatrzymuję się.

– Chcesz, żebym ci jakoś pomógł?

Kręci przecząco głową.

– Bez urazy, Grayson, ale jakie ty masz doświadczenie teatralne?

Oddała się, a ja staram się nie ruszyć z miejsca, lecz w końcu nie wytrzymuję i doganiam go na schodach do szkoły, bo dręczy mnie pewna paląca kwestia.

– To dlaczego, do cholery, obudziłeś mnie o piątej czterdzieści trzy nad ranem?

Odwraca się. Ogrom Kruchego zupełnie mnie przytłacza, gdy stoi wyżej, z wyprostowanymi ramionami, a jego szeroka sylwetka przesłania niemal całą szkołę. Wydaje mi się, że jego ciało jest złożone z wiązek delikatnych fal. Oczy ma nienaturalnie szeroko otwarte jak zombie.

– Musiałem komuś o tym opowiedzieć – wyjaśnia.

Rozmyślam nad tym przez minutę, a potem ruszam za Kruchym do auli. Przez następną godzinę przyglądam się, jak miota się po scenie niczym szaleniec w amoku, mrucząc do siebie pod nosem. Przykleja do podłogi taśmę, zaznaczając wyimaginowaną scenografię, wiruje w piruetach, nucąc piosenki w przyspieszonym tempie, a co jakiś czas wykrzykuje:

– To nie jest o Kruchym! Tylko o miłości!

Potem zaczynają się zbierać uczniowie na pierwszą lekcję z zajęć teatralnych, więc idziemy na matkę. Kruchy czyni swój cud „Wielki człowiek w małej ławce”, a ja przeżywam codzienne zdumienie. Nudzę się na lekcjach. Podczas obiadu siadam z Garym, Nickiem i Kruszną, a on opowiada o swoim oślepiającym duchowym przebudzeniu w sposób, który – choć nie mam nic przeciwko niemu – trochę sugeruje, że nie do końca przyswoił sobie ideę, iż Ziemia nie kręci się wokół osi Kruchego Coopera.

– Gdzie jest Jane? – pytam Gary’ego.

– Chora – odpowiada.

Na co Nick dorzuca:

– Chora w sensie: spędza dzień ze swoim chłopakiem w ogrodzie botanicznym.

Gary posyła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

Kruchy szybko zmienia temat, a ja do końca obiadu próbuję się śmiać w odpowiednich momentach, ale tak naprawdę wcale nie słucham chłopaków.

Wiem, że ona chodzi z Burakiem McPiłkąWodną, i wiem, że gdy się z kimś chodzi, człowiek czasami wykonuje durne czynności takie jak spędzanie dnia w ogrodzie botanicznym, ale mimo całej tej wiedzy, która powinna być moją zbroją, czuję się jak potłuczony. Pewnego dnia, powtarzam sobie, nauczę się naprawdę siedzieć cicho i niczym się nie przejmować. Ale tymczasem... cóż, tymczasem muszę głęboko oddychać, bo mam wrażenie, jakby uszło ze mnie całe powietrze. Choć nigdy nie płaczę, czuję się znacznie gorzej niż pod koniec filmu *Wszystkie psy idą do nieba*.

Dzwonię do Kruchego po szkole, lecz włącza się poczta głosowa, więc wysyłam mu SMS: „Oryginalny Will Grayson prosi, byś go zaszczycił telefonem, gdy tylko będzie to możliwe”. Jest już 21.30, a on nadal się nie odzywa. Siedzę na kanapie,

oglądając z rodzicami durną komedię romantyczną. Stolik jest zastawiony talerzami po chińszczyźnie na wynos, którą przełożyliśmy na porcelanę, żeby bardziej przypominała domowy obiad. Tato zasypia, jak zawsze wtedy, gdy nie pracuje. Mama siedzi bliżej mnie, niż to się wydaje konieczne.

Oglądając film, nie mogę przestać myśleć, że chciałbym być z Jane w tym kretyńskim ogrodzie botanicznym. Tylko byśmy spacerowali, ona miałaby na sobie tę bluzę z kapturem, a ja bym żartował na temat łacińskich nazw roślin. Jane powiedziałaby, że *Ficaria verna* byłaby dobrą nazwą dla nerdcorowej hiphopowej kapeli rapującej wyłącznie po łacinie i tak dalej. Oczyma wyobraźni widzę to wszystko i czuję się tak zrozpaczony, że mam ochotę zwierzyć się mamie, ale to by tylko oznaczało pytania o Jane przez następnych siedem do dziesięciu lat. Rodzice znają tak niewiele szczegółów z mojego prywatnego życia, że gdy tylko natkną się na jakiś kasek, wgryzają się w niego na całe eony. Wolałbym, żeby im lepiej szło ukrywanie, jak bardzo pragną, abym miał więcej przyjaciół i dziewczyn.

Itakto Kruchy w końcu dzwoni.

– Hej – witam go, natychmiast wstając i idąc do swojego pokoju. Zamykam za sobą drzwi, a przez cały ten czas Kruchy się nie odzywa, więc mówię: – Halo?

– No cześć – odpowiada roztargnionym tonem. Słyszę stukanie w klawiaturę.

– Kruchy, piszesz coś?

Odzywa się po chwili.

– Poczekaj, muszę skończyć to zdanie.

– To ty do mnie zadzwoniłeś.

Cisza. Stukanie. I potem:

– Ta, wiem. Ale, eee, muszę zmienić ostatnią piosenkę. Nie może być o mnie. Musi być o miłości.

– Żałuję, że ją pocałowałem. Cała ta historia z chłopakiem przeżera mi mózg.

Milczę przez chwilę, a on w końcu mówi:

– Sorki, właśnie dostałem wiadomość od Willa. Opowiada mi o obiedzie z tym swoim nowym przyjacielem gejem. Wiem, że skoro spotkali się w stołówce, to nie jest randka, ale mimo to... Gideon. Brzmi seksownie. Choć to rewelka, że Will tak się ujawnił. Chciałby zrobić coming out przed całym światem. Przysięgam na Boga, że chętnie by napisał do prezydenta USA coś w rodzaju: „Drogi Panie Prezydencie, jestem gejem. Z poważaniem, Will Grayson”. To cholernie przepiękne, Grayson.

– Słyszałeś w ogóle, co powiedziałem?

– Jane i jej chłopak zeżarli twój mózg – odpowiada bez zainteresowania.

– Kruchy, przysięgam, czasami... – powstrzymuję się przed powiedzeniem czegoś żalosego i zaczynam od nowa. – Chcesz coś porobić jutro po szkole? Zagrać w rzutki czy coś u ciebie?

– Próba, potem poprawki w tekście, potem rozmowa z Willem, potem do łóżka.

Możesz przyjść na próbę, jeśli chcesz.

– Nie – odpowiadam. – Spoko.

Rozłączam się i próbuję choć chwilę poczytać *Hamleta*, ale nie bardzo rozumiem tekst i muszę ciągle zerkać na prawy margines, na którym znajdują się definicje słów, przez co czuję się jak półgłówek.

Nie dość bystry. Nie dość seksowny. Nie dość uprzejmy. Nie dość zabawny. To ja: jestem po prostu nie dość.

Leżę w ubraniu na pościeli, książka spoczywa na mojej piersi, oczy mam zamknięte, a w głowie kołowrót myśli. Myślę o Kruchym. Ta żalosna rzecz, którą chciałem mu powiedzieć przez telefon – a której nie powiedziałem – to było coś takiego: Każde dziecko ma swoją ulubioną rzecz, może kocyk, pluszowego zwierzaka albo cokolwiek. W moim wypadku był to wypchany piesek preriowy, którego dostałem pod choinkę, kiedy miałem trzy lata. Nawet nie wiem, gdzie rodzice znaleźli wypchanego pieska preriowego, ale to nieważne. Siedział na tylnych łapach i nazwałem go Marvin. Tarmosiłem Marvina za pieskopreriowe uszy do wieku mniej więcej dziesięciu lat.

Niestety w którymś momencie, choć osobiście nic do niego nie miałem, zaczął spędzać coraz więcej czasu w szafie z innymi zabawkami, a potem jeszcze więcej, aż w końcu zamieszkał tam na stałe.

Ale jeszcze przez wiele lat czasami wyciągałem Marvina z szafy i poświęcałem mu chwilę – nie dla siebie, lecz dla niego. Wiedziałem, że to wariactwo, ale mimo to tak robiłem.

I chciałem powiedzieć Kruchemu, że czasami czuję się jak ten Marvin.

Wspominam nasze wspólne chwile: Kruchy i ja w sali gimnastycznej w gimnazjum, kiedy to okazało się, że firma produkująca stroje sportowe nie szyje spodenek tak wielkich, by na niego pasowały, więc wyglądał, jakby nosił obcisłe kąpielówki. Kruchy mimo swoich gabarytów brylujący w zbijaku i zawsze pozwalający mi na zajęcie drugiego miejsca, bo krył mnie w swoim cieniu i nie zbijał aż do końca. Kruchy i ja w dziewiątej klasie na Paradzie Równości w Boystown, gdy wyznał: „Grayson, jestem gejem”, a ja na to coś w rodzaju: „O, serio? Czy niebo jest niebieskie? Słońce wstaje na wschodzie? Papież jest katolikiem?”, a on: „Czy Kruchy Cooper nie jest cudowny? Czy ptaki nie płaczą z radości, gdy słyszą jego śpiew?”.

Myślę o tym, jak wiele zależy od najlepszego przyjaciela. Kiedy budzisz się rano, po prostu wyciągasz nogi, stawiasz stopy na podłodze i wstajesz. Nie zerkasz za krawędź łóżka, by się upewnić, czy podłoga jest na swoim miejscu. Podłoga zawsze tam jest. Aż pewnego razu jej nie ma.

Głupotą jest winić drugiego Willa Graysona za coś, co się stało, nim on się pojawił. Ale cóż...

Przywołuję w pamięci jego szeroko otwarte oczy w Frenchy's, gdzie szukał kogoś, kto nie istnieje. W moich wspomnieniach jego oczy robią się coraz większe i większe, aż Will przypomina jakąś postać z mangi. A potem przychodzi mi do głowy tamten chłopak, ten Isaac, który okazał się dziewczyną. Jednak słowa, które padły i skłoniły Willa, by poszedł do Frenchy's na spotkanie – te słowa naprawdę zostały wypowiedziane. Były prawdziwe.

Nagle chwytam telefon z nocnego stolika i dzwonię do Jane. Poczta głosowa. Patrzę na zegarek w komórce. Jest 21.42. Dzwonię do Gary'ego. Odbiera po piątym dzwonku.

– Will?

– Hej, Gary. Znasz może adres Jane?

– No, tak.

– Możesz mi go podać?

Milczy chwilę.

– Będziesz ją prześladował, Will?

– Nie, przysięgam, mam pytanie z fizyki – odpowiadam.

– We wtorek wieczorem o dwudziestej pierwszej czterdzieści dwie masz pytanie z fizyki?

– Zgadza się.

– Wesley tysiąc siedemset dwanaście.

– A gdzie jest jej pokój?

– Stary, mój wskaźnik stalkingu gwałtownie skoczył na czerwone pole. – Nic nie mówię i czekam. W końcu Gary odpowiada: – Jak staniesz twarzą do domu, to po lewej od frontu.

– Super, dzięki.

Po drodze do drzwi zgarniam kluczyki z blatu w kuchni, a tato pyta, dokąd idę. Próbuję się wymigać niezobowiązującym: „Wychodzę”, ale osiągam tylko tyle, że wyłącza telewizor. Staje blisko mnie, jakby mi chciał przypomnieć, że odrobinę góruje nade mną wzrostem, i pyta surowym tonem:

– Dokąd wychodzisz i z kim?

– Kruchy prosił mnie o pomoc przy tej głupiej sztuce.

– Wróć przed jedenastą! – woła mama z kanapy.

– Okay – odpowiadam.

Idę do samochodu. Widzę parę ze swojego oddechu, ale nie czuję chłodu, może jedynie marzną mi dłonie bez rękawiczek. Przez chwilę stoję przy aucie, patrząc w niebo. Na południu rozciąga się pomarańczowa poświata znad miasta, a drzewa wzdłuż drogi stoją bezlistne i ciche na wietrze. Otwieram drzwi samochodu, które skrzypieniem zakłócają ciszę, ruszam i pokonuję półtora kilometra do domu Jane. Znajduję miejsce pół przecznicy dalej i wracam piechotą do starej dwupiętrowej willi

z wielkim gankiem. Te domy nie są tanie. W pokoju po lewej od frontu świeci się światło, ale nie chcę podchodzić bliżej. A jeśli Jane się przebiera? A jeśli leży w łóżku i zobaczy przerażającą męską głowę przyciśniętą do szyby? A jeśli się całuje z Randallem McBurakolem? Wysyłam jej więc SMS: „Nie jestem stalkerem, ale stoję właśnie pod twoim domem”. Jest 21.47. Postanawiam poczekać, aż zegar pokaże 21:50, a potem odjechać. Jedną rękę wsuwam do kieszeni džinsów, a w drugiej trzymam telefon i za każdym razem, gdy ciemnieje ekran, wciskam przycisk zwiększający głośność. Jest 21.49 od co najmniej kilku sekund, kiedy drzwi się otwierają i wygląda przez nie Jane.

Macham do niej bardzo dyskretnie, nie podnosząc ręki nad głowę. Jane przykładła palec do ust, a potem wychodzi z domu na paluszkach i bardzo powoli zamyka za sobą drzwi. Schodzi po schodach i w świetle padającym z ganku widzę, że jest ubrana w tę samą zieloną bluzę z kapturem, w czerwone flanelowe spodnie od pizamy i skarpety. Nie ma butów.

Podchodzi do mnie.

– Cóż za zachwycająca i niepokojąca wizyta – szepcze.

A ja na to:

– Mam pytanie z fizyki.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– No oczywiście. Zastanawiasz się z naukowego punktu widzenia, jak to możliwe, że tak totalnie pochłaniam twoją uwagę teraz, gdy mam chłopaka, podczas gdy przedtem byłeś mną absolutnie niezainteresowany. To przykre, ale nauka jest bezradna wobec meandrów chłopięcej psychiki.

Ale ja naprawdę mam pytanie naukowe – o Kruchego i o mnie, i o nią, i o koty.

– Czy możesz mi wyjaśnić sprawę z kotem Schrödingera?

– Chodź – odpowiada, chwyta mnie za kurtkę i ściąga z chodnika. Idę obok niej, nic nie mówiąc, a ona mruczy: – Boże Boże Boże Boże Boże Boże.

– W czym problem? – pytam.

– W tobie – odpowiada. – Ty, Grayson. Ty jesteś problemem.

– Słucham?

– Przecież wiesz.

– Nie wiem – zaprzeczam.

A ona, nadal idąc i nie patrząc na mnie, wyjaśnia:

– Zapewne istnieją dziewczyny, które nie chcą, by chłopak pojawiał się niezapowiedziany pod ich domem we wtorkową noc z pytaniami o Edwina Schrödingera. Na pewno takie dziewczyny istnieją. Ale nie mieszkają u mnie w domu.

Przechodzimy kawałek dalej, niedaleko miejsca, w którym zaparkowałem, po czym Jane skręca w stronę budynku opatrzonego tabliczką „Na sprzedaż”. Wchodzi

po schodach i siada na stojącej na ganku huśtawce. Poklepuje miejsce obok siebie.

– Nikt tu nie mieszka? – upewniam się.

– Nie, dom jest na sprzedaż od jakiegoś roku.

– Pewnie całowałaś się na tej huśtawce z Burakiem.

– Pewnie tak – odpowiada. – Schrödinger opracował pewien eksperyment myślowy, gdy opublikowano artykuł dowodzący, że elektron może znajdować się w czterech różnych miejscach naraz, to znaczy, że znajduje się w czterech miejscach równocześnie, dopóki ktoś nie określi, w którym z tych punktów się znajduje. Czy to ma sens?

– Nie – zaprzeczam. Ma krótkie białe skarpety i dostrzegam kształt jej kostki, gdy wyciąga nogę, żeby wprawić huśtawkę w ruch.

– Słusznie, to kompletnie nie ma sensu. Robi wodę z mózgu. Dlatego Schrödinger próbuje to wyjaśnić. I mówi tak: wsadźmy kota do zamkniętego pudełka ze źródłem promieniotwórczym, które może lub nie – w zależności od tego, czy nastąpi rozpad radioaktywny – uruchomić detektor promieniowania, który z kolei włączy mechanizm uwalniający truciznę i kot umrze. Kumasza?

– Chyba tak – odpowiadam.

– Zatem zgodnie z teorią, że elektrony znajdują się we wszystkich możliwych pozycjach, dopóki się nie dokona pomiarów, kot jest równocześnie żywy i martwy, dopóki nie otworzymy pudełka i nie sprawdzimy jego zawartości. Schrödinger nie propagował zabijania kotów ani nic w tym stylu. Twierdził tylko, że może się nam wydawać nieprawdopodobne, by kot był równocześnie żywy i martwy.

Ale mnie się to wcale nie wydaje nieprawdopodobne. Wydaje mi się, że wszystko, co trzymamy w zamkniętych pudełkach, jest równocześnie żywe i martwe, dopóki ich nie otworzymy, że niewidoczne równocześnie istnieje i nie istnieje. Może dlatego nie potrafię przestać myśleć o wielkich oczach drugiego Willa Graysona w Frenchy's: bo on właśnie odkrył, że żywy i martwy kot jest jednak martwy. Uświadomiłem sobie, że dlatego nigdy nie narażam się na sytuację, w której naprawdę potrzebuję Kruchego, i że dlatego trzymałem się swoich zasad, zamiast pocałować Jane, kiedy tego chciała: wybrałem zamknięte pudełko.

– Okay – mówię. Nie patrzę na nią. – Chyba pojąłem.

– To właściwie nie wszystko. Sprawa okazuje się trochę bardziej skomplikowana.

– Chyba nie jestem dość inteligentny, by sobie poradzić z czymś bardziej skomplikowanym – oponuję.

– Nie lekceważ swoich możliwości – mówi Jane.

Huśtawka skrzypi, podczas gdy ja próbuję wszystko sobie poukładać. Patrzę na Jane.

– W końcu naukowcy doszli do wniosku, że nieotwieranie pudełka wcale nie oznacza, że kot jest i żywy, i martwy. Nawet jeśli nie obserwujesz kota, niezależnie

od jego stanu, robi to powietrze w pudełku. Tak więc zamknięte pudełko sprawia, że tylko ty pozostajesz w nieświadomości, a nie wszechświat.

– Pojąłem – mówię. – Ale jeśli nie otworzy się pudełka, nie oznacza to, że zabija się kota. – Już nie rozmawiamy o fizyce.

– Nie – zgadza się Jane. – Kot już jest martwy... lub żywy, co równie prawdopodobne.

– Cóż, kot ma chłopaka – zauważam.

– Może fizykowi się to podoba.

– Może – odpowiadam.

– Pozostańmy przyjaciółmi – dodaje Jane.

– Pozostańmy – zgadzam się i podajemy sobie dłonie.

14

mama upiera się, że zanim wyjdę gdzieś z kruchym, on musi wpaść do nas na obiad. jestem pewien, że wcześniej sprawdzi wszystkie strony internetowe o drapieżnikach seksualnych. nie podoba jej się, że poznałem go w sieci. i, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie mogę mieć do niej pretensji. jest nieco zaskoczona, gdy zgadzam się na jej plan, choć mówię:

ja: tylko proszę nie pytaj o jego czterdziestu trzech byłych chłopaków, dobrze?
albo o to, dlaczego nosi przy sobie siekierę.

mama: ...

ja: żartowałem z tą siekierą.

ale żadne słowa nie mogą uspokoić tej kobiety. to szaleństwo. mama wkłada żółte gumowe rękawice i zaczyna pucować dom z zapalonym zazwyczaj zarezerwowanym na wypadek, gdy ktoś obrzyga całe umeblowanie. zapewniam ją, że wcale nie musi tego robić, bo kruchy nie będzie jadł z podłogi. ale ona tylko zbywa mnie machnięciem ręki i każe mi posprzątać pokój.

chcę to zrobić. naprawdę. ale udaje mi się tylko usunąć historię z przeglądarki internetowej i czuję się kompletnie wyczerpany. nie chodzi o to, że nie ścielę łóżka rano. jestem dość porządnym facetem. wszystkie brudne ciuchy lądują na dnie szafy. nie zobaczy ich.

w końcu nadchodzi pora odwiedzin. w szkole gideon spytał mnie, czy denerwuję się wizytą kruchego, a ja mu odpowiedziałem, że wcale. ale niestety skłamałem. głównie obawiam się mamy i tego, jak się zachowa.

czekam na kruchego w kuchni, a moja rodzicielka miota się po domu jak oszalała.

mama: muszę przygotować sałatkę.

ja: dlaczego?

mama: kruchy nie lubi sałatek?

ja: mówiłem ci już, że pewnie zjadłby małe foczki, gdybyśmy mu je podali. ale dlaczego musisz ją przygotować? czy ktoś ci kazał? czy będą za to kary? jeśli tak, TO LEPIEJ JĄ NATYCHMIAST PRZYGOTUJ!

żartuję, ale jej to nie śmieszy. a ja myślę: czy to nie ja powinienem tu szaleć z niepokoju? kruchy będzie moim pierwszym ch-ch-ch- (nie dam rady) chłop-p-p-p- (postaraj się, will) chłopak-k- (jeszcze tylko trochę) chłopakiem, którego mama pozna. ale jeśli dalej będzie panikowała z tą sałatką, to chyba będę musiał moją rodzicielkę zamknąć w pokoju, zanim Kruchy przyjedzie.

mama: masz pewność, że nie jest na nic uczulony?

ja: uspokój. się.

nagle tak jakbym został obdarzony superwrażliwymi psimi zmysłami: słyszę, że na podjeździe parkuje samochód. zanim mama każe mi się uczesać i włożyć buty, wypadam przed dom i widzę, jak kruchy przekręca kluczyk w stacyjce.

ja: uciekaj! uciekaj!

ale radio gra tak głośno, że mnie nie słyszy. uśmiecha się tylko, otwierając drzwi. a ja z osłupieniem wpatruję się w jego furę.

ja: co u...?!

to srebrny mercedes, taki rodzaju samochodu, za którego kierownicą powinien siedzieć chirurg plastyczny – i to nie chirurg, który naprawia zniekształcone liczka głodujących afrykańskich dzieci, tylko taki, który przekonuje kobiety, że ich życie się skończy, jeśli nie będą wyglądały na dwanaście lat.

kruchy: witaj, ziemianinie! przybywam w pokoju. zaprowadź mnie do swojego wozu!

powinienem czuć się dziwnie, mając go przed sobą dopiero drugi raz w czasie trwania naszego związku. powinienem też być podekscytowany, że zaraz mnie pochwycą te wielkie ramiona, ale na razie nie mogę oderwać oczu od auta.

ja: powiedz, że je ukradłeś.

wygląda na lekko zbitego z tropu i unosi torbę z zakupami, którą trzyma w ręce.

kruchy: to?

ja: nie, auto.

kruchy: ach, cóż, ukradłem je.

ja: naprawdę?

kruchy: tak, mamie. w moim prawie nie było benzyny.

jakie to dziwne. przez cały ten czas, gdy rozmawialiśmy, wymienialiśmy sms-y i tak dalej, wyobrażałem sobie, że kruchy mieszka w takim domu jak mój, chodzi do szkoły takiej jak moja i jeździ takim autem, jakie być może kiedyś będę miał – równym mi wiekiem, pewnie odkupionym od staruszki, której zgodnie z prawem nie wolno już prowadzić samochodu. teraz zaczynam rozumieć, że wcale tak nie jest.

ja: mieszkasz w wielkim domu, tak?

kruchy: odpowiednio wielkim, bym się w nim zmieścił!

ja: nie o to chodzi.

nie mam pojęcia, dlaczego to robię. bo totalnie zniszczyłem nastrój, i choć kruchy stoi przede mną, zupełnie nie jest tak, jak powinno być.

kruchy: chodź tu.

z tymi słowy odstawia torbę i otwiera przed mną ramiona, a uśmiech ma tak szeroki, że byłbym zupełnym dupkiem, gdybym nie ruszył prosto w jego objęcia. gdy już się w nich znajduję, kruchy pochyla się i lekko mnie całuje.

kruchy: cześć.

odwzajemniam pocałunek.

ja: cześć.

okay, oto rzeczywistość: on tu przyjechał. jest prawdziwy. obaj jesteśmy prawdziwi. nie powinienem się zadręczać jego samochodem.

wchodzimy do środka, mama zdążyła zdjąć fartuch. mimo że ostrzegałem ją, iż kruchy jest wielkości utah, na krótki moment wpada w konsternację, gdy widzi go w całej okazałości. a on chyba jest do tego przyzwyczajony albo może się nie przejmuje, bo podchodzi do niej i mówi wszystkie właściwe rzeczy, czyli jak się cieszy, że ją poznał, jakie to cudowne, że przygotowała obiad, i jak wspaniale wygląda dom.

mama wskazuje gestem sofę i pyta kruchego, czy ma ochotę się czegoś napić.

mama: mamy colę zwykłą i dietetyczną, lemoniadę, sok pomarańczowy...

kruchy: ooo, uwielbiam lemoniadę.

ja: to nie jest prawdziwa lemoniada. tylko woda mineralna o smaku cytrynowym.

oboje patrzą na mnie, jakbym był jakimś cholernym grinchem.

ja: nie chciałem, żebyś się rozczarował!

nic na to nie mogę poradzić – patrzę na nasze mieszkanie jego oczami – na całe nasze życie jego oczami – i wygląda tak... obskurnie. plamy od wody na suficie, bury dywan i prastary telewizor. cały dom czuć długiem hipotecznym.

mama: usiądź sobie z kruchym, a ja wam przyniosę colę.

wziąłem tabletki rano, przysięgam. ale chyba poszły mi w nogi zamiast do mózgu, bo po prostu nie umiem się cieszyć. siadam na sofie. gdy tylko mama wychodzi z pokoju, kruchy bierze mnie za rękę i gładzi ją palcami.

kruchy: wszystko okay, will. cieszę się, że tu jestem.

wiem, że ma za sobą ciężki weekend. wiem, że nie wszystko poszło po jego myśli i martwi się, że spektakl zrobi klapę. przerabia go codziennie. („kto by pomyślał, że wpasowanie miłości w czternaście piosenek to taka skomplikowana sprawa?”). wiem, że wyczekiwał tego spotkania – i ja też. ale teraz muszę przestać wyczekiwać i zacząć przeżywać to, co się dzieje. trudna rzecz.

przytulałam się do jego masywnego ramienia.

nie mogę uwierzyć, że kręci mnie coś, co mogę nazwać „masywnym”.

ja: to ta gorsza część. nie trać nadziei na lepszą. obiecuję, że niedługo nadejdzie.

kiedy mama wraca, nadal się do niego przytulałam. mama nie cofa się, nie wzdyga, nie okazuje żadnej niechęci. stawia nasze napoje na stoliku, a potem znów biegnie do kuchni. słyszę, że otwiera i zamyka piekarnik, po czym skrobie łopatką po blasze do pieczenia. minutę później wraca z półmiskiem minisajgonek i małych hot dogów. przynosi nawet dwie miseczki – jedną z keczupem, a drugą z musztardą.

kruchy: mniam!

wcinamy z apetytem, a kruchy zaczyna opowiadać mamie o minionym tygodniu, podając tak wiele szczegółów na temat *przytul mnie*, że jest wyraźnie zagubiona. cały ten czas stoi nad nami, aż w końcu proszę ją, by usiadła. przystawia więc sobie krzesło i słucha, a nawet sama wciąga sajgonkę czy dwie.

zaczyna się robić normalniej. kruchy tu jest. mama widzi nas razem. ja siedzę tak, że zawsze go dotykam co najmniej jedną częścią ciała. jest niemalże tak, jakbym wrócił z nim do parku milenijnego, jakbyśmy zapętlili czas i kontynuowali tamtą rozmowę, i jakby tak miała potoczyć się nasza historia. jak zawsze jedyna wątpliwość dotyczy tego, czy uda mi się to wszystko skopać.

nie zostały już żadne przekąski do przekąszania, więc mama sprząta naczynia i oznajmia, że obiad będzie gotowy za kilka minut. gdy tylko wychodzi z pokoju,

kruchy odwraca się do mnie.

kruchy: uwielbiam ją.

tak, myślę, on jest człowiekiem, który z taką właśnie łatwością może uwielbiać innych.

ja: nie jest zła.

kiedy mama wraca, żeby powiedzieć, że obiad jest gotowy, kruchy zrywa się z kanapy.

kruchy: ooch! byłbym zapomniał.

sięga po torbę, którą przyniósł, i podaje ją mamie.

kruchy: drobny upominek.

mama wygląda na naprawdę zaskoczoną. wyciąga z torby pudełko – pięknie opakowane, owiązane wstążką i tak dalej. kruchy wraca na sofę, by nie czuła się niezręcznie, gdy będzie siadała i otwierała prezent. mama bardzo ostrożnie rozwiązuje kokardę, a potem delikatnie unosi wieko. naszym oczom ukazuje się czarna wyściółka z gąbki i coś owiniętego folią bąbelkową. mama rozwija folię z jeszcze większą ostrożnością i wyjmuje przezrzystą szklaną misę.

w pierwszej chwili nie ogarniam. znaczy, widzę, że to szklana misa. ale mamie zapiera dech w piersi. mruga, żeby powstrzymać łzy. ponieważ to nie jest zwykła szklana misa. ona jest idealna. jest tak gładka i doskonała, że wszyscy siedzimy przez chwilę i wpatrujemy się w nią, a mama powoli obraca ją w dłoniach. nawet w naszym ponurym salonie szkło łapie światło.

nikt nie dał jej nic takiego od wieków. a może nawet nigdy. nikt nigdy nie daje jej tak pięknych rzeczy.

kruchy: sam ją wybrałem!

on nie ma pojęcia. nie ma zielonego pojęcia, co właśnie zrobił.

mama: och, kruchy...

brakuje jej słów. ale ja wiem. ze sposobu, w jaki trzyma misę. ze sposobu, w jaki na nią patrzy.

wiem, co podpowiada jej rozsądek – by powiedzieć, że to za dużo, że nie może przyjąć takiego prezentu. nawet jeżeli tak bardzo go pragnie. nawet jeżeli tak obłędnie jej się podoba.

uprzedzam więc ją:

ja: jest piękna. bardzo ci dziękujemy, kruchy.

obejmuję go, w ten sposób też przekazując mu swoje podziękowania. wtedy mama odstawia misę na stolik do kawy, który wypolerowała, aż lśni. wstaje, otwiera ramiona, a kruchy przytula także ją.

nigdy nie pozwoliłem sobie pragnąć takiej chwili.

i oczywiście rozpaczliwie jej pragnąłem.

kruchy pochłania większą część kurczaka w parmezanie, a także bierze na siebie większą część konwersacji. głównie rozmawiamy o głupotach – dlaczego małe hot dogi smakują lepiej niż zwykłe, dlaczego psy są lepsze od kotów, dlaczego *koty* odniosły taki sukces w latach osiemdziesiątych, skoro sondheim pisał o wiele lepsze piosenki niż lloyd webber (ani mama, ani ja nie wnosimy w ten temat wielkiego wkładu). w pewnej chwili kruchy dostrzega na lodówce kartkę z reprodukcją leonarda da vinci i pyta mamę, czy była kiedyś we włoszech. opowiada mu więc o wycieczce z trojgiem przyjaciół na pierwszym roku studiów i jest to wreszcie jakaś interesująca historia. kruchy wyznaje, że lubi neapol nawet bardziej niż rzym, bo mieszkańcy są tam tak bardzo neapolitańscy. nawet napisał do musicalu piosenkę o podróżach, ale w efekcie nie zamierza jej w nim wykorzystać. śpiewa dla nas kilka zwrotek.

*Jeśliś był w Neapolu przy kramie,
Zakupów nie zrobisz już w samie,
A gdy jadłeś coś w Mediolanie,
Nie chcesz już buł na śniadanie.*

*Jeśli byłeś może w Wenecji,
Nie chcesz już innej lukrecji.
I będąc choć raz w Bolonii.
Zakochasz się w rigatoni.*

*Jeśliś więc światowy jest gej,
Posłuchaj maksymy tej,
Bo jeśli choć raz widziałeś Rzym,
Nie nazwiesz już wiochy domem swym.*

po raz pierwszy od kiedy pamiętam, mama wygląda na wniebowziętą. nawet nuci wraz z nim. gdy kruchy kończy, mama klaszcze z autentycznym zachwytem. dochodzę do wniosku, że czas skończyć to spotkanie towarzystwa wzajemnej adoracji, zanim uciekną razem i założą kapelę.

proponuję, że pozmywam naczynia, a mama reaguje, jakby była tym totalnie zaszokowana.

ja: zawsze zmywam.

mama z powagą spogląda na kruchego.

mama: to prawda.

i wybucha śmiechem.

nieszczególnie mi się to wszystko podoba, choć wiem, że spotkanie mogło się potoczyć znacznie gorzej pod wieloma względami.

kruchy: chcę zobaczyć twój pokój!

to nie jest żądanie w stylu: hej, rozepnij mi rozporek! kiedy kruchy mówi, że chce zobaczyć twój pokój, oznacza to, że chce... zobaczyć pokój.

mama: idźcie. ja pozmywam.

kruchy: dziękuję, pani grayson.

mama: anne. mów mi anne.

kruchy: dzięki, anne.

ja: tak, dzięki, anne.

kruchy klepie mnie w ramię. chyba chciał to zrobić lekko, ale czuję się, jakby ktoś wjechał mi w rękę volkswagenem.

prorowadzę go do swojego pokoju i nawet udaje mi się zawołać „ta-dam!”, gdy otwieram drzwi. staje na środku i rozgląda się, cały czas z uśmiechem.

kruchy: złote rybki!

podchodzi do akwarium. wyznaję mu, że jeśli kiedyś złote rybki przejmą władzę nad światem, a potem będą sądzić zbrodniarzy wojennych, pójdę na stryczek, ponieważ wskaźnik śmiertelności wśród moich rybek jest znacznie wyższy, niż gdyby żyły w ścieku obok jakiejś chińskiej restauracji.

kruchy: jak się nazywają?

o, boże.

ja: samson i dalila.

kruchy: naprawdę?

ja: ona jest totalną zdzirą.

pochyla się, żeby obejrzyć karmę dla rybek.

kruchy: karmisz je lekami na receptę?

ja: nie. to moje.

jedyna metoda, bym pamiętał o dawaniu rybkom jedzenia i o braniu prochów, to trzymać je razem. dochodzę do wniosku, że powinienem był dokładniej posprzątać. ponieważ oczywiście kruchy się rumieni i nie zapyta o nic więcej, a ja choć nie chcę się w to zagłębiać, wolałbym, żeby nie myślał, że lecę się na świerzb czy coś w tym rodzaju.

ja: to na depresję.

kruchy: och, ja też czuję się przygnębiony. czasami.

zbliżamy się niebezpiecznie do klimatu rozmów z maurą, podczas których twierdziła, że dokładnie wie, przez co przechodzę, a ja musiałem tłumaczyć, że nie, nie wie, ponieważ jej smutek nigdy nie sięgał tak głęboko jak mój. bez wątpienia kruchy sądzi, iż bywa przygnębiony, lecz wynika to z faktu, że nie ma skali porównawczej. ale cóż mógłbym powiedzieć? że ja nie czuję się przygnębiony, tylko depresja jest sednem mojego istnienia, każdego fragmentu mojego ciała, od mózgu po kości? że jeśli on jest w dołku, to ja na dnie rowu mariańskiego? że z całego serca nienawidzę tych pigułek, bo wiem, że bez nich nie byłbym w stanie żyć?

nie, nie mógłbym powiedzieć żadnej z tych rzeczy. bo gdy przychodzi co do czego, to nikt nie chce o tym słuchać. nieważne, jak cię lubi czy kocha, nie chce o tym słuchać.

kruchy: która jest samsonem, a która dalilą?

ja: szczerze? nie pamiętam.

kruchy przegląda moją biblioteczkę, przesuwając dłoń po keyboardzie, kręci globusem, który dostałem na zakończenie piątej klasy.

kruchy: o! łóżko!

przez sekundę czuję panikę na myśl, że na nie wskoczy, czego by z pewnością nie przeżyło. ale on z niemalże nieśmiałym uśmiechem przysiadł ostrożnie na krawędzi.

kruchy: wygodne!

jak doszło do tego, że randkuję z tym lukrowanym pączkiem? z nie całkiem nieprzyjaznym westchnieniem siadam obok. materac opada stromym jarem w jego stronę.

ale przed kolejnym nieuniknionym krokiem telefon wibruje na biurku. chcę go zignorować, lecz wibruje znów i kruchy mówi, żeby odebrał wiadomość.

otwieram telefon i czytam sms.

kruchy: kto to?

ja: tylko gideon. chce wiedzieć, jak nam idzie.

kruchy: gideon, co?

w jego głosie brzmi wyraźna podejrzliwość. zamykam telefon i wracam na łóżko.

ja: chyba nie jesteś o niego zazdrosny?

kruchy: bo jest ładnym młodym gejem, który codziennie cię widuje? czy to są powody do zazdrości?

całuję go.

ja: nie masz o co być zazdrosny. tylko się kolegujemy.

nagle coś do mnie dociera i wybucham śmiechem.

kruchy: co?

ja: w moim łóżku jest chłopak!

to taka durna, wesoła myśl. mam wrażenie, że będę musiał ze sto razy wyciąć sobie na ramieniu „nienawidzę świata”, żeby za nią zadośćuczynić.

łóżko rzeczywiście nie jest dość duże dla nas dwóch. dwa razy ląduję na podłodze. pozostajemy w ubraniach – ale to właściwie nie ma znaczenia, bo dotykamy się wszędzie. kruchy jest duży i silny, ale ja nadrabiam zaangażowaniem. po chwili tworzymy absolutny, gorący mętlik.

kiedy tracimy siły, po prostu leżymy obok siebie. serce kruchego bije potężnie.

mama włącza telewizor. słyszymy, że detektywi coś tam mówią. kruchy wsuwa rękę pod moją koszulę.

kruchy: gdzie jest twój tato?

jestem zupełnie nieprzygotowany na to pytanie. czuję, jak się spinam.

ja: nie wiem.

kruchy próbuje mnie ukoić dotykem. uspokoić głosem.

kruchy: wszystko dobrze.

ale nie mogę tego przyjąć. siadam, kończąc tę wymarzoną chwilę wytchnienia i zmuszając go, żeby się trochę odsunął, by mnie lepiej widzieć. impuls, który czuję, jest silny i jasny: nie mogę tego robić. nie z powodu ojca – w sumie za bardzo się nim nie przejmuję – ale z powodu tego, że wiem dokładnie, jak to się potoczy.

kłóć się ze sobą.

przestań.

zostań na miejscu.

porozmawiaj.

kruchy czeka. patrzy na mnie. jest serdeczny, bo jeszcze nie zrozumiał, kim i czym jestem. ja nigdy nie odpłacę mu serdecznością. najlepsze, co mogę zrobić, to dać mu powód, żeby zrezygnował.

kruchy: powiedz to. co chcesz mi powiedzieć?

nie pytaj, chcę go ostrzec. ale zaczynam mówić.

ja: posłuchaj, kruchy, staram się zachowywać jak najlepiej, ale musisz zrozumieć: ja zawsze stoję na krawędzi czegoś złego. i czasami ktoś taki jak ty potrafi mnie skłonić, bym spojrzał w inną stronę i nie widział, jak blisko jestem upadku. ale w końcu zawsze odwracam głowę z powrotem. zawsze. zawsze spadam z tej krawędzi. i muszę sobie z tym bagnem radzić codziennie, i to bagno nie skończy się szybko. naprawdę bardzo mi miło, że tu jesteś, ale chcesz coś wiedzieć? naprawdę chcesz, żebym był szczery?

powinien potraktować to jako ostrzeżenie. ale nie. potakuje skinieniem głowy.

ja: to dla mnie trochę takie wakacje. nie sędzę, byś wiedział, jak to jest. i dobrze, bo nie chcesz tego wiedzieć. nie masz pojęcia, jak ja tego nienawidzę. nienawidzę, że rujnuję nasz wieczór, rujnuję wszystko...

kruchy: wcale nie.

ja: tak.

kruchy: kto tak mówi?

ja: ja?

kruchy: a ja nie mam nic do powiedzenia?

ja: nie. po prostu to psuję. ty nie masz nic do powiedzenia.

kruchy lekko dotyka mojego ucha.

kruchy: jesteś bardzo seksowny, gdy robisz się destrukcyjny.

jego palce zsuwają się po mojej szyi i pod kołnierzyk.

kruchy: wiem, że nie mam wpływu na twojego tatę, twoją mamę ani twoją przeszłość. ale wiesz, co mogę zrobić?

jego druga ręka wędruje w górę mojej nogi.

ja: co?

kruchy: coś innego. to mogę ci dać. coś innego.

jestem przyzwyczajony do zadawania ludziom bólu, ale kruchy odmawia udziału w tej grze. kiedy esemesujemy cały dzień, a nawet tu osobiście, zawsze próbuje dotrzeć do sedna. a to oznacza, że zakłada, iż istnieje jakieś sedno. uważam, że to śmieszne, a jednocześnie podziwiam go. chcę tego czegoś innego, co może mi dać, choć wiem, że nie będzie to coś, co mogę naprawdę wziąć i posiąść na własność.

wiem, że to nie takie proste, jak on sądzi. ale tak bardzo się stara. więc ulegam mu. ulegam czemuś innemu.

nawet jeśli moje serce nie całkiem w to wierzy.

15

Następnego dnia Kruchy nie przychodzi na matkę. Zakładam, że przyczał się gdzieś i zapisuje piosenki w swoim komicznie ogromnym notesie. Nie przejmuję się tym za bardzo. Zauważam go między drugą i trzecią lekcją, gdy przechodzę obok jego szafki. Wygląda, jakby nie umył włosów, a oczy ma jakieś ogromne.

– Za dużo red bulla? – pytam, podchodząc.

– Premiera za dziewięć dni – odpowiada w gorączkowym pośpiechu. – Will Grayson jest uroczy, wszystko wporzo. Grayson, muszę lecieć do auli. Do zobaczenia na obiedzie.

– Drugi Will Grayson – poprawiam.

– Co? – pyta Kruchy, zatrzasnąwszy drzwi do szafki.

– Drugi Will Grayson jest uroczy.

– Racja, święta racja – zgadza się.

Nie pojawia się w stołówce podczas obiadu, podobnie jak Gary, Nick, Jane i reszta, a nie chcę jeść samotnie, więc biorę tacę do auli, przypuszczając, że ich tam znajdę. Nick siedzi w pierwszym rzędzie. Kruchy stoi na środku sceny z notatnikiem w jednej dłoni i telefonem w drugiej, gestykulując zamasyście. Rozmawia z Garym. A ponieważ akustyka jest tutaj fantastyczna, słyszę każde słowo, nawet na końcu auli.

– Jeśli chodzi o Phila Wraysona, musisz pamiętać, że on jest totalnie, masakrycznie wystrachany. Wszystkim. Zachowuje się, jakby nic go nie obchodziło, ale jest bliższy załamania niż ktokolwiek w całej tej cholernej sztuce. Chcę słyszeć drżenie w jego głosie, kiedy śpiewa, potrzebę, której, ma nadzieję, nikt nie dostrzega. Bo przez to jest tak irytujący, rozumiesz? Nie to, co mówi, nas drażni, lecz sposób, w jaki to mówi. Więc kiedy Kruchy rozkleja plakaty o Paradzie Równości, a Phil nie przestaje męczyć o durnych problemach z dziewczyną, których sam sobie napisał, musimy słyszeć tę irytującą nutę. Ale nie możesz też przegiąć. To drobiażdżek, stary. Kamyczek w bucie.

Stoję przez chwilę, czekając, aż mnie zauważy. W końcu na mnie patrzy.

– To POSTAĆ, Grayson! – krzyczy. – FIKCYJNA POSTAĆ.

Nadal trzymając tacę, odwracam się i wychodzę. Siadam pod aulą, na wyłożonej płytkami podłodze w korytarzu, opierając się o gablotę z pucharami, i jem odrobinę.

Czekam na niego. Czekam, żeby przyszedł i przeprosił. Albo wyszedł i nawrzeszczał, że jestem ciotą. Czekam, aż te ciemne drewniane drzwi się otworzą, a Kruchy wypadnie z nich i zacznie nawijać.

Wiem, że to dziecinada, ale nic mnie to nie obchodzi. Czasami człowiek potrzebuje, żeby jego najlepszy przyjaciel otworzył drzwi. A on tego nie robi. W końcu, choć czuję się mały i głupi, to ja wstaję i uchylam te drzwi. Kruchy radośnie śpiewa o Oscarze Wildzie. Stoję tak przez moment, nadal w nadziei, że zwróci na mnie uwagę. Orientuję się, że płaczę dopiero wtedy, gdy z moich ust wraz z wydechem wydobywa się stłumiony szloch. Zamykam drzwi. Nawet jeśli Kruchy mnie widzi, to nie przerywa, by jakoś to okazać.

Wlokę się korytarzem z głową pochyloną tak nisko, że słońce łyży kapią mi z nosa. Otwieram główne drzwi szkoły – powietrze jest chłodne, słońce ciepłe – i schodzę po schodach. Idę chodnikiem aż do bocznej furtki, a potem znikam w zaroślach. Mam w gardle coś, co chce mnie zadławić. Przedzieram się przez krzaki, tak jak z Kruchym w pierwszej klasie, gdy uciekliśmy ze szkoły, żeby wziąć udział w Paradzie Równości w Boystown, kiedy to się przede mną ujawnił.

Wędruję aż do boiska Małej Ligi, które znajduje się w połowie drogi między szkołą i moim domem. Przylega do gimnazjum, a kiedy byłem dzieckiem, często tam chodziłem, na przykład po lekcjach czy kiedy indziej, żeby sobie podumać. Czasami brałem ze sobą szkicownik i próbowałem rysować, ale przede wszystkim po prostu lubiłem tam siedzieć. Obchodzę siatkę za pozycją łapacza, siadam na ławce rezerwowych, w ciepłym słońcu opierając się plecami o aluminiową ścianę, i płaczę.

Lubię w ławce rezerwowych to, że jestem po stronie trzeciej bazy, mam przed sobą wewnętrzne pole z utwardzonego piasku oraz cztery rzędy drewnianych niezadaszonych ławek po jednej stronie, a po drugiej pole zewnętrzne. A jeszcze dalej park i ulicę. Widzę ludzi wyprowadzających psy i parę idącą pod wiatr. Lecz dzięki ścianie za plecami i aluminiowemu daszkowi nad głową nikt nie widzi mnie, jeśli ja nie widzę jego.

Wyjątkowość sytuacji to jedna z tych rzeczy, które mogą doprowadzić człowieka do łez.

Graliśmy razem z Kruchym w Małej Lidze – nie w tym parku, lecz w tym bliżej naszych domów. Zaczęliśmy w trzeciej klasie. Chyba tak właśnie się zaprzyjaźniliśmy. Kruchy był oczywiście piekielnie silny, ale nie najlepiej radził sobie z kijem bejsbolowym. Jednak zajmował wysokie miejsce w czołówce Ligi w liczbie trafień przez miotaczy. Było w co trafiać.

Ja grałem na godnej szacunku pierwszej bazie i nie byłem w żadnej czołówce.

Opieram łokcie na kolanach jak wtedy, gdy oglądałem rozgrywki z innych ławek rezerwowych. Kruchy zawsze siedział koło mnie i chociaż wchodził na boisko tylko dlatego, że trener chciał wpuścić do gry wszystkich zawodników, okazywał ogromny entuzjazm. Wołał:

– Hej, rzucaj, rzucaj! Hej, rzucaj, rzucaj! ZAMACH, rzut!

A potem przechodził do okrzyku:

– Chcemy miotacza, a nie partacza!

W szóstej klasie: Kruchy grał na trzeciej bazie, ja na pierwszej. Był początek gry i mieliśmy niewielką przewagę albo odwrotnie – nie pamiętam. Prawdę mówiąc, nigdy nawet nie patrzyłem na wynik, kiedy grałem. Bejsbol był dla mnie jedną z tych dziwacznych i strasznych rzeczy, do których rodzice zmuszają z niepojętych powodów, jak szczepienia przeciw grypie czy chodzenie do kościoła. Miotacz uderzył piłkę, a ona potoczyła się do Kruchego. Wychwycił ją i rzucił na pierwszą bazę swoim atomowym ramieniem, a ja wyciągnąłem się, żeby ją złapać, uważając, by stale dotykać stopą bazy. Piłka uderzyła w rękawicę i wypadła, bo zapomniałem zacisnąć dłoń. Biegacz był bezpieczny, a ten błąd kosztował nas punkt czy coś takiego. Gdy runda dobiegła końca, poszedłem na ławkę rezerwowych. Trener, nazywał się chyba pan Frye, pochylił się nade mną. Patrzyłem na jego wielką głowę z czapczką nasuniętą nisko na oczy, a on mówił:

– SKUP SIĘ NA ŁAPANIU PIŁKI. Masz ZŁAPAĆ PIŁKĘ, kapujesz? Jezu!

Poczułem, że pali mnie twarz, i z tym drżeniem w głosie, o którym Kruchy opowiadał Gary’emu, odrzekłem:

– Przykro mi, trenerze.

– Mnie też, Will – odparł. – Mnie też.

A wtedy Kruchy podszedł i sprzedał panu Frye’owi fangę w nos. Ot tak, po prostu. W ten sposób obaj zakończyliśmy nasze kariery w Małej Lidze.

Nie bolałoby tak, gdyby Kruchy nie miał racji – gdybym nie wiedział w głębi duszy, że moja słabość go drażni. Może on podchodzi do tego tak jak ja – że nie wybierasz sobie przyjaciół – i musi znosić tego denerwującego dupościska, który nie radzi sobie ze sobą, nie umie zacisnąć rękawicy na piłce, nie umie przyjąć bury od trenera, żałuje, że napisał list do redakcji w obronie najlepszego przyjaciela. Oto prawdziwa historia naszej przyjaźni: to nie Kruchy jest dla mnie ciężarem. To ja jestem ciężarem dla niego.

Mogę zrobić przynajmniej tyle, by uwolnić go od tego brzemienia.

Placę jeszcze długo. W charakterze chusteczki używam rękawiczki. Obserwuję cień daszku pełznący coraz dalej po moich wyciągniętych nogach, w miarę jak słońce wspina się wyżej na niebo. W końcu marzną mi uszy, więc wstaję i idę przez park do domu. Po drodze przewijam listę kontaktów w telefonie i wybieram numer Jane. Nie

wiem dlaczego. Czuję potrzebę, by do kogoś zadzwonić. Nadal mam to dziwne pragnienie, żeby ktoś jednak otworzył dwuskrzydłowe drzwi do auli. Zgłasza się poczta głosowa.

– Przepraszam, Tarzanie, ale Jane nie może rozmawiać. Zostaw wiadomość.

– Hej, Jane, tu Will. Chciałem tylko z tobą pogadać. Ja... zupełnie szczerze? Przez jakieś pięć minut przeglądałem listę osób, do których mógłbym zadzwonić, i ty byłaś jedyną, z którą miałem ochotę rozmawiać, ponieważ cię lubię. Po prostu bardzo cię lubię. Uważam, że jesteś świetna. Jesteś... ech, bystrzejsza, zabawniejsza, ładniejsza i... No dobra. To wszystko. Pa.

Kiedy docieram do domu, dzwonię jeszcze do taty. Odbiera przed ostatnim dzwonkiem.

– Czy mógłbyś skontaktować się ze szkołą i powiedzieć, że jestem chory? Musiałem wrócić do domu.

– Wszystko dobrze, kolego?

– Tak, dobrze – odpowiadam, ale mój głos drży, i czuję, że mógłbym znów zacząć szlochać z jakiegoś powodu.

– Dobrze, dobrze. Zadzwonię – zapewnia mnie szybko tato.

Piętnaście minut później padam na sofę w salonie, kładąc nogi na stoliku do kawy. Gapię się w czarny ekran telewizora. W lewej dłoni trzymam pilota, ale nie mam energii nawet na to, by wcisnąć cholerny włącznik.

Słyszę, że otwierają się drzwi do garażu. Tato wchodzi przez kuchnię i siada blisko mnie.

– Pięćset kanałów – odzywa się po chwili – i nie ma co oglądać.

– Wziąłeś wolne?

– Zawsze mogę sobie znaleźć zastępstwo – odpowiada. – Zawsze.

– Nic mi nie jest – mówię.

– Wiem. Chciałem tylko być z tobą w domu, to wszystko.

Mrugam, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy, ale ojciec jest na tyle przyzwoity, że nie naciska. Włączam więc telewizor i znajdujemy program pod tytułem *Najwspanialsze jachty świata*, prezentujący łajby, które mają na pokładzie na przykład pole golfowe czy coś w tym rodzaju. Za każdym razem, gdy pojawia się jakiś wymyślny luksus, tato mówi ironicznym tonem: „Pooowalające!”, choć to w pewnym sensie jest powalające. Jest i nie jest, jak sędzę.

Po chwili ojciec wycisza dźwięk i pyta:

– Znasz doktora Portera?

Kiwam głową. To facet, który pracuje z mamą.

– Nie mają z żoną dzieci, więc są bogaci. – Śmieję się. – Mają za to jacht, który trzymają w porcie Belmont, jeden z tych behemotów z szafkami z wiśniowego drewna importowanego z Indonezji i z obrotowym królewskim łóżem wypchanym

piórami ginącego gatunku orłów, i tak dalej. Kilka lat temu zaprosili nas na kolację na tej łajbie i w czasie trwania jednego posiłku, w ciągu raptem dwóch godzin, jacht przestał być wyrafinowanym luksusem i stał się po prostu łodzią.

– Zakładam, że jest jakiś morał tej historii.

Tato się śmieje.

– Jesteś naszym jachtem, kolego. Wszystkie pieniądze, które wpakowalibyśmy w jacht, cały ten czas, który poświęcilibyśmy na podróżowanie po świecie? Zamiast tego mamy ciebie. Okazuje się, że jacht jest po prostu łodzią. Ale ty... ciebie nie da się kupić na kredyt, a twoja wartość się nie dewaluuje. – Odwraca twarz do ekranu i po chwili kontynuuje: – Jestem bardzo dumny z ciebie, co sprawia, że w pewnym sensie jestem dumny z siebie. Mam nadzieję, że o tym wiesz. – Patrząc na bezgłośną reklamę proszku do prania, kiwam głową, a gardło mam ściśnięte. Po sekundzie tato mruczy pod nosem: – Kredyt, klienci, konsumpcjonizm... Musi być tu jakaś gra słów.

– A gdybym – odzywam się – nie chciał pójść na te studia na Northwestern albo gdybym się na nie nie dostał?

– No cóż, wtedy przestałbym cię kochać – mówi. Przez sekundę zachowuje twarz pokerzysty, a potem wybucha śmiechem i włącza dźwięk w telewizorze.

Trochę później postanawiamy zaskoczyć mamę i zrobić indyka z chilli na kolację. Właśnie siekam cebulę, gdy słyszę dzwonek u drzwi. Wiem, że to Kruchy, i czuję, jak dziwna ulga rozlewa się po moim ciele.

– Otworzę – mówię. Przeciskam się obok taty i gnam do przedpokoju.

Lecz to nie Kruchy, tylko Jane, która patrzy na mnie ze ściągniętymi ustami.

– Jaki jest szyfr do mojej szafki?

– Dwadzieścia pięć, dwa, jedenaście – odpowiadam.

Żartobliwie uderza mnie w pierś.

– Wiedziałam! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie potrafiłem zdecydować, która z kilku prawd jest najprawdziwsza – wyjaśniam.

– Musimy otworzyć pudełko – oznajmia Jane.

– Hmm – mruczę. Wychodzę na zewnątrz, żeby zamknąć za sobą drzwi, ale ona się nie cofa, więc niemalże się dotykamy. – Kot ma chłopaka – zauważam.

– Tak naprawdę nie jestem kotem. Kot to my. Ja jestem fizykiem. Ty jesteś fizykiem. Kot jest nami.

– Hm, dobra – mówię. – Fizyk ma chłopaka.

– Fizyk wcale nie ma chłopaka. Fizyk rzucił swojego chłopaka w ogrodzie botanicznym, ponieważ chłopak głądził wyłącznie o tym, że pojedzie na olimpiadę w dwa tysiące szesnastym, a w głowie fizyka cichy głos o imieniu Will Grayson szeptał: „A na olimpiadzie będziesz reprezentował USA czy Królestwo Buraczane?”.

Tak więc fizyk zerwał z chłopakiem i nalega na otwarciu pudełka, ponieważ nie może przestać myśleć o kocie. Nie będzie się burzył, jeśli kot okaże się martwy. Ale chce to wiedzieć.

Całujemy się. Dotyka lodowatymi dłońmi mojej twarzy, smakuje kawę, a ja nadal czuję w nosie zapach cebuli. Moje usta są zupełnie wyschnięte od niekończącej się zimy. I jest cudownie.

– Twoja profesjonalna opinia jako fizyka? – pytam ją.

Uśmiecha się.

– Wierzę, że kot żyje. A co twierdzi mój szacowny kolega?

– Żyje – odpowiadam. I to jest prawda.

Jednak, co osobliwe, nawet gdy z nią rozmawiam, pewna mała rana wewnątrz mnie pozostaje otwarta. Myślałem, że za drzwiami będzie Kruchy, który zasypie mnie przeprosinami, a ja niechętnie je przyjmę. Ale cóż, takie życie. Dorastamy. Planety takie jak Kruchy znajdują nowe księżyce. Księżyce takie jak ja znajdują nowe planety. Jane odsuwa się na chwilę ode mnie i mówi:

– Coś ładnie pachnie. To znaczy prócz ciebie.

Uśmiecham się.

– Robimy chilli – wyjaśniam. – Masz ochotę... wejść i poznać mojego tatę?

– Nie chcę prze...

– Nie – przerywam jej. – On jest miły. Troszkę dziwny, ale miły. Możesz zostać na kolacji.

– Hm, okay, zadzwonię tylko do domu. – Stoję, trzęsąc się z zimna, a Jane rozmawia z mamą: – Zjem kolację u Willa Graysona... Tak, jest jego tato... Są lekarzami... Tak... Okay, kochy.

Wchodzimy do domu.

– Tato, poznaj moją przyjaciółkę, Jane.

Ojciec wyłania się z kuchni w fartuchu opatrzonym napisem: „Chirurgu, niech nie zdrzy ci ręką” włożonym na koszulę z krawatem.

– Klienci kupujący konsumpcjonizm mają u mnie kredyt zaufania! – wykrzykuje podekscytowany, że wreszcie wpadł na tę grę słów. Śmieje się.

Jane, uosobienie klasy, wyciąga rękę, ze słowami:

– Dzień dobry, panie doktorze, jestem Jane Turner.

– Miło mi panią poznać, panno Turner.

– Czy Jane może zjeść z nami kolację?

– Oczywiście, oczywiście. Jane, wybacz nam na chwilę.

Tato prowadzi mnie do kuchni i pyta cicho:

– Czy to przyczyna twoich problemów?

– O dziwo nie – odpowiadam. – Ale tak jakby jesteśmy razem.

– Tak jakby razem – mamrocze pod nosem. – Tak jakby razem. – A potem całkiem

głośno woła: – Jane?

– Tak?

– Jaką masz średnią ocen?

– Trzy przecinek siedem.

Tato spogląda na mnie, wydymając wargi, i powoli kiwa głową.

– Do przyjęcia – mówi, po czym się uśmiecha.

– Tato, nie potrzebuję twojej aprobaty – wypominam mu łagodnie.

– Wiem – odpowiada. – Ale pomyślałem, że i tak cię ucieszy.

16

cztery dni przed premierą musicalu kruchy dzwoni do mnie i mówi, że potrzebny mu jeden dzień przerwy dla zdrowia psychicznego. nie tylko dlatego, że spektakl jest w rozsypce, ale też dlatego, że drugi will grayson nie chce z nim rozmawiać. to znaczy rozmawia, ale nic nie mówi. po części kruchy jest wkurzony, że d.w.g. „robi takie gówno na krótko przed premierą”, a po części wydaje się naprawdę bardzo, bardzo przejęty, że coś jest naprawdę bardzo, bardzo nie tak.

ja: co mogę zrobić? jestem tym niewłaściwym willem graysonem.

kruchy: po prostu potrzebna mi dawka willa graysona. będę u ciebie w szkole za godzinę. już jadę.

ja: co?!

kruchy: musisz mi tylko powiedzieć, gdzie to jest. wygooglowałem adres, ale nawigacja zawsze coś pokręci. a ostatnie, czego potrzebuję w dniu dla zdrowia psychicznego, to trafić o dziesiątej rano do iowa dzięki google maps.

uważam, że ideę „dnia dla zdrowia psychicznego” mógł wymyślić tylko ktoś, kto nigdy nie miał z tym zdrowiem problemów. przekonanie, że można przewietrzyć psychikę w ciągu dwudziestu czterech godzin jest tak samo sensowne, jak wiara, że chorobę serca da się wyleczyć, zjadając odpowiedni gatunek płatków zbożowych na śniadanie. idea dnia dla zdrowia psychicznego funkcjonuje tylko wśród ludzi, którzy mają ten luksus, że mogą powiedzieć: „chcę się dzisiaj od wszystkiego oderwać”, a potem wziąć wolne, podczas gdy reszta z nas toczy swoje zwykłe batalie, co nikogo zupełnie nie obchodzi, chyba że ktoś wreszcie przyniesie broń do szkoły albo popsuje

poranne ogłoszenia wiadomością o swoim samobójstwie.

nie mówię tego kruchemu. udaję, że się cieszę z jego przyjazdu. nie chcę, by wiedział, jak mnie przeraża, że może zobaczyć resztę mojego życia. wydaje mi się, że głowę zaprzęta mu tylko jego will grayson. nie jestem pewien, czy ja mogę mu w jakikolwiek sposób pomóc.

to stało się takie intensywne – o wiele bardziej niż z isaakiem. i nie tylko dlatego, że kruchy istnieje naprawdę. nie wiem, co peszy mnie bardziej: to, że ja mam dla niego znaczenie, czy że on jest ważny dla mnie.

natychmiast zawiadamiam gideona o wizycie kruchego, przede wszystkim dlatego, że jest jedyną osobą w szkole, której o nim opowiadałem.

gideon: rety, jakie to słodkie, że chce się z tobą zobaczyć.

ja: nawet o tym tak nie pomyślałem.

gideon: większość facetów gotowa jest jechać godzinę, mając w perspektywie seks, ale tylko niewielu, żeby się z kimś po prostu spotkać.

ja: skąd to wiesz?

trochę to dziwne, że gideon stał się dla mnie autorytetem w tej dziedzinie, jako że podobno najdalej w życiu posunął się na letnim obozie dla skautów przed dziewiątą klasą. ale przypuszczam, że odwiedził sporo blogów, chatroomów i tak dalej. och, i ogląda bez przerwy hbo na żądanie. ciągle mu powtarzam, że prawa *seksu w wielkim mieście* niekoniecznie znajdują zastosowanie tam, gdzie nie ma seksu i miasta, ale patrzy na mnie tak, jakbym rzucał strzałkami do nadmuchanych helem balonów w kształcie serc, które wypełniają jego umysł, więc odpuszczam.

zabawne, że większość ludzi w szkole – to znaczy tych, których to interesuje, a nie jest to zbyt liczna grupa – uważa mnie i gideona za parę. no bo wiadomo, widzą mnie, geja, spacerującego z nim, gejem, po korytarzu, i natychmiast czynią odpowiednie założenia.

przyznam jednak, że niezupełnie mi to przeszkadza. ponieważ gideon jest naprawdę atrakcyjny i sympatyczny, a ci, którzy go nie biją, wydają się go bardzo lubić. zamierzam więc mieć hipotetycznego chłopaka w tej szkole, mogłoby być gorzej.

choć dziwna wydaje mi się myśl, że gideon i kruchy w końcu się poznają. że kruchy będzie ze mną szedł po korytarzu. to jakby zaprosić godzillę na studniówkę.

nie umiem sobie tego wyobrazić... ale wtedy dostaję sms, że będzie tu za dwie

minuty, i muszę stawić czoło faktom.

po prostu wychodzę w środku zajęć fizyki w laboratorium z panem Jonesem – on i tak właściwie nigdy mnie nie zauważa, więc jeśli moja koleżanka z ławki, lizzie, będzie mnie kryła, nic się nie stanie. mówię jej prawdę – że mój chłopak wpadnie do szkoły, aby się ze mną zobaczyć – a ona zostaje moją współniczką, ponieważ nawet jeśli normalnie nie zrobiłaby tego dla mnie, zdecydowanie robi to dla MIŁOŚCI. (cóż, MIŁOŚĆ i prawa gejów – potrójne hip hip hurra dla heteroseksualnych dziewcząt, które dają z siebie wszystko, by wspierać gejów).

jedyną osobą, która mnie martwi, jest maura. prychnięciem wypuszcza z siebie czarną chmurę, kiedy tłumaczę sytuację lizzie. próbuje zrujnować moją terapię milczeniem, podsłuchując mnie przy każdej sposobności. nie wiem, czy prychnięcie wynika z tego, że uważa, iż zmyślam, czy z tego, że opuszczam zajęcia w laboratorium. a może jest po prostu zazdrosna o lizzie, co jest zabawne, bo lizzie ma tak straszny trądzik, że wygląda, jakby ją pokąsały pszczoły. nieważne. maura może sobie prychać, aż wyparska całe szambo z mózgu, które wypłynie, tworząc kałużę u jej stóp. nie zamierzam reagować.

natychmiast zauważam kruchego przed głównym wejściem, przestępującego z nogi na nogę. nie zamierzam się z nim przytulać na terenie szkoły, więc witam się po męsku (tylko dwa punkty styczności, tylko dwa!) i uprzedzam go, że gdyby ktoś pytał, to ma powiedzieć, że jesienią przeprowadza się tutaj i sprawdza przedtem szkołę.

jest trochę inny niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem – chyba zmęczony. poza tym jednak zdaje się, że zdrowie psychiczne mu dopisuje.

kruchy: więc to tutaj działa magia?

ja: tylko jeśli uznasz za formę magii ślepe zniewolenie wobec standardowych testów i aplikacji na studia.

kruchy: zobaczymy.

ja: jak sztuka?

kruchy: to, czego chórowi brak w głosie, nadrabia entuzjazmem.

ja: nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.

kruchy: ja też nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczysz.

dzwonek na obiad rozlega się, gdy jesteśmy w pół drogi do stołówki. nagle otacza nas tłum i wszyscy patrzą na kruchego tak, jakby patrzyli na kogoś, kto postanowił przejechać z gabinetu do gabinetu na grzbiecie konia. kilka dni temu żartowałem z gideonem, że szkoła pomalowała wszystkie nasze szafki na szaro, żeby dzieciaki takie jak ja mogły się wtopić w tło i niezauważenie przemykać po korytarzach. ale przy kruchym nie ma takiej opcji. wszystkie głowy się obracają.

ja: zawsze przyciągasz taką uwagę?

kruchy: nie za bardzo. chyba tutaj moje niezwykle rozmiary bardziej rzucają się w oczy. masz coś przeciwko temu, żebym wziął cię za rękę?

prawda jest taka, że mam. ale skoro jest moim chłopakiem, powinienem odpowiedzieć, że absolutnie nie. pewnie zaniósłby mnie w ramionach do klasy, gdybym miło poprosił.

ujmuję jego dłoń, która jest wielka i śliska. ale chyba nie umiem ukryć prawdziwych uczuć, bo spogląda na mnie i cofa rękę.

kruchy: nieważne.

ja: nie chodzi o ciebie. ja po prostu nie lubię trzymania się za ręce w szkole. nawet gdybyś był dziewczyną. nawet cheerleaderką z wielkimi cyckami.

kruchy: byłem cheerleaderem z wielkimi cyckami.

zatrzymuję się i patrzę na niego.

ja: żartujesz.

kruchy: ale tylko przez kilka dni. całkowicie zawałęm piramidę.

ruszamy dalej.

kruchy: przypuszczam, że nie mogę włożyć ręki do tylnej kieszeni twoich

spodni?

ja: <kaszel>

kruchy: żartowałem.

ja: mogę ci przynajmniej postawić obiad? może będzie nawet zapiekanka!

muszę sobie cały czas powtarzać, że tego chciałem – każdy powinien tego chcieć. oto chłopak, który lubi być wobec mnie czuły. chłopak, który gotów jest wsiąść do samochodu i przejechać szmat drogi, by się ze mną spotkać. który nie boi się tego, co wszyscy pomyślą, kiedy zobaczą nas razem. który uważa, że mogę wpłynąć na poprawę jego zdrowia psychicznego.

jedna z kucharek śmieje się wesoło, gdy kruchy rozpływa się nad empanadami serwowanymi z okazji tygodnia latynoskiego (a może miesiąca latynoskiego). mówi mu, że jest kochany, podając pasztecik, co jest zabawne, jako że przez ostatnie trzy lata próbowałem ją oczarować chociażby na tyle, żeby przestała mi dawać najmniejszy kawałek pizzy z blachy.

podchodzimy do stołu, przy którym już siedzą derek i simon. brakuje tylko gideona. ponieważ nie uprzedziłem kolegów o naszym gościu specjalnym, kamienieją ze zdumienia.

ja: derek i simon, to jest kruchy. kruchy, to derek i simon.

kruchy: miło mi was poznać!

simon: ykhym...

derek: nam ciebie też. kim jesteś?

kruchy: chłopakiem willa. z evanston.

no dobra, teraz patrzę na niego, jakby był magiczną bestią z „world of warcraft”. derek jest rozbawiony w przyjazny sposób. simon spogląda na kruchego, potem na mnie, znów na kruchego, wyraźnie analizując, jak ktoś tak ogromny i ktoś tak wąły mogą uprawiać ze sobą seks.

czuję czyjąś dłoń na ramieniu.

gideon: tu jesteście!

wyduje się, że gideon jest jedyną osobą w szkole, u której wygląd kruchego nie wywołał szoku. nie tracąc rezonu ani na chwilę, wyciąga drugą rękę.

gideon: ty pewnie jesteś kruchy.

kruchy spogląda na dłoń gideona na moim ramieniu i dopiero wtedy ściska tę drugą, którą kolega mu podaje. w jego głosie, gdy się odzywa, nie słychać entuzjazmu.

kruchy: ...a ty pewnie jesteś gideon.

musi mieć nieco bardziej zdecydowany uścisk niż zwykle, ponieważ gideon się krzywi, zanim kruchy wypuszcza jego dłoń. potem przystawia sobie dodatkowe krzesło do stołu, proponując kruchemu miejsce, które sam zazwyczaj zajmuje.

kruchy: proszę, jak sympatycznie.

wcale nie. zapach jego wołowej empanady przyprawia mnie o wrażenie, że jestem zamknięty w małym, ciepłym pomieszczeniu pełnym psiej karmy. obawiam się, że simon jest bliski powiedzenia czegoś niewłaściwego, a derek wygląda, jakby zamierzał opisać wszystko na blogu. gideon zasypuje kruchego przyjacielskimi pytaniami, na które ten odpowiada monosylabami.

gideon: jak ci się tutaj jechało?

kruchy: okay.

gideon: twoja szkoła jest podobna do naszej?

kruchy: nie.

gideon: słyszałem, że wystawiasz musical.

kruchy: tak.

w końcu gideon idzie kupić sobie colę, dając mi sposobność, bym nachylił się do kruchego i zapytał:

ja: dlaczego traktujesz go jak porzucony kochanek?

kruchy: wcale nie!

ja: nawet go nie znasz.

kruchy: znam ten typ.

ja: jaki typ?

kruchy: takich drobnych przystojniaczków. są toksyczni.

chyba czuje, że posunął się za daleko, bo natychmiast dodaje:

kruchy: ale wydaje się bardzo miły.

rozgląda się po stołówce.

kruchy: która to maura?

ja: drugi stolik po lewej od drzwi. siedzi sama, biedne jagniątko wydane na rzeź.
skrobie coś w kajeciku.

jakby czując nasze spojrzenia, maura podnosi wzrok, a potem znów opuszcza głowę i gryzmoli coś z jeszcze większym przejęciem.

derek: jak tam empanada? jeszcze nigdy podczas całej mojej kariery w tej szkole nie widziałem, żeby ktoś ją dojadł do końca.

kruchy: niezła, jeśli się lubi słony smak. jak pop-tart zrobiony z suszonej wołowiny.

simon: od jak dawna wy dwaj jesteście, yhm, razem?

kruchy: czy ja wiem? jakieś cztery tygodnie, dwa dni i osiemnaście godzin.

simon: więc to ty jesteś tym facetem.

kruchy: jakim facetem?

simon: tym, przez którego prawie zawaliliśmy konkurs matematyczny.

kruchy: jeżeli to prawda, to bardzo mi przykro.

simon: wiesz, co ludzie mówią.

derek: co?

simon: geje zawsze przedłożą kutasa nad matkę.

ja: w całej historii świata nikt jeszcze nigdy nie powiedział czegoś takiego.

derek: po prostu jesteś wkurzony, że ta dziewczyna z naperville...

simon: przestań!

derek: ...nie chciała ci usiąść na kolanach, gdy jej to zaproponowałeś.

simon: był tłok w autobusie!

gideon przynosi ciastka dla wszystkich.

gideon: musimy uczcić to wyjątkowe spotkanie. coś mnie ominęło?

ja: kutasy ważniejsze od matmy.

gideon: to nie ma sensu.

ja: no właśnie.

kruchy zaczyna się niecierpliwić, ale nawet nie tyka swojego ciastka. choć to ciastko z kremem. i z wiórkami czekoladowymi. już powinno znajdować się w jego przewodzie pokarmowym.

skoro kruchy stracił apetyt, to nie ma szans na normalne przetrwanie reszty dnia w szkole. ja nie mam ochoty iść na lekcje – dlaczego on miałby ją mieć? skoro chce być ze mną, powinienem być z nim. a w szkole nie mogę sobie na to pozwolić.

ja: idziemy.

kruchy: ale dopiero co tu przyjechałem.

ja: poznałeś jedynych ludzi, z którymi się kumpluję. skosztowałeś naszej wybitnej kuchni. jeśli chcesz, po drodze do wyjścia pokażę ci gablotę z pucharami, żebyś mógł pławić się w blasku osiągnięć absolwentów dość starych, by cierpieć na problemy ze wzrodem, sklerozę, a nawet *rigor mortis*. nigdy, przenigdy nie będę mógł okazać ci tu uczuć, ale jeśli znajdziemy się na osobności, to zupełnie inna kwestia.

kruchy: kutasy ważniejsze od matmy.

ja: tak. choć miałem już dzisiaj matematykę. ucieknę z niej wstecznie, żeby być z tobą.

derek: no idźcie! idźcie!

kruchy wydaje się zadowolony z obrotu sytuacji.

kruchy: będę cię miał wyłącznie dla siebie?

potwierdzenie tego na głos w obecności innych mnie przerasta, więc tylko kiwam głową.

zbieramy tace i żegnamy się. gideon wygląda na nieco skwaszonego, ale jego głos brzmi szczerze, kiedy wyraża nadzieję, iż uda nam się wszystkim spotkać później. kruchy mówi, że on też, ale nie wychodzi mu to przekonująco.

mamy już wyjść ze stołówki, lecz kruchy prosi, żebym chwilę poczekał.

kruchy: muszę coś załatwić.

ja: ubikacja jest w korytarzu po lewej.

ale nie to jest jego celem.
kieruje się prosto do stolika maury.

ja: co ty robisz? nie rozmawiamy z nią.

kruchy: może ty nie, ale ja chciałbym jej powiedzieć parę rzeczy.

maura patrzy na nas.

ja: nie.

kruchy: odsuń się, grayson. wiem, co robię.

maura robi wielkie przedstawienie, ostentacyjnie odkładając pióro i zamykając zeszyt.

ja: kruchy, nie.

lecz on robi krok naprzód i staje nad nią. góra przyszła do maury i ma jej coś do powiedzenia.

przez chwilę widać, że kruchy jest zdenerwowany. bierze głęboki wdech. maura patrzy na niego z wystudiowaną obojętnością.

kruchy: chciałem ci podziękować. nazywam się kruchy cooper i chodzę z tym tu willem graysonem od czterech tygodni, dwóch dni i osiemnastu godzin. gdybyś nie była taką podłą, egoistyczną, zakłamaną, mściwą suką, nigdy byśmy się nie poznali. co dowodzi, że jeśli próbujesz komuś zniszczyć życie, jemu to wychodzi na dobre. tylko ty przestajesz się dla niego liczyć.

ja: wystarczy, kruchy.

kruchy: powinna wiedzieć, co traci. powinna wiedzieć, jacy szczęśliwi...

ja: DOŚĆ!

słyszysz mnie wiele osób. z pewnością kruchy, bo milknie. i z pewnością maura, bo przestaje się w niego tępo wpatrywać, za to wpatruje się tępo we mnie. jestem wściekły na nich oboje. biorę kruchego za rękę, ale tym razem tylko po to, by pociągnąć go za sobą. maura uśmiecha się na ten widok pogardliwie, otwiera notes i znów zaczyna gryzmolić. ruszam w stronę drzwi, lecz nagle puszczam rękę kruchego, wracam do stolika maury, chwytam notes i wyrywam kartkę, na której pisze. nawet jej nie czytam. drę ją na strzępy i gniotę, a następnie ciskam notatnik na stół, przewracając jej dietetyczną colę. nic nie mówię, tylko wychodzę.

jestem tak wściekły, że nie mogę wydusić ani słowa. kruchy idzie za mną, pytając:

kruchy: no co? co złego zrobiłem?

czekam, aż wyjdziemy z budynku. aż znajdziemy się na parkingu. aż zaprowadzi mnie do swojego auta. aż wsiądziemy. aż poczuję, że mogę wreszcie otworzyć usta i nie wrzeszczeć. wtedy mówię:

ja: naprawdę nie powinienś być tego robić.

kruchy: dlaczego?

ja: DLACZEGO? ponieważ z nią nie rozmawiam. ponieważ udało mi się jej unikać przez miesiąc, a teraz ty zawlokłeś mnie do niej i dałeś jej poczucie, że coś znaczy w moim życiu.

kruchy: należała jej się nauczka.

ja: jaka nauczka? że jeśli próbuje komuś zniszczyć życie, jemu to wychodzi na dobre? świetna nauczka, kruchy. teraz może niszczyć życie innym ludziom, bo przynajmniej będzie miała pretekst, że oddaje im przysługę. może nawet założyć serwis randkowy. z nami jej się udało.

kruchy: przestań.

ja: co mam przestać?

kruchy: mówić do mnie, jakbym był głupi. nie jestem głupi.

ja: wiem, że nie jesteś głupi. ale zrobiłeś totalnie głupią rzecz.

nawet nie uruchomił jeszcze silnika. nadal siedzimy na parkingu.

kruchy: nie tak miał wyglądać ten dzień.

ja: wiesz co? człowiek właściwie nigdy nie ma wpływu na to, jak się potoczy jego dzień.

kruchy: przestań. proszę. chcę, żeby było miło.

przekręca kluczyk w stacyjce. teraz moja kolej, by głęboko odetchnąć. kto, do diabła, chciałby powiedzieć dziecku, że święty mikołaj nie istnieje? przecież to prawda, nie? a jednak ten, który to mówi, wychodzi na łajdaka.

kruchy: wybierzmy się gdzieś, gdzie lubisz bywać. dokąd pojedziemy? zabierz mnie w jakieś miejsce ważne dla ciebie.

ja: na przykład?

kruchy: no... nie wiem. ja, gdy chcę sobie poprawić nastrój, idę do super targetu. nie wiem dlaczego, ale oglądanie tych wszystkich przedmiotów mnie uszczęśliwia. pewnie chodzi o design. nawet nie muszę niczego kupować. samo patrzeć na ludzi, patrzeć na rzeczy, które mógłbym kupić, wszystkie te kolory, alejka po alejce – czasami tego po prostu potrzebuję. z jane natomiast jeździmy do sklepu z muzyką niezależną, ona ogląda stare winyle, a ja grzebię w koszu z płytami boysbandów po dwa dolce, zastanawiając się, który z chłopaków na okładce jest najładniejszy. a drugi will grayson chodzi do takiego parku u nas, w którym grają wszystkie drużyny małej ligi. uwielbia ławkę rezerwowych, ponieważ kiedy nikt nie korzysta z boiska, jest tam bardzo spokojnie. gdy nie ma meczu, można tam sobie siedzieć i istnieje tylko to, co się wydarzyło w przeszłości. myślę, że każdy ma takie miejsce. ty też musisz je mieć.

przez sekundę intensywnie się nad tym zastanawiam, ale gdybym miał takie miejsce, to chyba przyszłoby mi do głowy od razu. niestety żadna lokalizacja nie ma dla mnie szczególnego znaczenia. nawet nie wpadłbym na to, że powinienem mieć

jakieś ważne miejsce.
kręcę głową.

ja: nic.

kruchy: daj spokój. musisz mieć taki azyl.

ja: nie mam, okay? tylko mój dom. mój pokój. to wszystko.

kruchy: dobra, gdzie jest najbliższa huśtawka?

ja: żartujesz sobie ze mnie?

kruchy: nie. musi gdzieś tu być.

ja: jest przy podstawówce. ale lekcje się jeszcze nie skończyły. jeśli nas tam przyłapią, pomyślą, że jesteśmy kidnaperami. mnie to nie robi, ale ty będziesz sądzony jak dorosły.

kruchy: dobra, a poza podstawówką?

ja: chyba moi sąsiedzi mają huśtawkę.

kruchy: pracują?

ja: no raczej.

kruchy: a ich dzieciaki są jeszcze w szkole. idealnie! prowadź.
i tak dochodzi do tego, że parkujemy pod moim domem i włamujemy się na podwórko sąsiadów. huśtawka wygląda dość smętnie, jak to huśtawki, ale przynajmniej jest przeznaczona dla starszych dzieci, a nie dla małych szkrabów.

ja: chyba nie chcesz na tym usiąść?

ale kruchy to właśnie robi. daję słowo, że metalowa rama lekko się wygina. a on wskazuje gestem drugą huśtawkę.

kruchy: proszę.

 pewnie ostatni raz siedziałem na huśtawce jakieś dziesięć lat temu. robię to tylko po to, by kruchy dał mi spokój. żaden z nas się nie huśta – rama by chyba tego nie wytrzymała. siedzimy tylko, dyndając nogami nad ziemią. kruchy okręca się, by zwrócić się do mnie twarzą. ja też to robię, zapierając się stopą o ziemię, żeby łańcuch nie obrócił mnie z powrotem.

kruchy: no i co, nie jest lepiej?

 nic nie mogę poradzić na to, że mówię:

ja: lepiej niż co?

kruchy śmieje się i kręci głową.

ja: no co? dlaczego kręcisz głową?

kruchy: nic, nic.

ja: powiedz.

kruchy: po prostu, to zabawne.

ja: CO jest zabawne?

kruchy: ty. i ja.

ja: cieszę się, że cię to bawi.

kruchy: szkoda, że ciebie nie bawi bardziej.

 już nawet nie wiem, o czym rozmawiamy.

kruchy: wiesz, jaka jest wielka metafora miłości?

ja: mam przeczucie, że mi to wyjawisz.

odwraca się i próbuje się rozhuścić. konstrukcja trzeszczy tak głośno, że jednak rezygnuje i wraca do poprzedniej pozycji.

kruchy: śpiąca królewna.

ja: śpiąca królewna?

kruchy: tak, ponieważ musisz się przedrzeć przez cały ten busz kolczastych krzewów, żeby do niej dotrzeć, ale nawet gdy ci się to uda, to jeszcze musisz ją obudzić.

ja: więc jestem gąszczem?

kruchy: i królewną, która jeszcze nie całkiem się obudziła.

nie wytykam mu, że trudno go wziąć za bohatera, którego małe dziewczynki określają mianem „księcia z bajki”.

ja: można było się domyślić, że będziesz tak to widział.

kruchy: dlaczego?

ja: bo twoje życie to musical. dosłownie.

kruchy: słyszysz, żebym teraz śpiewał?

niemalże. chciałbym żyć w jego musicalowym, komiksowym świecie, gdzie wiemy takie jak maura giną od jednego heroicznego słowa, wszystkie zwierzątka w lesie wiwatują, gdy dwaj geje idą za rękę przez łąkę, a gideon jest atrakcyjnym, acz głupim zalotnikiem, którego królewna nie chce poślubić, bo jej serce należy do bestii. jestem pewien, że ten świat jest uroczy. bogaty, zepsuty, kolorowy świat. może pewnego dnia go odwiedzę, ale wątpię. podobne światy nie wydają się takim popaprańcom jak ja.

ja: zdumiewa mnie, że ktoś taki jak ty mógł przejechać taki szmat drogi, by spędzić trochę czasu z kimś takim jak ja.

kruchy: nie zaczynaj znowu!

ja: słucham?

kruchy: wałkujemy to bez końca. ale jeśli skupiasz się tylko na tym, że masz tak źle, nigdy sobie nie uświadomisz, jak dobrze możesz mieć.

ja: łatwo ci mówić!

kruchy: co masz na myśli?

ja: dosłownie to. objaśnię ci. „łatwo” – bez żadnych trudności. „ci” – przeciwieństwo mnie. „mówić” – wyrażać słowami, czasami aż do znudzenia. masz tak dobrze, że nie rozumiesz, iż ktoś może mieć źle nie z własnego wyboru.

kruchy: wiem o tym. nie mówiłem...

ja: tak?

kruchy: naprawdę rozumiem.

ja: NIE rozumiesz. ponieważ masz tak łatwo.

teraz go wkurzyłem. schodzi z huśtawki i staje przede mną. na jego szyi widać żyłkę, która wyraźnie pulsuje. kiedy wygląda na złego, jednocześnie wydaje się smutny.

kruchy: PRZESTAŃ MI POWTARZAĆ, ŻE MAM ŁATWO! masz w ogóle pojęcie, co mówisz? ja też jestem człowiekiem i ja też mam problemy. i choć nie są to twoje problemy, to nie są przez to mniej prawdziwe.

ja: na przykład jakie?

kruchy: jeśli nie zauważyłeś, nie można mnie nazwać konwencjonalnie urodziwym. właściwie można powiedzieć, że jest wręcz przeciwnie. wiesz „powiedzieć”, czyli wyrażać słowami, czasami aż do znudzenia. myślisz, że choć przez minutę nie jestem świadom moich gabarytów? myślisz, że choć przez minutę nie zastanawiam się nad tym, jak widzą mnie inni? mimo że nie mam na to absolutnie żadnego wpływu. nie zrozum mnie źle – kocham swoje ciało. ale nie jestem takim idiotą, by sądzić, że wszyscy inni też je kochają. naprawdę przeszkadza mi, a właściwie męczy mnie, że to jedyne, co zauważają, od kiedy jestem niezbyt małym dzieckiem. „hej, kruchy, chcesz zagrać w futbol? hej, kruchy, ile burgerów dzisiaj zjadłeś? hej, kruchy, widzisz w ogóle swojego fiuta, jak sikasz? hej, kruchy, będziesz w drużynie koszykówki, czy ci się to podoba, czy nie. tylko nie przyglądaj się nam w szatni!” – czy to brzmi, jakbym miał łatwo, will?

próbuję coś powiedzieć, ale on unosi rękę.

kruchy: i wiesz co? jestem absolutnie pogodzony z moją grubokościstą budową. a gejem byłem na długo, zanim się w ogóle dowiedziałem, co to jest seks. taki jestem, i git. nie chcę być szczupły, konwencjonalnie piękny, heteroseksualny czy genialny. nie, tak naprawdę chcę – i nigdy mi się to nie udaje – by ktoś mnie docenił. wiesz, jak to jest starać się z całej siły wszystkich zadowolić, a nikt nigdy tego nie dostrzega? mogę sobie urobić dupę po łokcie, żeby drugi will grayson zaczął chodzić z jane – ale nikt mi nie podziękuje, tylko ma pretensje. piszę cały ten musical, jego tematem zasadniczo jest miłość, a główny bohater – poza mną oczywiście – to phil grayson, który musi pewne sprawy ogarnąć, ale w gruncie rzeczy jest świetnym facetem. a czy will to docenia? nie. tylko się wścieka. robię wszystko, co mogę, żeby być dla ciebie dobrym chłopakiem – ale nie spotyka mnie żadna wdzięczność, tylko wyrzuty. ten musical to dar, will. mój dar dla świata. on nie jest o mnie. jest o tym, czym mogę się podzielić. a to różnica – ja ją dostrzegam, lecz obawiam się, że jestem w tym cholernie osamotniony. myślisz, że mam łatwo, will? naprawdę chciałbyś spróbować być piętnaście razy większy? co rano gdy się budzę, muszę sobie wmawiać, że przed końcem dnia na pewno uda mi się zrobić coś dobrego. tylko o to proszę – bym mógł zrobić coś dobrego. nie dla siebie, ty mękoląca, pokręcona zrzędo, którą, tak się składa, naprawdę bardzo, bardzo lubię. ale dla przyjaciół. dla innych ludzi.

ja: ale dlaczego ja? to znaczy, co ty we mnie widzisz?

kruchy: masz serce, will. nawet co jakiś czas niechcący to okazujesz. ja je widzę. i widzę, że mnie potrzebujesz.

kręcę głową.

ja: nie rozumiesz? ja nikogo nie potrzebuję.

kruchy: to znaczy tylko, że potrzebujesz mnie bardziej.

sprawa staje się dla mnie oczywista.

ja: nie jesteś zakochany we mnie, lecz w mojej potrzebie.

kruchy: a kto twierdzi, że w ogóle jestem zakochany? powiedziałem, że cię „naprawdę bardzo, bardzo lubię”.

milknę na chwilę.

kruchy: to zawsze się tak kończy. z pewnymi wariacjami, ale zawsze tak samo.

ja: przykro mi.

kruchy: oni też mówili, że im przykro.

ja: nie mogę tego zrobić, kruchy.

kruchy: możesz, ale nie chcesz. po prostu nie chcesz.

nie muszę właściwie z nim zrywać, bo on już tę rozmowę odbył w swojej głowie. powinienem czuć ulgę. a tymczasem tylko czuję się gorzej.

ja: to nie twoja wina. ja po prostu nie umiem nic poczuć.

kruchy: naprawdę? naprawdę nic teraz nie czujesz? zupełnie nic?

chcę mu powiedzieć: nikt nigdy mi nie mówił, jak sobie radzić z takimi sprawami. czy odchodzenie nie powinno być bezbolesne, jeśli nigdy się nie nauczyłem pozostawać?

kruchy: pojedę już.

a ja zostanę. będę siedział na tej huśtawce, gdy on się odwróci. będę milczał, gdy wsiądzie do samochodu. wytrwam bez ruchu, kiedy uruchomi silnik i odjedzie. będę tkwił w błędzie, bo nie wiem, jak się przedrzeć przez gąszcz mojego umysłu, by osiągnąć to, co powinienem zrobić. będę pozostawał taki sam, ciągle taki sam i taki sam, aż od tego umrę.

musi minąć kilka minut, zanim udaje mi się przyznać, że to kłamstwo, że tylko sobie wmawiam, iż nic nie czuję. chcę powiedzieć, że czuję wyrzuty sumienia, żal albo że mam poczucie winy. ale żadne z tych słów nie wydaje się wystarczające. czuję wstyd. czysty, żywy wstyd. nie chcę być tym, kim jestem. nie chcę być tą osobą, która zrobiła właśnie to, co zrobiła.

nawet nie chodzi o kruchego.

jestem potworny.

jestem bez serca.

boję się, że to prawda.

biegnę do domu, zanosząc się szlochom – nawet o tym nie myślę, ale moje ciało rozpada się na kawałki. ręce trzęsą mi się tak bardzo, że upuszczam klucze, próbując trafić do zamka. dom jest pusty. ja jestem pusty. próbuję coś zjeść. próbuję wpełznąć do łóżka. nic nie działa. czuję. czuję wszystko i nie mogę być sam. wydaję więc telefon. nawet się nad tym nie zastanawiam. wybieram numer, rozlega się sygnał i gdy tylko słyszę, że uzyskałem połączenie, krzyczę do aparatu:

ja: KOCHAM CIĘ. SŁYSZYSZ? KOCHAM CIĘ!

wywrzaskuję te słowa, w których brzmią złość i strach, słowa, które są żalosne i rozpaczliwe. mama w telefonie pyta, czy nic mi się nie stało, gdzie jestem, co się dzieje, a ja jej mówię, że jestem w domu i że wszystko się popaprało. ona na to, że przyjedzie za dziesięć minut i czy wytrzymam tyle? wolałbym jej powiedzieć, że tak, ponieważ to chce usłyszeć, ale potem uświadamiam sobie, że może chciałaby znać prawdę, więc mówię jej, że mam uczucia, naprawdę, a ona, że to oczywiste i zawsze je miałem, dlatego życie jest dla mnie czasami takie trudne.

sam dźwięk jej głosu odrobinę poprawia mi samopoczucie. i dociera do mnie, że doceniam to, co mówi i co robi, i chcę, by o tym wiedziała. jednak nie wyznaję tego od razu, bo wiem, że w ten sposób tylko zmartwię ją bardziej. mówię jej to dopiero wtedy, gdy przyjeżdża do domu, a ona zapewnia mnie, że wie.

opowiadam jej trochę o kruchym. mama stwierdza, że to brzmi tak, jakbyśmy wywierali na siebie za duży nacisk, że miłość wcale nie musi przyjść natychmiast, ani nawet w ogóle. chcę ją zapytać, jak to było z moim ojcem, i dlaczego wszystko przerodziło się w nienawiść i smutek. ale może nie chcę tego wcale wiedzieć. nie teraz.

mama: potrzeba nigdy nie jest dobrą podwaliną związku. konieczne jest o wiele więcej.

dobrze się z nią rozmawia, ale też dziwnie, bo to moja mama, a ja nie chcę być jednym z tych dzieciaków, co to uważają mamę za swojego najlepszego przyjaciela. gdy w końcu dochodzę trochę do siebie, lekcje już dawno się skończyły, więc mogę sprawdzić, czy gideon jest on-line. potem stwierdzam, że mogę napisać do niego sms. następnie uświadamiam sobie, że mogę do niego zadzwonić i spytać, czy nie chciałby się ze mną zobaczyć. bo jest moim przyjacielem, a przyjaciele tak postępują.

dzwonię i gideon odbiera. potrzebuję go, a on jest. spotykamy się u niego i opowiadam mu, co się stało, a on słucha. nie jest tak jak z maurą, która zawsze chciała podążać mroczną drogą. nie jest tak jak z kruchym, ponieważ przy nim czułem się przytłoczony presją, żeby być dobrym chłopakiem, cokolwiek miałyby to znaczyć. nie, gideon jest gotów uwierzyć zarówno w najlepsze, jak i w najgorsze we mnie. innymi słowy: w prawdę.

gdy kończymy gadać, pyta, czy zamierzam się odezwać do kruchego. odpowiadam, że nie wiem.

podejmuję decyzję później. włączam komputer i widzę, że kruchy jest on-line.

nie wydaje mi się, bym mógł uratować nasz związek, ale przynajmniej mogę mu powiedzieć, że nawet jeśli mylił się co do mnie, nie mylił się co do siebie. ktoś przecież powinien starać się zrobić coś dobrego dla świata.

więc próbuję.

20.15

willupleasebequiet: bluejeanbaby?

willupleasebequiet: kruchy?

20.18

willupleasebequiet: jesteś tam?

21.33

willupleasebequiet: jesteś tam?

22.10

willupleasebequiet: proszę

23.45

willupleasebequiet: jesteś tam?

01.03

willupleasebequiet: jesteś?

willupleasebequiet: jesteś?

willupleasebequiet: jesteś?

willupleasebequiet: jesteś?

willupleasebequiet: jesteś?

Trzy dni przed premierą znów zamieniam parę słów z Kruchym przed matką, ale są zupełnie pozbawione treści. Cooper siada koło mnie i mówi:

- Hej, Grayson.
- Hej – odpowiadam.
- Co nowego?
- Niewiele, a u ciebie?
- Też niewiele – mówi. – To przedstawienie mnie wykańcza, człowieku.
- Wyobrażam sobie – odpowiadam.
- Chodzisz z Jane? – pyta.
- Tak jakby – ja na to.
- To super – cieszy się.
- Ta – potwierdzam. – A jak tam drugi Will Grayson?
- Wporzo – odpowiada. I tyle. Szczerze, rozmawianie z nim jest gorsze niż nierozmawianie. Czuję się, jakbym się topił w letniej wodzie.

Jane stoi przy mojej szafce z rękoma za plecami, gdy się tam pojawiam po pierwszej lekcji, a kiedy podchodzę, następuje ten niezręczny, ale nie nieprzyjemny moment wahania, czy powinniśmy się pocałować. Przynajmniej mnie się tak wydaje, bo Jane mówi:

- Kicha z Kruchym, co?
 - Jak to kicha? – dziwię się.
 - On i drugi Will Grayson. Kaput.
- Przekrzywiam w zdumieniu głowę.
- Nie, właśnie powiedział, że wszystko wporzo. Pytałem go przed matką.
 - Stało się to wczoraj, przynajmniej według Gary’ego i Nicka oraz dwudziestu trzech innych osób, które mnie o tym poinformowały. Zdaje się, że na huśtawce. Cóż za metaforyczna miejscowa.

– To dlaczego mi nie powiedział? – Słyszę, że mój głos się łamie.
Jane chwyta mnie za rękę i staje na palcach, żeby szepnąć mi do ucha:
– Hej.
Patrzę na nią, próbując się zachowywać, jakby to nie miało znaczenia.
– Hej – powtarza.
– Hej – odpowiadam.
– Postaraj się, by wszystko między wami wróciło do normy, co? Porozmawiaj z nim, Will. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale wszystko lepiej ci się układa, kiedy rozmawiasz z ludźmi.
– Masz ochotę wpaść po szkole? – pytam.
– Oczywiście. – Z uśmiechem okręca się na pięcie i odchodzi. Robi kilka kroków, po czym odwraca się do mnie i mówi: – Porozmawiaj. Z. Kruchym.

* * *

Przez chwilę stoję przy szafce. Nawet po dzwonku. Wiem, dlaczego mi się nie zwierzył: nie dlatego, że po raz pierwszy w historii świata on jest singlem, a ja jestem w związku (tak jakby). Powiedział, że z tamtym Willem Graysonem wszystko wporo, bo ja nie mam już dla niego żadnego znaczenia.

Kruchy może cię ignorować, kiedy jest zakochany. Ale kiedy kłamie na temat zerwania, detektor promieniowania uruchamia młotek. Trucizna zostaje podana. Przyjaźń umiera.

Tego dnia po szkole siedzimy z Jane nad planszą do scrabbli w moim domu. Układam słowo „święcić”, które jest świetne, ale równocześnie otwiera jej możliwość wymyślenia hasła za potrójną liczbę punktów.

– O mój Boże, kocham cię – wzdycha, i musi to być bliskie prawdy, ponieważ gdyby powiedziała to tydzień wcześniej, nic bym sobie z tego nie robił, a teraz ta deklaracja zawisa w powietrzu na całą wieczność, aż w końcu Jane przerywa krępującą chwilę, mówiąc: – Dziwnie jest wyznać coś takiego komuś, z kim dopiero zaczęło się chodzić! Rety, co za niezręczność! – Po chwili milczenia dodaje: – Hej, żeby było jeszcze dziwniej: czy my ze sobą chodzimy?

To pytanie skręca mi żołądek, ale odpowiadam:

– A czy możemy nie nie chodzić?

Uśmiecha się i układa „nieść” za czterdzieści dwa punkty. To wszystko jest absolutnie zdumiewające. Jej łopatki są zdumiewające. Jej namiętnie ironiczne uwielbienie dla teatru telewizji z lat osiemdziesiątych jest zdumiewające. To, jak głośno się śmieje z moich żartów, jest zdumiewające. Więc tym bardziej zdumiewa

mnie to, że Jane nie zapełnia tej pustki po Kruchym, jaką pozostawia jego nieobecność.

Mówiąc całkiem szczerze, odczułem ją już w poprzednim semestrze, gdy zostałem przewodniczącym GSA, a ja zacząłem się zadawać z Paczką Przyjaciół. Prawdopodobnie dlatego podpisałem ten list do gazetki. Nie dlatego, że chciałem, by wszyscy w szkole wiedzieli, iż jestem jego autorem, ale dlatego, że chciałem, by Kruchy to wiedział.

Następnego dnia mama podwozi mnie wcześniej do szkoły. Wrzucam liścik do szafki Jane. Takiego nabrałem zwyczaju. Zawsze znajduję wers lub dwa z jakiegoś wiersza z gigantycznej antologii poezji, którą zadręczał nas nauczyciel angielskiego w drugiej klasie. Twierdziłem, że nie należę do tych chłopaków, którzy czytają swoim dziewczynom wiersze, i nie należę, ale chyba okazało się, że jestem egzaltowanym mydłkiem, który przemycza okruchy poezji o poranku.

Dzisiaj: W ciemności lepiej widzę cię / Światło zbędne mi jest. – Emily Dickinson

Zajmuję swoje miejsce w ławce w gabinecie matematycznym dwadzieścia minut przed czasem. Próbuję się trochę pouczyć chemii, ale daję sobie spokój po trzydziestu sekundach. Wyjmuję telefon i sprawdzam maile. Nic. Wpatruję się w puste krzesło – krzesło, które Kruchy wypełnia w całkowity sposób nieosiągalny dla reszty z nas.

Postanawiam napisać do niego mail, wystukując go na miniaturowej klawiaturze telefonu. Tak naprawdę tylko zabijam czas. Używam niepotrzebnie długich słów, bo dzięki nim pisanie trwa dłużej.

nie żebym miał jakąś palącą potrzebę przyjaźnienia się z tobą, ale wolałbym wiedzieć, jak to z nami jest. chociaż rozumując racjonalnie, wiem, że twoje odejście z mojego życia to stokrotne błogosławieństwo, bo przez większość czasu jesteś tylko 160-kilową kulą u mojej nogi i tak naprawdę nigdy mnie nie lubiłeś. ciągle narzekałem na ciebie i twoje ogólnie pojęte zbyt wielkie rozmiary, a teraz mi tego brak. typowy facet, powiesz. nie wie, co ma, dopóki tego nie straci. i może masz rację, kruchy. przykro mi z powodu willa graysona. obu willów.

Wreszcie rozlega się pierwszy dzwonek. Zapisuję mail w szkicach.

Kruchy siada koło mnie.

– Hej, Grayson – mówi.

A ja odpowiadam:

– Hej, co słychać?

- Wporzo, człowieku – on na to. – Dziś próba kostiumowa.
- Super – stwierdzam.
- Co u ciebie? – interesuje się.
- Wykańcza mnie ten esej z angielskiego.
- No, moje oceny też są do bani.
- Ta – mruczę ze zrozumieniem.

I rozlega się drugi dzwonek, więc grzecznie spoglądamy na pana Applebauma.

Cztery godziny później: stoję w grupie osób tłoczących się przed wyjściem z klasy do fizyki po piątej lekcji, gdy dostrzegam Kruchego za oknem. Zatrzymuje się, gwałtownie zawraca do drzwi i czeka na mnie.

- Zerwaliśmy – oznajmia rzeczowo.
- Słyszałem. Dzięki, że mnie zawiadomiłeś po tym, gdy zwierzyłeś się już wszystkim innym.

– No cóż – mówi. Ludzie omijają nas szerokim łukiem, jakbyśmy byli skrzepem krwi w arterii korytarza. – Próba trochę potrwa... Musimy zrobić powtórkę w kostiumach... Ale może masz ochotę na późny obiad? Hot Dog Palace albo coś?

Waham się przez chwilę, myśląc o niewysłanym mailu w folderze ze szkicami, o drugim Willu Graysonie, o Kruchym mówiącym prawdę na scenie za moimi plecami, i odpowiadam:

- Raczej nie. Mam dość bycia twoim planem B, Kruchy.

Oczywiście nie robi to na nim wrażenia.

- W takim razie do zobaczenia na premierze.

- Nie wiem, czy uda mi się przyjść. Spróbuję.

Trudno mi odczytać minę Kruchego, lecz chyba go trafiłem. Nie wiem nawet, dlaczego chcę, żeby poczuł się jak świnia, ale zależy mi na tym.

Idę do szatni poczekać na Jane, gdy zachodzi mnie od tyłu i pyta:

- Możesz mi poświęcić minutkę?
- Mogę ci poświęcić miliard minetek. – Uśmiecham się.

Dekujemy się w opustoszałej klasie do hiszpańskiego. Jane okręca krzesło i siada na nim, tak że oparcie osłania ją niczym tarcza. Pod dwurzędową marynarką, którą teraz zdejmuję, ma obcisłą koszulkę. I wygląda świetnie, tak świetnie, że zastanawiam się na głos, czy nie moglibyśmy porozmawiać u mnie w domu.

- U ciebie w domu nie mogę się skupić. – Unosi brwi i uśmiecha się, lecz wyczuwam w niej jakiś fałsz. – Powiedziałaś wczoraj, że nie nie chodzimy ze sobą, i może to nic istotnego, a poza tym nasza relacja trwa zaledwie tydzień, ale rzecz w tym, że wcale nie chcę z tobą nie nie chodzić. Chcę albo być twoją dziewczyną,

albo nie, i uważam, że masz już podstawy do tego, by podjąć chociażby tymczasową decyzję. Bo ja mam.

Na sekundę opuszcza głowę i widzę, że jej przedziałek układa się w nieporządnym zygżaku na środku głowy. Nabieram tchu, by odpowiedzieć, ale ona mnie uprzedza:

– Niezależnie od decyzji nie będę załamana. Nie jestem taką osobą. Uważam tylko, że jeśli nie postawisz sprawy uczciwie, nigdy nie stanie się prawdą, wiesz, i...

Przerywam jej, unosząc palec, bo chcę dokładnie zrozumieć to, co powiedziała, a mówi za szybko, bym nadążył. Trzymam dłoń w górze, myśląc: „Jeśli nie postawisz sprawy uczciwie, nigdy nie stanie się prawdą”.

Kładę ręce na jej ramionach.

– Właśnie coś pojąłem. Naprawdę bardzo, bardzo cię lubię. Jesteś zachwycająca i chcę być twoim chłopakiem z powodu tego, co właśnie powiedziałaś, a także dlatego, że ta koszulka sprawia, iż chcę natychmiast zabrać cię do domu i robić nieopisane rzeczy, gdy będziemy oglądali filmy o poczynaniach pięknej wojowniczkii Sailor Moon. Ale, ale, ale... masz absolutną rację, jeśli chodzi o uczciwe stawianie spraw. Myślę, że jeśli dość długo nie otwiera się pudełko, to zabija się kota. I – Boże, mam nadzieję, że nie odbierzesz tego osobiście – kocham mojego najlepszego przyjaciela najbardziej na świecie.

Patrzy na mnie zmieszana, marszcząc brwi.

– Naprawdę. Kocham, kurna, Kruchego Coopera.

– Hm, dobra – mówi Jane. – Prosisz mnie, żebym była twoją dziewczyną, czy wyznajesz, że jesteś gejem?

– To pierwsze. To z dziewczyną. Muszę natychmiast znaleźć Kruchego.

Wstaję i całuję ją w zygżak, a potem wybiegam z klasy.

Przytrzymuję 1, klawisz szybkiego wyboru numeru Kruchego, i dzwonię do niego, pędząc przez boisko do nogi. Nie odbiera, ale na pewno stwierdził, że wie, dokąd pójść, więc kieruję się właśnie tam.

Widząc park po lewej, zwalniam do szybkiego marszu, bo sapię już jak lokomotywa, a paski plecaka wrzynają mi się w ramiona. Wszystko zależy od tego, czy Kruchy będzie na ławce rezerwowych, a to niemalże nieprawdopodobne, by wybrał się tam trzy dni przed premierą. Zaczynam czuć się jak krety: telefon ma pewnie wyłączony, bo jest na próbie, a ja biegnę tutaj zamiast do auli, co oznacza, że będę musiał gnać z powrotem do szkoły, a moje płuca nie są przystosowane do tak ekstremalnego wysiłku.

Kiedy docieram do parku, jeszcze trochę zwalniam, częściowo dlatego, że brak mi tchu, a częściowo dlatego, że dopóki nie widzę ławki, on tam jest i go nie ma. Zauważam dwoje ludzi spacerujących po boisku i ponieważ wiem, że oni mogą już widzieć miejsce rezerwowych Małej Ligii, próbuję wyczytać z ich oczu, czy dostrzegli tam jakąś gigantyczną postać. Ale ich oczy nic nie zdradzają, więc tylko

obserwuję, jak idą, trzymając się za ręce.

W końcu w polu mojego widzenia pojawia się ławka. I niech mnie licha, jeśli Kruchy nie siedzi na samym jej środku.

Zbliżam się do niego.

– Nie masz przypadkiem próby kostiumowej?

Nie odpowiada, dopóki nie opadam obok na zimne drewniane siedzisko.

– Muszą zrobić powtórkę beze mnie. Inaczej się zbuntują. Kostiumową zrobimy później po południu.

– A co cię sprowadza na ławkę rezerwowych dla drużyny gości?

– Pamiętasz, kiedy już się ujawniłem, zamiast „Kruczy ma inne skłonności” zwykłeś mawiać „Kruczy ma skłonność do White Soxów”.

– Ta. Czy to homofobia? – pytam.

– Nie – zaprzecza. – A może tak, ale mnie to nie przeszkadzało. W każdym razie chciałem przeprosić.

– Za co?

Najwyraźniej użyłem magicznych słów, bo Kruchy bierze głęboki wdech i zaczyna mówić, jakby – a to niespodzianka! – miał mnóstwo do powiedzenia.

– Że nie powiedziałem ci wprost tego, co mówiłem Gary’emu. Nie będę przepraszał, że to w ogóle powiedziałem, ponieważ to prawda. Ty i te twoje cholerne zasady. Czasami jesteś megaupierdliwy. I jest coś histerycznego w twojej antyhisterycznej postawie. I wiem, że jestem trudny, ale ty też, i te twoje pretensje o złe traktowanie robią się nudne, a poza tym totalnie skupiasz się na sobie.

– Przyganiał kocioł garnkowi – burczę, starając się nie wściec. Kruchy ma niezwykle talent do przekłuwania balonika miłości, którą go darzę. Może to dlatego tak często jest rzucany.

– Ha! Słusznie. Słusznie. Nie twierdzę, że jestem niewinny. Twierdzę tylko, że ty też ponosisz winę.

Para znika z pola widzenia. I wtedy w końcu czuję się gotów zrezygnować z drżenia, które Kruchy najwyraźniej uznaje za słabość. Wstaję, by musiał podnieść na mnie wzrok i bym ja mógł patrzeć na niego z góry. Wreszcie choć raz jestem od niego wyższy.

– Kocham cię – mówię.

Przekrzywia swoją dużą, sympatyczną głowę jak zbity z tropu szczeniak.

– Jesteś okropnym najlepszym przyjacielem – oznajmiam. – Okropnym! Kompletnie mnie olewasz za każdym razem, gdy masz nowego chłopaka, a potem wracasz na czworakach, kiedy on złamie ci serce. W ogóle mnie nie słuchasz. Wydaje się, że nawet mnie nie lubisz. Masz obsesję na punkcie tego musicalu i całkowicie mnie ignorujesz, no chyba że akurat mnie obrażasz za moimi plecami, i wykorzystujesz swoje życie i ludzi, na których niby tak bardzo ci zależy, żeby za

sprawą twojego przedstawionka świat mógł cię pokochać, zobaczyć, jaki jesteś świetny, wyzwolony i cudownie gejowski, ale wiesz co? Bycie gejem nie usprawiedliwia bycia dupkiem. Lecz mam cię pod klawiszem szybkiego wybierania i chcę, żeby tak pozostało. Przepraszam, że też jestem okropnym najlepszym przyjacielem i cię kocham.

Nie przestaje przekrzywiać tej głowy.

– Grayson, czy ty robisz coming out? Bo, nie bierz tego do siebie, ale prędzej zostanę heterykiem, niż wejdę w gejowski związek z tobą.

– NIE! Nie, nie, nie. Nie chcę się z tobą pieprzyć. Po prostu cię kocham. Od kiedy to ktoś, z kim chcesz uprawiać seks, staje się najważniejszy? Od kiedy to osoba, z którą chcesz się pieprzyć, musi być dla ciebie tą jedyną, którą kochasz? To głupie, Kruchy! Jezu, kogo w ogóle obchodzi seks?! Ludzie zachowują się, jakby to była najważniejsza rzecz w ich życiu, ale daj spokój. Dlaczego całe nasze zmysłowe życie musi się obracać wokół czegoś, co robią też ślimaki? Z kim chcesz się pieprzyć i czy się z nim pieprzysz – to chyba ważne pytania. Ale nie aż t a k ważne. Wiesz, co jest ważne? Dla kogo byś umarł. Dla kogo się budzisz o piątej czterdzieści trzy nad ranem, choć nawet nie wiesz, dlaczego on cię potrzebuje. Czyj zapijaczony nos byś wytarł!

Krzyczę i wywijam ramionami w jakimś amoku, i dopiero gdy kończą mi się ważne pytania, zauważam, że Kruchy płacze. A potem cicho, najciszej w życiu, mówi:

– O kim mógłbyś napisać sztukę... – I milknie.

Siadam obok niego i obejmuję go ramieniem.

– Jak się czujesz?

Jakimś cudem Kruchemu Cooperowi udaje się tak ułożyć, że jego kolosalna głowa spoczywa, roniąc łzy, na moim wąskim ramieniu.

– Długi tydzień. Długi miesiąc. Długie życie – odpowiada przyjaciel po chwili.

Szybko dochodzi do siebie i ociera oczy postawionym kołnierzykiem koszulki polo, którą ma pod swetrem w paski.

– Kiedy z kimś chodzisz, wzdłuż drogi masz poustawiane znaki: teraz się całujecie, teraz przeprowadzacie Tę Rozmowę, potem wypowiadacie Te Dwa Słowa, a następnie przeżywacie Wielkie Zerwanie na huśtawce. Można zaznaczyć te punkty na wykresie. I po drodze nawzajem się upewniacie: Czy mogę to zrobić? Czy jeśli to powiem, ty odpowiesz? Lecz w przyjaźni nie ma nic takiego. Bycie w związku to twój wybór. Bycie przyjacielem to po prostu coś, czym jesteś.

Przez minutę tylko wpatruję się w boisko. Kruchy pociąga nosem.

– Ja wybrałbym ciebie – mówię. – Kurka, ja ciebie wybieram. Chcę, żebyś za dwadzieścia lat odwiedzał mnie ze swoim kołosem i adoptowanymi dzieciakami, i chcę żeby te cholerne dzieciaki kumplowały się z moimi, i chcę głądzić przy winie

o Środkowym Wschodzie czy co tam będziemy chcieli robić, gdy się zestarzejemy. Jesteśmy już przyjaciółmi za długo, żebym wybierał, ale gdybym mógł, to wybrałbym ciebie jeszcze raz.

– No dobra, robisz się trochę zbyt sentymentalny, Grayson – odpowiada. – Lekko mnie to przeraża.

– Kumam.

– I nigdy więcej nie mów, że mnie kochasz.

– Ale kiedy ja naprawdę cię kocham. Nie wstydzę się tego.

– Serio, Grayson, przestań. Zaczynam mieć odruch wymiotny.

Śmieję się.

– Mogę jakoś pomóc przy przedstawieniu?

Kruchy sięga do kieszeni i wyjmując starannie poskładaną kartkę, którą mi podaje.

– Już myślałem, że nigdy nie spytasz – odpowiada z krzywym uśmiechem.

Will (i w trochę mniejszym zakresie Jane),

Dziękuję za propozycję pomocy w przygotowaniach do „Przytul mnie”. Bardzo byłbym wdzięczny, gdybyście oboje byli na premierze za kulisami i pomogli w poprawkach przy kostiumach oraz w ogólnym uspokajaniu członków obsady (dobra, powiem wprost: mnie). Poza tym będziecie mieli stamtąd doskonały widok na scenę.

Ponadto, choć kostium Phila Wraysona jest świetny, byłby jeszcze lepszy, gdyby Gary mógł włożyć jakieś oryginalne Graysonowe ciuchy.

Pomyślałem też, że fajnie by było zrobić składankę przedpremierową, w której nieparzyste kawałki byłyby punkrockowe, a parzyste musicalowe. Ale niestety nie będę miał na to czasu, więc gdyby Wam się to udało, byłoby cudownie.

Jesteście świetną parą i wyswatanie Was było dla mnie szczególną przyjemnością. Nie mam do Was pretensji, że zapomnieliście mi podziękować za to, iż dzięki mnie Wasza miłość mogła się spełnić.

Z poważaniem...

Wasz wierny swat i uniżony sługa...

Znów porzucony, harujący samotnie w oceanie bólu, by wnieść trochę światła w Wasze życie...

Kruchy Cooper

Śmieję się, czytając, a Kruchy też się śmieje, wyraźnie zachwycony swoją cudownością.

– Przykro mi z powodu drugiego Willa Graysona – mówię.

Jego uśmiech gaśnie. Wydaje się, że kieruje odpowiedź bardziej do mojego

imiennika niż do mnie.

– Nigdy nie było nikogo takiego jak on.

Początkowo nie ufam jego słowom. Ale potem wypuszcza powietrze przez ściągnięte usta, smutno wpatruje się w dal i wierzę mu.

– Chyba muszę się wziąć do roboty, co? Dzięki za zaproszenie za kulisy.

Kruchy wstaje i zaczyna rytmicznie kiwać głową, co mu się czasami zdarza i co oznacza, że coś sobie perswaduje.

– Tak, powinienem wrócić do rozwścieczania członków obsady i ekipy technicznej moją reżyserską tyranią.

– W takim razie do zobaczenia jutro – mówię.

– I we wszystkie pozostałe dni – dodaje, klepiąc mnie za mocno po plecach.

próbuję wstrzymać oddech. nie tak jak wtedy, gdy człowiek przechodzi obok cmentarza czy coś w tym rodzaju. nie. próbuję sprawdzić, jak długo uda mi się nie oddychać, zanim stracę przytomność albo umrę. to bardzo wygodna rozrywka – można się jej oddawać w każdym miejscu. w klasie. na obiedzie. przy pisuarze. w nieprzyjemnej pustce własnego pokoju.

słabe jest tylko to, że zawsze jednak nadchodzi taki moment, kiedy muszę zaczerpnąć powietrza. nie umiem się powstrzymać.

dałem sobie spokój z szukaniem kontaktu z kruchym. zraniłem go, więc mnie nienawidzi – to proste. za to fakt, że nie pisze do mnie sms-ów uświadamia mi, że nikt inny też do mnie nie pisze. maili również. ani się mną nie interesuje.

teraz gdy przestało mu na mnie zależeć, zrozumiałem, że właściwie nikt inny się mną szczególnie nie interesuje.

dobra, jest gideon. on niezbyt chętnie pisze sms-y czy używa komunikatora, ale w szkole zawsze pyta, jak leci. a ja zawsze przestaję nie oddychać, żeby mu odpowiedzieć. czasami nawet mówię prawdę.

ja: serio, tak ma wyglądać reszta mojego życia? nie pisałem się na to.

wiem, że to brzmi jak biadolenie typowego nastolatka – igły! w moim sercu! w moich oczach! – ale cóż mogę na to poradzić? nigdy nie uda mi się być lepszym człowiekiem. zawsze będę tylko istotą z krwi i łajna.

gideon: po prostu oddychaj.

zastanawiam się, skąd wie, co powinien powiedzieć.

jedynie w pobliżu maury udaję, że wszystko mam pod kontrolą. nie chcę, żeby widziała, jak się rozpadam na kawałki. gorszy scenariusz: maura depcze po tych kawałkach. jeszcze gorszy: próbuje poskładać je do kupy. uświadamiam sobie coś – jestem teraz tam, gdzie ona była ze mną. po drugiej stronie milczenia. można by pomyśleć, że to milczenie będzie niosło spokój, ale zadaje tylko ból.

mama w domu bacznie mnie obserwuje, przez co czuję się jeszcze gorzej, bo jej też przysparzam trosk.

tego wieczoru – gdy schrzałem wszystko z kruchym – schowała szklaną wazę, którą jej podarował. ukryła ją, kiedy zasnąłem. a najgłupsze było to, że gdy to zauważyłem, od razu pomyślałem, że się bała, iż ją roztrzaskam. dopiero później zrozumiałem, że próbowała usunąć ją sprzed moich oczu, bym się nie denerwował.

w szkole pytam gideona:

ja: dlaczego jest „zdenerwowany”? powinno być znerwowany.

gideon: jutro zaraz z rana wytoczę proces słownikom. wydrzemy w merriam nową dziurę w tyłku i wciśniemy do niej webstera.

ja: ale z ciebie kretyn.

gideon: tylko w lepsze dni.

nie przyznaję się gideonowi, że mam przy nim poczucie winy. bo co jeśli kruchy naprawdę miał podstawy do zazdrości? co jeśli go zdradzałem, nawet tego nie wiedząc?

ja: można kogoś zdradzać, nie wiedząc o tym?

nie pytam o to gideona, tylko mamę.

była wobec mnie taka ostrożna. chodziła wokół moich nastrojów na paluszkach, zachowując się, jakby nic się nie stało. ale moje pytanie ją mrozi.

mama: dlaczego pytasz? zdradziłeś kruchego?

a ja myślę, kurde, nie trzeba było się wychylać.

ja: nie. wcale nie. dlaczego tak cię to zaniepokoiło?

mama: dla niczego.

ja: no nie, dlaczego? czy tato cię zdradził?

kręci głową.

ja: ty go zdradziłaś?

wzdycha.

mama: nie. nie o to chodzi. po prostu... nie chcę, żebyś kiedykolwiek kogoś oszukiwał. zwłaszcza ludzi. czasami można oszukiwać instytucje – ale nigdy nie oszukuj ludzi. ponieważ kiedy zaczniesz, bardzo trudno przestać. odkrywasz, jakie to jest łatwe.

ja: mamó?

mama: to wszystko. dlaczego spytałeś?

ja: bez powodu. po prostu się zastanawiałem.

ostatnio dużo się zastanawiam. czasami, gdy obserwuję wskazówkę minutową, wstrzymując dech, poza wyobrażaniem sobie, że nie żyję, wyobrażam sobie również, co robi kruchy. zdarza się, że jest w tym obrazie drugi will grayson. zazwyczaj obaj stoją na scenie. ale nigdy nie rozumiem, o czym śpiewają.

najdziwniejsze jest to, że znów myślę o isaacu. i o maurze. i jakie to dziwne, że jej kłamstwo mnie tak uszczęśliwiało.

kruchy nie odpowiada na żadną z moich wiadomości. w wieczór przed musicaliem postanawiam wpisać w komunikator nick drugiego willa graysona. i odnajduję go. nie liczę na to, że zrozumie mnie do głębi. owszem, nazywamy się tak samo, ale nie jesteśmy psychicznymi bliźniakami. nie skrzywi się z bólu, kiedy ja się oparzę czy coś w tym rodzaju. ale akurat w tej chwili czuję, że on zrozumie mnie choć odrobinę. i, przyznaję, chcę się dowiedzieć, czy u kruchego wszystko w porządku.

willupleasebequiet: hej

willupleasebequiet: tu will grayson.

willupleasebequiet: ten drugi.

WGrayson7: wow. helo.

willupleasebequiet: mogę z tobą pogadać?

WGrayson7: pewnie. czemu nie śpisz o 1.33.48?

willupleasebequiet: czekam, by się przekonać, czy o 1.33.49 będzie trochę lepiej. a ty?

WGrayson7: jeśli się nie mylę, właśnie obejrzałem przez webcam poprawioną piosenkę musicalową z duchem oscara wilde'a, na żywo

WGrayson7: z pokoju reżysera-scenarzysty-gwiazdy-itd. tego musicalu.

willupleasebequiet: i co o niej myślisz?

willupleasebequiet: nie.

willupleasebequiet: to znaczy o nim?

WGrayson7: szczerze?

willupleasebequiet: tak.

WGrayson7: chyba nigdy nie widziałem, żeby był tak zdenerwowany. i nie dlatego, że jest reżyserem-scenarzystą-gwiazdą-itd., ale dlatego, że to dla niego tak dużo znaczy, rozumiesz? on naprawdę myśli, że może zmienić świat.

willupleasebequiet: wyobrażam sobie.

WGrayson7: przepraszam, późno już. poza tym nawet nie wiem, czy

powinienem z tobą rozmawiać o kruchym.

willupleasebequiet: sprawdziłem właśnie regulamin międzynarodowego stowarzyszenia willów graysonów i nic tam nie znalazłem na ten temat. znajdujemy się na ziemi nieznanej.

WGrayson7: no właśnie. strzeżmy się smoków.

willupleasebequiet: will?

WGrayson7: tak, will?

willupleasebequiet: czy on wie, że jest mi przykro?

WGrayson7: nie wiem. na podstawie ostatnich doświadczeń mogę jednak stwierdzić, że uraza jest zazwyczaj silniejsza od uczucia przykrości.

willupleasebequiet: po prostu nie mogłem być dla niego właściwą osobą.

WGrayson7: właściwą?

willupleasebequiet: tą, której naprawdę chce.

willupleasebequiet: szkoda, że to się odbywa metodą prób i błędów.

willupleasebequiet: bo tak właśnie jest, prawda?

willupleasebequiet: próby i błędy.

willupleasebequiet: pewnie nie bez powodu nie mówi się „próby i sukcesy”.

willupleasebequiet: to tylko próba i błąd

willupleasebequiet: próba i błąd

willupleasebequiet: próba i błąd

willupleasebequiet: przepraszam. jesteś tam jeszcze?

WGrayson7: tak.

WGrayson7: gdybyś mi to powiedział dwa tygodnie temu, zgodziłbym się z tobą z całego serca.

WGrayson7: ale teraz nie jestem taki pewny.

willupleasebequiet: dlaczego?

WGrayson7: zgadzam się, że „metoda prób i błędów” to dość pesymistyczne określenie. i może rzeczywiście w większości wypadków trafne.

WGrayson7: ale chyba rzecz w tym, że to nie tylko „próba-błąd”.

WGrayson7: najczęściej to „próba-błąd-próba”.

WGrayson7: próba-błąd-próba

WGrayson7: próba-błąd-próba

WGrayson7: a potem to odnajdujesz.

willupleasebequiet: to?

WGrayson7: no wiesz. t o.

willupleasebequiet: tak, t o.

willupleasebequiet: próba-błąd-próba-t o.

WGrayson7: no... aż tak optymistyczny bym nie był.

WGrayson7: raczej jest próba-błąd-próba-błąd-próba-błąd-próba-błąd-próba...
i przynajmniej piętnaście kolejnych razów... a potem próba-błąd-próba- t o.

willupleasebequiet: tęsknię za kruchym, ale nie w taki sposób, w jaki by chciał,
żebym tęsknił.

WGrayson7: przyjedziesz jutro?

willupleasebequiet: to chyba nie byłby dobry pomysł. co o tym sądzisz?

WGrayson7: sam musisz zdecydować. to może być kolejny błąd. albo t o. mam
tylko prośbę, żebyś wcześniej do mnie zadzwonił, bym mógł go uprzedzić.

sprawiedliwa propozycja. wymieniamy się numerami. zapisuję jego numer, zanim
zapomnę. kiedy telefon prosi o podanie nazwy kontaktu, wklepuję po prostu *will
grayson*.

willupleasebequiet: na czym polega sekret twojej mądrości, willu graysonie?

WGrayson7: chyba zadaję się z właściwymi ludźmi, willu graysonie.

willupleasebequiet: cóż, dzięki za pomoc.

WGrayson7: lubię być do dyspozycji byłych chłopaków mojego najlepszego
przyjaciela.

willupleasebequiet: pewnie jest ich cała wioska.

WGrayson7: zgadza się.

willupleasebequiet: dobranoc, willu graysonie.

WGrayson7: dobranoc, willu graysonie.

chciałbym powiedzieć, że to mnie uspokoiło. że natychmiast zapadam w sen. ale
przez całą noc myślę tylko:

próba-błąd-?

próba-błąd-?

próba-błąd-?

nad ranem jestem wrakiem człowieka. wstaję i przypomina mi się, że dziś jest premiera. a potem stwierdzam, że to mnie nie dotyczy. nawet mu nie pomogłem. a teraz nie zobaczę spektaklu. wiem, że to sprawiedliwe, ale wydaje się krzywdzące. wydaje się, że sam się wykołowałem.

podczas śniadania mama zauważyła moją bezprzykładną nienawiść do samego siebie. pewnie sposób, w jaki topię kakaowe chrupki w mleku, wychlapując je z talerza, budzi jej podejrzenia.

mama: will, wszystko dobrze?

ja: a co może być dobrze?

mama: will...

ja: jest dobrze.

mama: nie, nie jest.

ja: jak możesz twierdzić za mnie, że nie jest? czy to nie mój wybór?

siada naprzeciwko mnie, kładzie rękę na mojej dłoni, mimo że pod jej nadgarstkiem znajduje się kałuża zabarwionego czekoladą mleka.

mama: wiesz, ile kiedyś krzyczałam?

nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

ja: ty nie krzyczysz. ty milkniesz.

mama (kręcąc głową): nawet kiedy byłeś malutki, ale głównie wtedy, gdy przechodziliśmy z ojcem przez to... bywało, że musiałam wyjść z domu, wsiąść do auta, pojechać za róg i tam drzeć się do utraty tchu. wrzeszczałam, wrzeszczałam

i wrzeszczałam. czasami bez słów. a czasami z przekleństwami, wszystkimi, jakie byś zdołał wymyślić.

ja: umiem ich wymyślić całkiem sporo. krzyczałaś kiedyś „gównojad!”?

mama: nie, ale...

ja: „mózgojeb!”?

mama: will...

ja: powinnaś spróbować „mózgojeba”. daje sporo satysfakcji.

mama: chodzi mi o to, że czasami musisz wszystko z siebie wyrzucić. całą złość, cały ból.

ja: nie chcesz o tym z kimś porozmawiać? wiesz, mam pigułki, które mogłyby ci pomóc, ale chyba trzeba na nie dostać receptę. to nic trudnego. zdiagnozowanie cię zajmie im nie dłużej niż godzinę.

mama: will.

ja: przepraszam. po prostu to, co czuję, to nie złość ani ból. tylko złość na siebie.

mama: to też złość.

ja: ale to chyba nie powinno się liczyć? to nie to samo co złość na kogoś innego.

mama: dlaczego akurat dziś rano?

ja: o co ci chodzi?

mama: dlaczego jesteś wyjątkowo zły na siebie akurat dziś rano?

nie zamierzałem obnosić się ze swoją złością. mama mnie przyłapała, a to akurat potrafię docenić. więc wyznaję jej, że dziś jest premiera musicalu kruchego.

mama: powinienes pojechać.

teraz moja kolej na kręcenie głową.

ja: bez szans.

mama: z szansami. i, will?

ja: tak?

mama: powinienes też porozmawiać z maurą.

szybko pochłaniam chrupki kakaowe, żeby nie zdążyła mnie przekonać. gdy docieram do szkoły, bez słowa mijam maurę na jej grzędzie. staram się, by zajęcia pochłoneły całą moją uwagę. próbuję się skoncentrować na lekcjach, ale są tak nudne, jakby nauczyciele celowo chcieli mnie zepchnąć z powrotem w otchłań myśli. boję się tego, co mógłby mi powiedzieć gideon, gdybym mu się zwierzył, więc staram się udawać, że to po prostu zwykły dzień, że wcale nie kataloguję wszystkiego, co zrobiłem źle w ostatnich tygodniach. czy naprawdę dałem kruchemu szansę? czy dałem szansę maurze? czy nie powinienem był mu pozwolić, żeby mnie uspokoił? czy nie powinienem był jej pozwolić, by wyjaśniła, dlaczego zrobiła to, co zrobiła?

wreszcie pod koniec dnia w szkole dochodzę do wniosku, że nie poradzę sobie z tym wszystkim sam, i postanawiam się jednak zwrócić o poradę do gideona. trochę chyba mam nadzieję, że usłyszę, iż nie mam się czego wstydzić, bo nie zrobiłem nic złego. znajduję go w szatni.

ja: nie uwierzysz, mama powiedziała mi, że powinienem wybrać się na spektakl kruchego oraz porozmawiać z maurą.

gideon: powinienes.

ja: czy siostra podała ci wczoraj ciasteczka z gandzią? oszalałeś?

gideon: nie mam siostry.

ja: nieważne. wiesz, o czym mówię.

gideon: pojedę z tobą.

ja: co?

gideon: pożyczę auto od mamy. wiesz, gdzie jest szkoła kruchego?

ja: żartujesz chyba.

i wtedy to się dzieje. to zdumiewające, ale gideon robi się trochę – tylko trochę – podobny do mnie.

gideon: czy możemy pominąć cały ten fragment z „żartujesz chyba”? co? nie twierdzę, że ty i kruchy powinniście spędzić ze sobą całe życie i mieć wielkie, depresyjne dzieciaki z okresami maniakalnej chudości, ale uważam, że sposób, w jaki się rozstaliście, nie był optymalny, i założyłbym się o dwadzieścia dolców, gdybym je miał, że on też cierpi z powodu takich samych napadów melancholii jak ty. albo znalazł nowego chłopaka. może również nazywającego się will grayson. w każdym razie pozostaniesz taką chodzącą, gadającą raną, jeśli ktoś nie weźmie cię za tyłek i nie zatarga do niego, a w tym szczególnym wypadku, i we wszystkich innych szczególnych wypadkach, w których będziesz mnie potrzebował, ja jestem tym kimś. ja jestem rycerzem w lśniącej jetcie. jestem twoim cholernym rumakiem.

ja: gideon, nie miałem pojęcia...

gideon: zamknij się, do cholery!

ja: powtórz to!

gideon (ze śmiechem): zamknij się, do cholery!

ja: ale dlaczego?

gideon: dlaczego masz się zamknąć, do cholery?

ja: nie, dlaczego jesteś moim cholernym rumakiem?

gideon: bo jesteś moim przyjacielem, wariacie. bo pod całą tą negacją jesteś osobą bardzo, bardzo serdeczną. bo od kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tym musicalu, umieram z chęci, by go zobaczyć.

ja: dobra, dobra, dobra.

gideon: a druga część?

ja: jaka druga część?

gideon: rozmowa z maurą.

ja: żartujesz sobie.

gideon: ani trochę. masz piętnaście minut, kiedy ja będę załatwiał samochód.

ja: nie chcę.

gideon patrzy na mnie nieustępliwie.

gideon: no, ile ty masz lat? trzy?

ja: ale dlaczego mam to robić?

gideon: założę się, że sam sobie umiesz odpowiedzieć na to pytanie.

mówię mu, że jest totalnie pokręcony. ale zbywa mnie machnięciem ręki i powtarza, że muszę to zrobić, po czym dodaje, że zatrąbi, gdy podjedzie.

chore jest to, że wiem, iż on ma rację. przez cały ten czas myślałem, że kuracja milczeniem działa. bo wcale mi nie brakuje maury. wtem uświadamiam sobie, że tęsknota za nią czy jej brak nie ma wcale znaczenia. liczy się fakt, że nadal noszę w sobie to, co się stało, tak jak i ona. i muszę się tego pozbyć. ponieważ oboje włączyliśmy toksyny w naszą toksyczną przyjaźń. i choć ja nie wymyśliłem przekrętu z wyimaginowanym przyjacielem, z pewnością wniosłem wiele błędów do naszych prób. nie ma szans, byśmy kiedykolwiek odnaleźli idealne t o. ale chyba zrozumiałem, że przynajmniej powinniśmy dać sobie szansę na t o w takiej formie,

jaką jesteśmy w stanie znieść.

wychodzę na zewnątrz, a ona jest dokładnie w tym samym miejscu pod koniec dnia, w którym była na początku. skulona na murku z notatnikiem w ręku. gapi się na przechodzące dzieciaki, bez wątpienia darząc każdego z nich, włącznie ze mną, głęboką pogardą.

czuję, że powinienem był sobie przygotować jakieś przemówienie. ale musiałbym wiedzieć, co chcę powiedzieć. a ja naprawdę nie mam pojęcia. najlepsze, co mi przychodzi do głowy, to:

ja: hej.

na co ona odpowiada:

maura: hej.

posyła mi puste spojrzenie. spuszczam wzrok na buty.

maura: czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

w taki sposób rozmawialiśmy ze sobą. zawsze. a ja nie mam już na to energii. nie tak chcę rozmawiać z przyjaciółmi. nie zawsze.

ja: przestań, maura.

maura: przestać? żartujesz chyba? nie odzywasz się do mnie przez miesiąc, a kiedy już to robisz, to tylko po to, by mi powiedzieć, że mam przestać?

ja: nie po to przyszedłem.

maura: więc po co?

ja: nie wiem.

maura: co to ma znaczyć? oczywiście, że wiesz.

ja: słuchaj. chcę, byś wiedziała, że choć nadal uważam to, co zrobiłaś, za totalną

podłość, to ja też byłem podły wobec ciebie. nie w taki wyjątkowo wyrafinowany sposób jak ty wobec mnie, ale mimo to dość podły. powinienem był szczerze ci powiedzieć, że nie chcę z tobą gadać, być twoim chłopakiem, najlepszym przyjacielem czy kim tam. próbowałem... przysięgam, że próbowałem. ale nie chciałaś usłyszeć tego, co mówiłem, a ja potraktowałem to jako wymówkę, by nic nie zmieniać.

maura: nie miałeś nic przeciwko mnie, kiedy byłem isaakiem. kiedy gawędziliśmy co noc.

ja: ale to było kłamstwo! absolutne kłamstwo!

teraz maura patrzy mi prosto w oczy.

maura: daj spokój, will – wiesz, że nie ma czegoś takiego jak absolutne kłamstwo. zawsze jest w nim trochę prawdy.

nie wiem, jak na to zareagować. po prostu mówię następną rzecz, która przychodzi mi do głowy.

ja: nie ciebie lubiłem. tylko isaaca. lubiłem isaaca.

pustka zniknęła. zastąpił ją smutek.

maura: a isaac lubił ciebie.

chcę jej powiedzieć: pragnę być po prostu sobą. i chcę być z kimś, kto jest po prostu sobą. to wszystko. chcę zajrzeć pod te wszystkie role, udawanie i dotrzeć do prawdy. ale może to jest największa prawda, jaką maura i ja kiedykolwiek znajdziemy – przyznanie się do kłamstwa i uczuć, które ono obudziło.

ja: przykro mi.

maura: mnie też.

chyba dlatego nazywamy ludźmi „byłymi” – bo ścieżki, które krzyżują się

w środku, na końcu się rozchodzą. zbyt łatwo jest widzieć x jako przekreślenie. nie jest nim, ponieważ niczego nie da się tak po prostu wykreślić. x to wykres dwóch ścieżek.

słyszę klakson. to gideon podjeżdża samochodem mamy.

ja: muszę iść.

maura: idź.

zostawiam ją, wsiadam do auta i opowiadam gideonowi o wszystkim, co się właśnie stało. mówi, że jest ze mnie dumny, a ja nie wiem, co z tym począć, więc pytam:

ja: dlaczego?

odpowiada:

gideon: bo powiedziałaś, że ci przykro. nie byłem pewien, czy będzie cię na to stać.

wyznaję mu, że też nie byłem tego pewien. ale to właśnie czułem. i chciałem być szczery.

nagle – mam wrażenie, że w jednej chwili – znajdujemy się na drodze. nawet nie wiem, czy zdążymy na musical kruchego. nawet nie wiem, czy powinienem tam pojechać. nie mam pojęcia, czy chcę go widzieć. chcę tylko zobaczyć, jak wyszło przedstawienie.

gideon pogwizduje melodię lecącą z radia. normalnie takie durne drobiazgi mnie denerwują, ale nie tym razem.

ja: chciałbym pokazać mu prawdę.

gideon: kruchemu?

ja: tak. nie musisz z kimś chodzić, by uważać, że jest wspaniały, prawda?

jedziemy dalej. gideon znów zaczyna gwizdać. wyobrażam sobie kruchego

miotającego się za kulisami. nagle gideon cichnie. uśmiecha się i uderza ręką w kierownicę.

gideon: na jowisza, zrobimy to^[13]!

ja: naprawdę to powiedziałaś?

gideon: przyznaj. podobało ci się.

ja: o dziwo, tak.

gideon: chyba mam pomysł.

zdradza mi jaki. a ja nie mogę uwierzyć, że taki chory, pokręcony i genialny osobnik siedzi obok mnie.

ale jeszcze bardziej nie mogę uwierzyć, że zamierzam zrobić to, co gideon wymyślił.

¹³ Cytat z musicalu *My Fair Lady*.

Razem z Jane spędzamy kilka godzin przed premierą, tworząc idealną przedpremierową playlistę, która zawiera – zgodnie z zamówieniem – nieparzyste kawałki poppunkowe i parzyste musicalowe. Pojawia się na niej *Annus Mirabilis*. Dodajemy nawet najbardziej punkowy numer zdecydowanie niefunkowego Neutral Milk Hotel. Jeśli chodzi o piosenki z musicali, wybieramy dziewięć różnych interpretacji *Over the Rainbow*, w tym jedną w stylu reggae.

Kończymy debatowanie i zgrywanie, a Jane idzie do domu, żeby się przebrać. Bardzo chciałbym jak najszybciej pędzić do auli, ale wydaje mi się nie w porządku wobec Kruchego pojawić się na najważniejszym wydarzeniu w jego życiu w dżinsach i koszulce z Dzikim Kotem Karolem. Wkładam więc do tego zestawu jedną ze sportowych marynarek taty, przyglądam włosy i jestem gotów.

Czekam w domu na powrót mamy, zabieram jej kluczyki, nim zdąży do końca otworzyć drzwi, i ruszam do szkoły.

Wchodzę do prawie pustej auli – kurtyna pójdzie w górę dopiero za godzinę – i spotykam Gary’ego, który ma rozjaśnione włosy, przycięte krócej i lekko potargane, tak jak ja. Ma też na sobie moje ciuchy, które mu dostarczyłem wczoraj: bojówki, koszulę w kratę z krótkimi rękawami, którą uwielbiam, i czarne trampki. Całkowity efekt robiłby surrealistyczne wrażenie, gdyby ciuchy nie były tak totalnie wygniecione.

– Co to, Kruchy nie mógł znaleźć żelazka? – pytam.

– Grayson – odpowiada – spójrz na swoje spodnie, człowieku.

Patrzę. Hmm. Nawet nie wiedziałem, że dżinsy mogą być pogniecione. Gary obejmuje mnie ramieniem i dodaje:

– Zawsze myślałem, że to część twojego wizerunku.

– Teraz już tak – odpowiadam. – Jak idzie? Denerwujesz się?

– Odrobinę, ale nie tak jak Kruchy. A właściwie to mógłbyś tam pójść i spróbować

pomóc? To – wskazuje na swoje ubranie – było na próbę kostiumową. Muszę się przebrać w strój White Soxów.

– Się robi – odpowiadam. – Gdzie on jest?

– W ubikacji za kulisami.

Podaję Gary’emu płytę z muzyką, biegnę przejściem między rzędami i wsuwam się za ciężką czerwoną kurtynę. Natykam się na gromadkę członków obsady w różnych stadiach charakteryzacji, którzy choć raz są cicho, pochłonięci robieniem makijażu. Wszyscy faceci noszą stroje White Soxów, włącznie z korkami i podkolanówkami naciągniętymi na obcisłe spodenki. Witam się z Ethanem, jedynym, którego naprawdę znam, a potem już mam zacząć szukać łazienki, gdy ze zdumieniem dostrzegam scenografię. To bardzo realistycznie oddana ławka dla rezerwowych.

– To scenografia do całej sztuki? – pytam Ethana.

– Boże, skąd – odpowiada. – Jest inna do każdego sceny.

Gdzieś w oddali słyszę grzmiący ryk, a po nim serię przerażających chlupnięć. Najpierw myślę: Kruchy wprowadził do sztuki słonia, który właśnie zwymiotował. Ale potem uświadamiam sobie, że to Kruchy jest tym słoniem.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi podążam za dźwiękiem do ubikacji i wkrótce słyszę ryk ponownie. Widzę stopy przyjaciela wystające spod drzwi kabiny.

– Kruchy? – wołam go.

– BŁŁŁEEEEUUUUUCH – odpowiada, po czym rozpaczliwie wciąga powietrze ze świstem i znów puszcza pawia. Smród jest przeraźliwy, ale postępuję krok do przodu i uchylam drzwi. Kruchy, ubrany w największy na świecie strój Soxów, tuli muszlę klozetową.

– Nerwy czy niestrawność? – pytam.

– BBBUUUUUAAAAEEEE.

Objętość tego, co się wylewa z szeroko otwartych ust Kruchego, każdego wprawiałaby w osłupienie. Dostrzegam sałatę i bardzo tego żałuję, bo zaczynam się zastanawiać: Tacos? Kanapka z indykiem? Pojawia się zagrożenie, że zaraz dołączę do przyjaciela.

– Dobra, ziom, wyrzuć to z siebie, poczujesz się lepiej.

Do ubikacji wpada Nick.

– Fuj, jaki odór – jęczy i natychmiast dodaje: – Nie popsuj sobie włosów, Cooper! Trzymaj głowę nad kiblem. Układaliśmy ten fryz kilka godzin!

Kruchy dławi się, kaszle, a potem skrzeczy:

– Moje gardło. Boli.

Wszyscy uświadamiamy sobie w tej samej chwili, że straciliśmy główny głos musicalu.

Ja chwytam Kruchego pod jedno ramię, Nick pod drugie, podnosimy go

i wyprowadzamy z kabiny. Wracam, starając się nie patrzeć na niewyobrażalny koszmar w muszli, i splukuję jej zawartość.

– Coś ty jadł?

– Burrito z kurczakiem i burrito ze stekiem w Burrito Palace – odpowiada. Jego głos brzmi dziwnie, i sam to słyszy, bo próbuje zaśpiewać. – *Co geja bazą jest...* Kurde kurde kurde kurde kurde zniszczyłem sobie głos. Kurde.

Trzymając Kruchego pod ramiona, wracamy do zespołu.

– Potrzebuję ciepłej herbaty z dużą ilością miodu – wołam – i pepto-bismol! Natychmiast, ludzie!

Podbiega do nas Jane w białej męskiej koszulce z dekoltem w karo z odręcznie wykonanym napisem: „Jestem z Philem Wraysonem”.

– Zaraz się tym zajmę – oznajmia. – Kruchy, potrzebujesz czegoś jeszcze?

Przyjaciół unosi dłoń, żeby nas uciszyć, i skrzeczy:

– Co to jest?

– Co co jest? – pytam.

– Ten jazgot. W oddali. Czy to... czy to... niech to szlag, Grayson, nagrałeś *Over the Rainbow* na przedpremierową płytę?

– A tak – potwierdzam. – Wielokrotnie.

– KRUCHY COOPER NIENAWIDZI *OVER THE RAINBOW*! – Jego głos załamuje się, gdy krzyczy. – Kurde, straciłem głos. Kurde.

– Bądź cicho – przykazuję mu. – Poradźmy sobie z tym, ziom. Tylko więcej nie rzygaj.

– Nie mam już w sobie ani odrobiny burrito – wyznaje.

– BĄDŹ CICHO – upominam go.

Kiwa głową. I przez kilka minut, podczas gdy wszyscy biegają wokół, wachlując swoje upudrowane twarze i szeptem zapewniając się nawzajem, że na pewno pójdzie im świetnie, siedzę sam z milczącym Kruchym.

– Nie wiedziałem, że potrafisz tak panikować. Denerwujesz się przed meczami piłkarskimi? – Potrząsa przecząco głową. – Okay, kiwnij, jeśli będę miał rację. Boisz się, że sztuka nie jest naprawdę dobra. – Kiwa. – Martwisz się swoim głosem. – Kiwa. – Coś jeszcze? Czy to wszystko? – Kręci przecząco głową. – Hm, obawiasz się, że przedstawienie nie wywrze odpowiedniego wpływu na homofobów. – Nie. – Boisz się, że puścisz pawia na scenie. – Nie. – Nie wiem, Kruchy, ale o cokolwiek się martwisz, jesteś większy od tych zmartwień. Wymieciysz na scenie. Owacje będą trwały wiele godzin. Dłużej niż spektakl.

– W i l l – szepcze Kruchy.

– Ziom, oszczędzaj głos.

– Will... – powtarza.

– Tak?

– Nie. Will.

– Chodzi ci o drugiego Willa – domyślam się, a on unosi brwi i uśmiecha się krzywo. – Zaraz sprawdzę – obiecuję. Zostało jeszcze dwadzieścia minut do podniesienia kurtyny, a aula jest prawie pełna. Staję na krawędzi sceny, rozglądam się przez chwilę po publiczności i czuję się troszkę jak ktoś sławny. Potem schodzę na dół i ruszam powoli przejściem po prawej stronie. Ja też chcę, żeby on tu był. Chcę, by ludzie tacy jak Will i Kruchy byli przyjaciółmi, a nie tylko próbami błędów.

Choć czuję się, jakbym dobrze znał Willa, ledwie pamiętam, jak on wygląda. Staram się wyeliminować po kolei wszystkie twarze w każdym rzędzie. Tysiąc osób piszących SMS-y, śmiejących się i wiercących na krzesłach. Tysiąc osób czytających program, w którym znajdują się, jak się później dowiem, specjalne podziękowania dla mnie i dla Jane za to, że „jesteśmy cudowni”. Tysiąc osób czekających, by popatrzeć, jak Gary przez dwie godziny udaje, że jest mną, i niemających pojęcia, co zobaczą. Ja również go nie mam – wiem, że sztuka się zmieniła przez tych kilka miesięcy, od kiedy ją ostatnio czytałem, ale nie wiem, w jaki sposób.

Mrowie ludzi, a ja próbuję każdemu się przyjrzeć. Widzę pana Fortsona, opiekuna GSA, siedzącego ze swoim partnerem. Zauważam dwóch wicedyrektorów. Nagle mój wzrok, skanujący tłum w poszukiwaniu oblicza Willa Graysona, pada na dwie wpatrzone we mnie starsze twarze. Moi rodzice.

– Co wy tu robicie?

Ojciec wzrusza ramionami.

– Będiesz zaskoczony, ale to nie ja wpadłem na ten pomysł.

Mama szturcha go.

– Kruchy napisał do mnie bardzo serdeczną wiadomość na Facebooku, zapraszając nas o s o b i ś c i e, więc uznałam, że to miło z jego strony.

– Przyjaźnisz się z Kruchym na fejsie?

– Tak. Zaprosił mnie do swoich przyjaciół – odpowiada mama, epicko zawałając facebookowy żargon.

– Cóż, dzięki, że przyszlście. Będę za kulisami, i, hm, zobaczymy się później.

– Pozdrów od nas Jane – rzuca mama, cała się rozpluwając w konspiracyjnych uśmiechach.

– Spoko.

Docieram do końca przejścia i wracam z drugiej strony. Willa Graysona nie ma. Za kulisami spotykam Jane trzymającą ogromną butlę syropu na gardło.

Odwraca ją do góry dnem i oznajmia:

– Wychłał wszystko.

Kruchy wyskakuje zza scenografii i śpiewa:

– I czuję się wspaaaaaniaaaale!

Na razie jego głos brzmi nieźle.

– Niezły czad – mówię. Podchodzi do mnie, patrząc pytająco. – Na widowni siedzi jakieś tysiąc dwieście osób, Kruchy.

– Nie znalazłeś go – domyśla się, lekko kiwając głową. – Dobra. Tak. Dobra, nic nie szkodzi. Dzięki, że kazałeś mi siedzieć cicho.

– I że splukałem cztery hektolitry twoich rzygów.

– Jasne, za to też. – Bierze głęboki wdech i wydyma policzki, przez co jego twarz robi się niemalże idealnie okrągłą. – Chyba już pora.

Kruczy zbiera wokół siebie cały zespół. Klęka w środku zbitej masy ludzi. Wszyscy się obejmują, bo jedno z praw natury głosi, że ludzie sceny uwielbiają kontakt fizyczny. Obsada stanowi pierwszy krąg wokół Kruczego, wszyscy – chłopaki i dziewczyny – noszą stroje White Sox. W drugim kręgu jest chór, w tej chwili cały ubrany na czarno. Razem z Jane też do nich dołączamy.

Kruczy mówi:

– Chcę wam podziękować i powiedzieć, że wszyscy jesteście fantastyczni i że najważniejsze jest wzlecieć. Przepraszam też, że wymiotowałem. To było zatrucie cudownością spowodowane towarzystwem tylu cudownych ludzi. – Rozlegają się nerwowe śmiechy. – Wiem, że się boicie, ale zaufajcie mi: jesteście rewelacyjni. Poza tym nie o was tu chodzi. A teraz sprawmy, by spełniło się kilka marzeń.

Wszyscy wydają okrzyk i wznoszą rękę do sufitu, a następnie wykonują mnóstwo przesadnych gestów. Światło przed kurtyną gaśnie. Trzech futbolistów ustawia scenografię na miejscu. Staję w egipskich ciemnościach z boku za kulisami obok Jane, która spleta swoje palce z moimi. Serce mi łomocze i wyobrażam sobie, jak to jest być teraz Kruchym. Modłę się, żeby litr syropu zalaminował jego struny głosowe, żeby Kruchy nie zapomniał tekstu, nie wyrócił się, nie zemdłał ani nie wymiotował. Za kulisami jest wystarczająco strasznie i rozumiem, jakiej trzeba odwagi, by wyjść na scenę i powiedzieć prawdę. Gorzej – wyśpiewać prawdę.

Pozbawiony ciała głos mówi:

– Prosimy o wyłączenie telefonów, by nic nie zakłóciło fantastycznej atmosfery.

Wkładam wolną dłoń do kieszeni i przełączam telefon na wibracje.

Szeptem do Jane:

– Chyba zwymiotuję.

– Ciii – ona na to.

– Czy moje ciuchy zawsze są tak wymiętolone?

– Tak, ciii – odpowiada szeptem i ściska moją dłoń.

Kurtyna rozsuwa się na boki. Rozlegają się uprzejme oklaski.

Cała obsada poza Kruchym siedzi na ławce rezerwowych, a on przechadza się nerwowo w tę i w tę przed graczami.

– Spokojnie, Billy. Cierpliwości. Czekaj na swój rzut.

Kruczy nie gra siebie, lecz trenera.

Zamiast tego pewien pulchny pierwszoklasista występuje w roli Kruchego. Nie może przestać ruszać nogami. Nie wiem, czy to gra aktorska, czy naprawdę się denerwuje.

– Hej, pałkarz, pałkarz, skuś! – woła przesadnie zniewieściałym tonem.

Brzmi to tak, jakby flirtował z pałkarzem.

– Kretyn – rzuca ktoś z ławki. – Nasz gracz teraz wybija.

– Kruchy jest jak guma – wtrąca Gary – a ty jak breja. Co się od niego odbija, do ciebie się przykleja.

Poznaję po jego opuszczonych ramionach i potulnej postawie, że jest mną.

– Kruchy jest gejem – dodaje ktoś inny.

Trener odwraca się w stronę ławki i krzyczy:

– Hej! HEJ! Nie obrażamy się w drużynie.

– Nie ma w tym nic obraźliwego – protestuje Gary. Ale nie jest już Garym. Nie on mówi, lecz ja. – To po prostu cecha. Niektórzy są gejami, a niektórzy mają niebieskie oczy.

– Zamknij się, Wrayson – ripostuje trener.

Dzieciak grający Kruchego zerka z wdzięcznością na chłopaka grającego mnie, a jeden z prześladowców rzuca scenicznym szeptem:

– Ale z was cioty!

Odpowiadam na to:

– Nie jesteście ciotami, lecz ośmiolatkami.

Tak było. Zupełnie o tym zapomniałem, ale w chwili wskrzeszenia tego momentu, wszystko do mnie wraca.

A dzieciak dręczy mnie dalej:

– Chcesz dotrzeć do drugiej bazy... z KRUCHYM.

Ja na scenie przewracam oczami. A wtedy ten pulchny grający Kruchego robi krok w przód, staje przed trenerem i śpiewa: *Co geja bazą jest drugą?* Wtedy Kruchy też podchodzi do przodu, dołącza do niego idealnie zestrojonym głosem i wykonują najwspanialszą musicalową piosenkę, jaką kiedykolwiek słyszałem. Chór śpiewa:

Co geja bazą jest drugą?

Może szczypanie w udo?

Choć nie wiem, czy to miłe.

Nie wiem, nie sprawdziłem.

Za plecami Kruchych śpiewających ramię w ramię, chłopaki z chóru – łącznie z Ethanem – wykonują zabawnie skomplikowany, staromodny, złożony choreograficznie taniec ze stepowaniem, używając kijów w charakterze lasek,

a bejsbolówek w charakterze cylindrów. Gdzieś w połowie układu jeden rząd tancerzy bierze zamach i wymierza cios w głowy drugiego rzędu, i choć z mojego punktu widzę, że jest to tylko markowane, to gdy drugi rząd dramatycznie pada na plecy, a muzyka cichnie, wstrzymuję oddech wraz z resztą widowni. Po chwili wszyscy aktorzy jak jeden mąż skaczą na równe nogi i piosenka trwa dalej. Gdy dobiega końca, Kruchy i pierwszoklasista tanecznym krokiem schodzą ze sceny przy akompaniamencie grzmiących okrzyków tłumu, a kiedy gasną reflektory, przyjaciel niemalże ląduje w moich ramionach, skąpany w pocie.

– Nieżle – stwierdza.

Ja tylko w oszołomieniu kręcę głową. Jane pomaga mu zdjąć buty.

– Kruchy, jesteś geniuszem – oznajmia.

Przyjaciel zdziera z siebie strój bejsbolisty, pod którym ma bardzo dla niego typową fioletową koszulkę polo i szorty chino.

– Wiem o tym – odpowiada. – Dobra, czas pokazać się ludziom.

Po czym spieszy na scenę. Jane chwyta mnie za rękę i całuje w szyję.

To spokojny fragment, w którym Kruchy wyznaje swoim rodzicom, że „chyba jest trochę gejem”. Tato siedzi w milczeniu, podczas gdy mama zapewnia go o bezwarunkowej miłości. Piosenka jest zabawna, ponieważ za każdym razem, gdy mama śpiewa: „Zawsze będziemy kochać naszego Kruchego”, on wtrąca różne inne coming outy, takie jak: „Ściągałem podczas testu gimnazjalnego”, „Dolałem do wina soku jabłkowego” i „Karmiłem swoją fasolką pieska naszego”.

Piosenka się kończy, światła gasną, lecz Kruchy pozostaje na scenie. Gdy znów włączają się reflektory, nie ma żadnej scenografii, ale po fantazyjnych kostiumach aktorów domyślam się, że to Parada Równości. Kruchy i Phil Wrayson stoją na środku sceny, a uczestnicy marszu mijają ich, skandując hasła i machając rękami. Gary tak bardzo przypomina mnie, że to aż niepokojące. Wygląda bardziej jak ja w pierwszej klasie niż Kruchy jak Kruchy w pierwszej klasie.

Rozmawiają przez chwilę i nagle mój przyjaciel wyjawia:

– Phil, mam inną orientację niż ty.

– Nie! – mówię oszołomiony.

– To prawda – potwierdza on.

Kręcę głową.

– Chodzi ci o to, że łatwo się gubisz w terenie?

– Nie, chodzi mi o to, że na przykład ten facet – wskazuje Ethana, który ma na sobie obcisłą żółtą koszulkę bokserką – jest seksowny, i gdybym z nim trochę pogadał i okazałoby się, że ma ciekawą osobowość i szanuje mnie jako człowieka, pozwoliłbym mu się pocałować w usta.

– Jesteś gejem? – pytam, jakby nie dowierzając.

– Tak. Wiem. Wiem, że to szok. Ale chciałem, żebyś dowiedział się pierwszy. To

znaczy zaraz po moich rodzicach.

A wtedy Phil Wrayson zaczyna piosenkę i śpiewa mniej więcej to, co powiedziałem, kiedy to wszystko naprawdę się wydarzyło:

– „Zaraz mi powiesz, że niebo niebieskie jest, że rano nosisz szary dres, a muza najlepsza to soft jazz. A potem mi opowiesz, że papież to katolik, że dziwki uczciwie kładą karty na stolik, a Elton John to nie homo, lecz melancholik”.

A potem piosenka zamienia się w dialog. Kruchy wyśpiewuje swoje zdumienie, że wiedziałem, a ja śpiewam o tym, że to przecież oczywiste.

– Ale wiesz, ja jestem piłkarzem.

– Jesteś gej, jak kolarz jest kolarzem.

– Hetero grałem lepiej niż Curtis Tony.

– Ale w domu masz tysiąc My Little Pony.

I tak dalej. Nie mogę powstrzymać śmiechu, ale jeszcze bardziej nie mogę wyjść ze zdumienia, jak dokładnie Kruchy to wszystko pamięta, i jacy dobrzy – poza wszystkim złym – zawsze byliśmy dla siebie. I śpiewam:

– Lecz chyba mnie nie pragniesz?

On odpowiada:

– Wolałbym pragnąć wesz.

A za nami chór robi wymachy nogami niczym przy kankanie.

Jane kładzie mi rękę na ramieniu, żebym się do niej nachylił, i szepcze:

– Widzisz? On też cię kocha.

Odwracam się do niej i całuję ją w krótkiej chwili ciemności między końcem piosenki a początkiem braw.

Gdy kurtyna opada przed zmianą scenografii, nie widzę owacji na stojąco, ale dokładnie ją słyszę.

Kruchy wybiega za scenę z okrzykiem:

– Czaaaad!

– Możecie z tym jechać na Braodway – chwałę go.

– Ta sztuka zrobiła się o wiele lepsza, od kiedy jest o miłości. – Patrzy na mnie, uśmiechając się półgębkiem, a ja wiem, że to najszczerze wyznanie, jakie kiedykolwiek uczyni. Kruchy może jest gejem, ale to ja jestem bardziej sentymentalny. Kiwam głową i dziękuję mu szeptem.

– Przepraszam, jeśli będziesz się wydawał trochę irytujący w następnej części – mówi on.

Sięga ręką do włosów, ale wtem znikąd pojawia się Nick i przytrzymuje go za ramię, wrzeszcząc:

– NIE DOTYKAJ SWOJEJ IDEALNEJ FRYZURY!

Kurtyna się podnosi i teraz scenografia przedstawia korytarz w naszej szkole. Kruchy rozwiesza plakaty, a ja go denerwuję tym drzeniem w głosie. Nie przeszkadza

mi to, przynajmniej nie za bardzo – miłość jest w końcu związana z prawdą. Tuż po tej scenie następuje ta z pijanym Kruchym po koncercie, w której postać Janey ma swój jedyny występ – duet z Philem Wraysonem śpiewany po przeciwnych stronach nieprzytomnego Kruchego. Scena osiąga punkt kulminacyjny, gdy głos Gary’ego nagle nabiera pewności i oboje z Janey pochylamy się nad półprzytomnym, spitym Kruchym mamroczącym coś w pijackim widzie i całujemy się. Patrząc na scenę tylko jednym okiem, bo chcę widzieć uśmiech Jane, która ją ogląda.

Od tego momentu piosenki stają się coraz lepsze i lepsze, aż w ostatniej przed przerwą cała publiczność śpiewa razem z Oscarem Wilde’em nad śpiącym Kruchym.

*Czysta i prosta prawda
Rzadko jest prosta i czysta
Bo co ma uczynić chłopak
Gdy i kłamstwo, i prawda to grzech?*

Kiedy utwór się kończy, kurtyna opada i zapalają się światła sygnalizujące przerwę. Kruchy podbiega do nas, kładzie nam łapy na ramionach i wydaje okrzyk radości.

– To cudowne – mówię mu. – Naprawdę. Przedstawienie jest... po prostu świetne.

– Super! Jednak druga połowa będzie o wiele bardziej mroczna. To ta romantyczna część. Dobra dobra dobra dobra, do zobaczenia później! – woła i odbiega, by pochwalić, a może także zganić swoją obsadę.

Jane prowadzi mnie do kąta za kulisami, skrytego za elementami scenografii, i pyta:

– Naprawdę zrobiłeś to wszystko? Opiekowałeś się nim w Małej Lidze?

– Ech, on też się mną opiekował – prostuję.

– Współczucie jest bardzo seksowne – mówi, a potem mnie całuje.

Po chwili widzę, że światła na widowni przygasają i zapalają się ponownie. Wracamy na swój punkt obserwacyjny w bocznych kulisach. Światła znów gasną, co oznacza koniec przerwy. Po chwili głos z wysokości mówi:

– Miłość to najpowszechniejszy cud.

Początkowo wydaje mi się, że to może przemówił do nas Bóg, ale szybko uświadamiam sobie, że to Kruchy przemawia przez głośniki. Rozpoczyna się część druga.

Kruchy siada w ciemnościach na krawędzi sceny i mówi:

– Miłość zawsze jest cudem, wszędzie, za każdym razem. Ale dla nas jest trochę inna. Nie chcę powiedzieć, że jest bardziej cudowna – wyjaśnia, a ludzie cicho się śmieją. – Ale to prawda. – Światła powoli rozjaśniają scenę i dopiero teraz zauważam,

że za plecami Kruchego stoi najprawdziwsza huśtawka, która wygląda dosłownie tak, jakby ją wykopano z placu zabaw i przewieziono do auli. – Nasz cud jest inny, ponieważ podobno jest niemożliwy. Jak zapisano w Księdze Kapłańskiej: *Mężczyzna, który obcuje cieleśnie z mężczyzną tak jak z kobietą, popełnia obrzydliwość*^[14]. – Spuszcza wzrok, a potem spogląda na publiczność, a ja wiem, że szuka wzrokiem drugiego Willa Graysona i nie znajduje go. Wstaje.

– Ale nie zapisano, że mąż nie może się zakochać w mężu, bo to niemożliwe, tak? Geje są tylko zwierzętami, zaspokajającymi swoje zwierzęce chucie. Zwierzęta nie mogą się zakochać. A mimo to...

Nagle załamują się pod nim kolana i Kruchy upada bezwładnie. Zrywam się, żeby biec mu z pomocą, ale Jane chwyta mnie za koszulę, gdy Cooper podnosi głowę i mówi do publiczności:

– Upadam i upadam, i upadam, i upadam.

W tym samym momencie telefon w mojej kieszeni zaczyna wibrować. Na identyfikatorze pojawia się nazwisko: „Will Grayson”.

¹⁴ Biblia warszawska, Księga Kapłańska 20:13.

z tego, co widzę, czeka mnie najbardziej odjazdowe doświadczenie w życiu. bez dwóch zdań.

naprawdę nie wierzyłem, że zdążymy na czas. przede wszystkim ruch uliczny w chicago zazwyczaj jest niełaskawy dla ludzi, a dzisiaj poruszaliśmy się wolniej niż myśli ćpuna. musieliśmy sobie urządzić konkurs na przekleństwa, żeby się trochę uspokoić.

teraz, gdy już dotarliśmy na miejsce, obawiam się, że nie ma szans, by nasz plan się powiódł. jest zarówno szalony, jak i genialny, a kruchy na to właśnie zasługuje. i wymagał ode mnie zrobienia wielu rzeczy, których zazwyczaj nie robię, w tym:

- rozmowy z nieznanymi,
- proszenia nieznanymi o przysługi,
- chęci zrobienia z siebie kompletnego durnia,
- pozwolenia, by ktoś (gideon) mi pomógł,
- a także jest uzależniony od wielu czynników pozostających poza moją kontrolą, w tym:
 - uprzejmości nieznanymi,
 - ich zdolności do spontanicznych zachowań,
 - ich zdolności do szybkiej jazdy samochodem,
 - tego, czy musical kruchego będzie miał więcej niż jeden akt.

jestem pewien, że to będzie totalna katastrofa. ale zamierzam to zrobić mimo wszystko.

chyba ledwo zdążyliśmy, bo gdy wchodzimy z gideonem do auli, na scenę jest właśnie wnoszona huśtawka. nie jakaś huśtawka. rozpoznałem ją. jest to dokładnie ta sama huśtawka. i wtedy dociera do mnie cały ten obłąd. na fula.

gideon: kurka wodna.

gideon wie już o wszystkim, co się wydarzyło. nie tylko między mną i kruchym, ale też między mną i maurą, mną i mamą, i ogólnie między mną i całym światem. ale ani razu nie powiedział mi, że zachowałem się głupio, wrednie, potwornie albo beznadziejnie. innymi słowy, nie mówił żadnej z tych rzeczy, które ja sobie bezustannie powtarzam. zamiast tego podczas jazdy samochodem stwierdził:

gideon: to wszystko ma sens.

ja: naprawdę?

gideon: absolutnie. postąpiłbym tak samo.

ja: kłamiesz.

gideon: nie.

a potem zupełnie niespodziewanie wyciągnął mały palec.

gideon: przysięgam na mój mały palec, nie kłamię.

zahaczyłem mój mały palec o jego i jechaliśmy tak przez chwilę.

ja: jeszcze trochę i zawiążemy braterstwo krwi.

gideon: i będziemy się zapraszać na nocki.

ja: w ogródku.

gideon: ale bez dziewczyn.

ja: jakich dziewczyn?

gideon: tych hipotetycznych, których nie zaprosimy.

ja: będą s'mores[15]?

gideon: a jak myślisz?

na pewno by były.

gideon: wiesz, że jesteś wariatem?

ja: też mi nowość.

gideon: robiąc to, co zamierzasz.

ja: to był twój pomysł.

gideon: ale ty to zrobiłeś, nie ja. to znaczy robisz.

ja: zobaczymy.

dziwne to było, bo gdy tak jechaliśmy, nie myślałem ani o gideonie, ani o kruchym, tylko o maurze. siedząc w aucie z gideonem i czując się absolutnie komfortowo sam ze sobą, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że ona tego właśnie ode mnie chciała. ale między nami nigdy nie miało tak być. chyba po raz pierwszy zrozumiałem, dlaczego tak bardzo o to walczyła. i dlaczego kruchy tak bardzo o to walczył.

stoimy z gideonem przy drzwiach do sali teatralnej. rozglądam się wokół, żeby zobaczyć, kto jeszcze tu jest, ale w ciemnościach niewiele widzę.

huśtawka stoi z tyłu sceny, a przed nią ustawia się chór złożony z szeregu chłopców ubranych jak chłopcy i dziewczyn przebranych za chłopców. zakładam, że to parada byłych kruchego, bo stając w linii, śpiewają:

chór: jesteśmy paradą byłych chłopaków!

nie mam wątpliwości, że dzieciak na końcu ma być mną. (jest ubrany cały na czarno i wygląda bardzo ponuro).

wszyscy po kolei wyśpiewują preteksty do zerwania:

były chłopak 1: za bardzo lubisz pieszczoty.

były chłopak 2: do śpiewu masz zbyt długie ciągoty.
były chłopak 3: jesteś zbyt masywny.
były chłopak 4: ja bywam zbyt pasywny.
były chłopak 5: zostanę twoim kolegą.
były chłopak 6: nie chcę skrzydłowego.
były chłopak 7: poznałem chłopaka innego.
były chłopak 8: odchodzę, nie powiem dlaczego.
były chłopak 9: masz za grube kolanka.
były chłopak 10: to była tylko zachcianka.
były chłopak 11: nie chcesz uprawiać miłości.
były chłopak 12: ciągle mam wątpliwości.
były chłopak 13: mam na głowie ważne sprawy.
były chłopak 14: wolę z innymi zabawy.
były chłopak 15: nie jesteś dobrą wróżką.
były chłopak 16: boję się, że połamiesz łóżko.
były chłopak 17: za bardzo do mnie wzdychasz.
były chłopak 18: to moje potrzeby kochasz.

i tyle – setki sms-ów i rozmów, tysiące tysięcy słów wypowiedzianych i wysłanych, wszystko stopione w jedno zdanie. czy tym staje się związek? zredukowaną wersją pretensji, pozbawioną wszystkiego innego? ale to było coś więcej. wiem, że to było więcej.

i może kruchy też to wie. ponieważ wszyscy chłopcy prócz byłego nr 1 opuszczają scenę. domyślam się, że przyjrzymy się im bliżej i może każdy przekaże nową lekcję kruchemu i publiczności.

ponieważ chwilę potrwa, zanim dotrzemy do byłego nr 18, uznaję, że to dobry moment, by skontaktować się z drugim willem graysonem. martwię się, czy nie wyłączył telefonu, ale gdy wychodzę na korytarz, żeby zadzwonić (zostawiając gideoną, by zajął mi miejsce), odbiera i mówi, że przyjdzie za minutę.

natychmiast go rozpoznaję, choć wydaje mi się, że też jakoś się zmienił.

ja: hej.

d.w.g.: hej.

ja: cholernie dobre przedstawienie.

d.w.g.: no raczej. cieszę się, że przyjechałeś.

ja: ja też. bo, widzisz, mam taki pomysł. znaczy, to właściwie pomysł mojego przyjaciela, ale chcemy zrobić coś takiego...

i wyjaśniam mu wszystko.

d.w.g.: to szaleństwo.

ja: wiem.

d.w.g.: myślisz, że naprawdę tu są?

ja: powiedzieli, że będą. a nawet jeśli nie, to jesteśmy ty i ja.

drugi will grayson wygląda na przerażonego.

d.w.g.: będziesz musiał zrobić to pierwszy. wesprę cię, ale nie dam rady zacząć.

ja: nie ma sprawy.

d.w.g.: to kompletne szaleństwo.

ja: kruchy jest tego wart.

d.w.g.: tak, jest tego wart.

wiem, że powinniśmy wrócić na przedstawienie. ale chcę go o coś spytać teraz, gdy spotkaliśmy się twarzą w twarz.

ja: czy mogę zadać ci osobiste pytanie, jak will grayson willowi graysonowi?

d.w.g.: yyy... jasne.

ja: czy czujesz, że coś się zmieniło? to znaczy od naszego pierwszego spotkania.

d.w.g. zastanawia się przez sekundę, a potem kiwa głową.

d.w.g.: tak. chyba nie jestem tym willem graysonem, którym byłem.

ja: ja również.

otwieram drzwi do auli i zaglądam do środka. są już przy byłym nr 5.

d.w.g.: lepiej wróć za kulisy. jane będzie się zastanawiała, gdzie zniknąłem.

ja: jane, hm?

d.w.g.: taa, jane.

jakie to urocze – chyba z dwieście różnych emocji odbija się na jego twarzy, gdy wypowiada jej imię – wszystko, od skrajnego niepokoju po absolutną błogość.

ja: zajmijmy swoje miejsca.

d.w.g.: powodzenia, willu graysonie.

ja: powodzenia nam wszystkim.

wchodzę dyskretnie do środka i odnajduję gideona, który natychmiast wprowadza mnie w akcję.

gideon (szepem): były chłopak numer sześć miał bzika na punkcie ochraniaczy na genitalia. na granicy fetysyzmu, powiedziałbym.

niemalże wszyscy byli kruchego są tacy – nietrójwymiarowi, ale szybko staje się jasne, że to celowy zabieg, i kruchy pokazuje, że nigdy nie zgłębiał ich wymiarów, bo był tak pochłonięty własnym zakochaniem, że nie poświęcał czasu na refleksję nad tym, w czym się zakochał. to boleśnie prawdziwe, przynajmniej dla byłych takich jak ja. (widzę, że kilku innych chłopaków niespokojnie wierci się na krzesłach, więc prawdopodobnie nie jestem jedynym byłym na widowni). przerabiamy pierwszych siedemnastu, potem następuje wyciemnienie i huśtawka zostaje przesunięta na środek sceny. nagle punktowe światło reflektora pada na kruchego siedzącego na huśtawce i czuję się tak, jakby film z moim życiem został przewinięty i puszczonej jeszcze raz

tylko w formie musicalu. jest dokładnie tak, jak to zapamiętałem... aż przestaje być, bo kruchy napisał dla nas nowy dialog.

ja na scenie: naprawdę przepraszam.

kruchy: nie musisz. wpadłem po uszy. wiem, jak to się kończy – twardym lądowaniem.

ja na scenie: jestem na siebie taki wściekły. jestem dla ciebie najgorszą opcją na świecie. jestem odbezpieczonym granatem ręcznym.

kruchy: lubię ten odbezpieczony granat.

zabawne: zastanawiam się, czy gdybym to powiedział i gdyby on tak zareagował, wszystko rozegrałoby się inaczej. ponieważ wiedziałbym, że on rozumie, przynajmniej odrobinę. ale chyba musiał to zapisać w formie musicalu, żeby ujrzeć wszystko jasno. albo wypowiedzieć na głos.

ja na scenie: ale mnie się nie podoba, że jestem twoim granatem. ani niczym.

dziwne jest to, że choć raz czuję, iż zawleczka wróciła na miejsce.

kruchy patrzy teraz prosto w publiczność. nie może wiedzieć, że tu jestem. ale może mimo wszystko mnie szuka.

kruchy: chcę tylko, byś był szczęśliwy. ze mną, z kimś innym, z nikim. chcę, żebyś był szczęśliwy. chcę, żebyś lubił życie. takie, jakie jest. i mnie też. trudno zaakceptować fakt, że życie to wzlatywanie. wzlatywanie i lądowanie. wzlatywanie i lądowanie. zgadzam się, że to nie ideał. zgadzam się.

mówi do mnie. mówi do siebie. może nie ma różnicy do kogo.
w każdym razie dociera do mnie. rozumiem go.
a potem mnie traci.

kruchy: ale jest takie słowo, którego kiedyś nauczył mnie phil grayson: *weltschmerz*. to przygnębienie, które czujesz, gdy świat taki, jaki jest, nie

pokrywa się z takim, jaki powinien według ciebie być. żyję w jednym wielkim przeklętym oceanie *weltschmerz*. ty też. i my wszyscy. ponieważ wszyscy chcielibyśmy wzlatywać i wzlatywać bez końca, czuć powiew powietrza na twarzy, czuć, jak ono układa nam twarz w cholerny, zachwycony uśmiech. tak właśnie powinno być. powinniśmy móc wiecznie wzlatywać.

a ja myślę: nie.

poważnie. nie.

ponieważ całe swoje życie lecę. nie w takim sensie, o jakim mówi kruchy. on mówi o miłości. ja mówię o życiu. w moim rodzaju lotu nie ma lądowania. jest tylko uderzenie o ziemię. bardzo twardą. śmierć, albo pragnienie śmierci. więc przez cały czas, gdy lecę, jest to najgorsze uczucie na świecie. ponieważ czuję, że nie mam nad tym kontroli. ponieważ wiem, czym się skończy.

nie chcę wzlatywać. chcę jedynie stać na solidnym gruncie.

i dziwne jest to, że teraz się tak właśnie czuję. bo próbuję zrobić coś dobrego. w taki sam sposób jak kruchy.

kruchy: nadal jesteś odbezpieczonym granatem dla tego niedoskonałego świata.

nie, jestem odbezpieczonym granatem dla tego okrutnego świata. ale za każdym razem, gdy okazuje się, że nie mam racji, zawleczka wchodzi głębiej na miejsce.

kruchy: a mnie nadal... za każdym razem, gdy mi się to przydarza, przy każdym lądowaniu, nadal boli, jakbym nie przeżył tego nigdy wcześniej.

huśta się wyżej, mocno odpychając nogami, a huśtawka trzeszczy przeraźliwie. wygląda, jakby miała się rozpaść, ale on tylko macha nogami i trzyma łańcuchy rękoma, i nie przestaje mówić.

kruchy: bo nie możemy powstrzymać *weltschmerzu*. nie możemy przestać wyobrażać sobie świata takim, jaki mógłby być. i to jest cudowne! właśnie to w nas uwielbiam najbardziej!

gdy osiąga najwyższy punkt łuku, znajduje się poza zasięgiem światła i krzyczy do widzów z ciemności. potem znów wraca w pole widzenia, plecami i tyłkiem pędząc w publiczność.

kruchy: i właśnie dlatego potrafimy wzlatywać. dlatego nas uwielbiam!

w najwyższym punkcie łuku, ponad kręgiem światła, kruchy zeskakuje z huśtawki. robi to tak cholernie zwinnie i szybko, że ledwo zauważam, jak mu się to udaje. unosi się na ramionach, podciąga nogi, potem puszcza łańcuchy i chwytą się krokwi. huśtawka wywraca się tuż potem, i wszyscy – widzowie, aktorzy, chór – wydają głośny jęk.

kruchy: bo wiemy, co się wydarzy, gdy upadniemy!

odpowiedź jest oczywiście taka, że wylądujemy na tyłku. i dokładnie to robi kruchy. puszcza belkę i spada bezwładnie tuż przed huśtawką. wzdrygam się, a gideon bierze mnie za rękę.

nie wiem, czy dzieciak, który mnie gra, wychodzi z roli, czy nie, kiedy pyta kruchego, czy nic mu się nie stało. niezależnie od tego, kruchy zbywa moją imitację machnięciem dłoni, wskazuje na dyrygenta i chwilę później rozlega się spokojna melodia, grana pojedynczymi uderzeniami w klawisze. kruchy odzyskuje oddech podczas przygrywki i znów zaczyna śpiewać.

kruchy:

bo rzecz w tym, by wzlecieć!

padasz i wstajesz, by upaść znów.

bo rzecz w tym, by wzlecieć

i nie bać się znów rozbić o bruk.

rozpętuje się chaos. chór rozpaczliwie wyśpiewuje swoją rolę. śpiewa, że rzecz w tym, by wzlecieć, a potem kruchy wychodzi naprzód i na tym tle mówi słowa:

kruchy: może dziś boicie się wzlatywania, a może jest tu lub gdzie indziej ktoś, o kim myślicie, o kogo się martwicie, zadręczacie się analizowaniem, czy chcecie wzlecieć, albo jak i gdzie wylądujecie, a ja muszę wam powiedzieć, przyjaciele, żebyście przestali myśleć o lądowaniu, bo najważniejsze jest wzlatywanie.

to niesamowite. tak mocno wierzy w swoje słowa, że wygląda, jakby unosił się nad sceną. a do mnie dociera, co muszę zrobić. muszę mu pomóc zrozumieć, że to wiara, a nie słowa, ma znaczenie. muszę pomóc mu zrozumieć, że sensem nie jest

wzlatywanie, lecz szybowanie.

kruchy woła, żeby włączyć światła. rozgląda się po widowni, ale mnie nie zauważa.

przełykam ślinę.

gideon: gotów?

na to pytanie odpowiedź zawsze będzie brzmiała: nie. ale i tak muszę to zrobić.

kruchy: może jest coś, co boicie się powiedzieć, albo ktoś, kogo boicie się pokochać, albo miejsce, w które boicie się pójść. to będzie bolało. będzie bolało, bo jest ważne.

nie, myślę. NIE.

to nie musi boleć.

wstaję. i natychmiast niemalże siadam z powrotem. muszę zmobilizować całą swoją siłę, by stać.

patrzę na gideona.

kruchy: ale ja właśnie wzleciałem i wylądowałem, i nadal stoję tu, by powiedzieć wam, że musicie pokochać wzlatywanie, ponieważ o nie właśnie chodzi.

wyciągam rękę do gideona, a on zahacza swój mały palec o mój.

kruchy: wlećcie choć raz. pozwólcie sobie na to!

teraz cała obsada znajduje się na scenie. widzę, że drugi will grayson też ukradkiem na nią wyszedł, w tych pogniecionych džinsach i koszuli w kratę. tuż obok niego stoi dziewczyna, pewnie jane, w koszulce z napisem: „jestem z philem wraysonem”.

kruchy macha ręką i nagle wszyscy na scenie zaczynają śpiewać.

chór: przytul mnie, przytul mocno.

a ja nadal stoję. nawiązuję kontakt wzrokowy z drugim willem graysonem, który wygląda na zdenerwowanego, ale uśmiecha się mimo to. widzę, że kilka osób kiwa

głową w moim kierunku. boże, mam nadzieję, że są tymi, za których ich mam.

nagle szerokim machnięciem ramion kruchy ucisza muzykę. podchodzi do krawędzi sceny, a cała reszta robi się ciemna. jest tylko on w punktowym reflektorze, spoglądający na widownię. stoi tak, chłonąc chwilę. a potem kończy przedstawienie słowami:

kruchy: nazywam się kruchy cooper. i to jest moja historia.

zapada cisza. ludzie czekają, aż opadnie kurtyna, aż spektakl się definitywnie skończy, by rozpocząć owację. mam mniej niż sekundę. mocno ściskam palec gideona, potem go puszczam i unoszę rękę.

kruchy mnie zauważa.

widownia mnie zauważa.

krzyczę:

ja: KRUCHY COOPERZE!

stało się.

naprawdę mam nadzieję, że się uda.

ja: nazywam się will grayson. i doceniam cię, kruchy!

teraz wszyscy na mnie patrzą, wielu z nich ze zmieszaniem. nie mają pojęcia, czy to dalsza część przedstawienia.

cóż mogę powiedzieć? daję mu nowe zakończenie.

teraz wstaje dwudziestokilkuletni mężczyzna w hipsterskiej kamizelce. patrzy na mnie przez sekundę, uśmiecha się, po czym odwraca się do kruchego i mówi:

mężczyzna: ja też nazywam się will grayson. mieszkam w wilmette. i ja również cię doceniam, kruchy.

to sygnał dla siedemdziesięciolatka w tylnym rzędzie.

staruszek: nazywam się william t. grayson, ale możesz mówić do mnie will.
i doceniam cię jak jasny gwint, kruchy.

dziękuję, google. dziękuję, internetowa bazo telefoniczna. dziękuję wam, patroni imienia.

czterdziestoparolatka: cześć. jestem wilma grayson z hyde park. i doceniam cię, kruchy.

dziesięciolatek: hej. jestem will grayson czwarty. mój tato nie mógł przyjechać, ale obaj cię doceniamy, kruchy.

powinien być jeszcze jeden. student drugiego roku na northwestern.

następuje dramatyczna pauza. wszyscy się rozglądają.

i wtedy wstaje ON. gdyby facet z frenchy's mógł go zabutelkować i sprzedawać, pewnie stać by go było na wykupienie połowy chicago w ciągu roku. on jest tym, co by przyszło na świat po dziewięciu miesiącach, gdyby abercrombie zapłodnił fitcha. jest jak gwiazda filmowa, olimpijski pływak i amerykański top model w jednym. ma na sobie srebrną koszulkę i różowe spodnie. wszystko w nim lśni.

nie mój typ. ale...

Bóg Gejów: nazywam się will grayson. i uwielbiam cię, kruchy.

w końcu kruchy, któremu, o dziwo, na cały ten czas odebrało mowę, wydobywa z siebie parę słów:

kruchy: 847-555-3982

Bóg Gejów: 847-555-7363

kruchy: CZY KTOŚ MOŻE TO DLA MNIE ZAPISAĆ?

połowa widzów kiwa głowami.

i znów zapada cisza. właściwie trochę niezręczna. nie wiem, czy usiąść, czy co.

wtedy rozlegają się kroki z ciemnej strony sceny. drugi will grayson przeciska się między członkami chóru. podchodzi prosto do kruchego i patrzy mu w oczy.

d.w.g.: znasz moje nazwisko. i kocham cię, kruchy. choć może nie tym rodzajem miłości, którym mógłby cię obdarzyć ten chłopak w różowych portkach.

wtedy przyłącza się dziewczyna, która zapewne jest jane.

dziewczyna: nie nazywam się will grayson, ale doceniam cię jak jasna cholera, kruchy.

to najdziwniejsze wydarzenie na świecie. jeden po drugim wszyscy na scenie mówią kruchemu, że go doceniają. (nawet koleś o imieniu phil grayson – coś za zbieg okoliczności). a potem do akcji wkracza publiczność. rząd po rządzie. niektórzy to mówią. inni śpiewają. kruchy płacze. ja płaczę. wszyscy płaczą.

tracę rozeznanie, jak długo to wszystko trwa. a potem, gdy dobiega końca, rozpoczynają się owacje. najgłośniejsze brawa, jakie kiedykolwiek słyszałem.

kruchy wychodzi na przód sceny. ludzie rzucają kwiaty.

zbliżył nas wszystkich do siebie. wszyscy to czujemy.

gideon: świetnie sobie poradziłeś.

splatamy palce.

ja: razem sobie poradziliśmy.

kiwam głową do drugiego willa graysona na scenie. odpowiada mi skinieniem. mamy coś wspólnego, on i ja.

szczerze?

wszyscy mamy.

to nasze przekleństwo i nasze błogosławieństwo. nasza próba, błąd i to.

owacje trwają. spoglądam na kruchego coopera.

być może jest ciężki, ale teraz niewątpliwie unosi się nad ziemią.

¹⁵ Amerykański deser, najczęściej robiony przy ognisku lub grillu, markiza z herbatników, kilku kostek czekolady i opieczonych marshmallowsa.

Wyrazy uznania

Potwierdzamy, że Jodi Reamer jest pierwszorzędną agentką, a także mogłaby pokonać nas obu naraz w walce na rękę.

Przyznajemy, że wycieranie nosa przyjacielowi stanowi osobisty wybór i może nie każdemu odpowiadać.

Zapewniamy również, że ta książka prawdopodobnie w ogóle by nie powstała, gdyby Sarah Urist Green nie śmiała się w głos, kiedy przeczytaliśmy jej pierwsze dwa rozdziały dawno, dawno temu w pewnym apartamencie daleko, daleko stąd.

Wyznajemy, że byliśmy nieco rozczarowani, kiedy dowiedzieliśmy się, iż marka odzieżowa Penguin nie ma nic wspólnego z wydawnictwem Penguin, ponieważ liczyliśmy na rabat przy zakupie koszulek polo.

Jesteśmy wdzięczni za nieskazitelną cudowność Billa Otta, Steffie Zvirin oraz dobrej wróżki Johna, Ilene Cooper.

Oświadczamy, że tak jak nie byłoby widać Księżyca, gdyby nie światło Słońca, tak nigdy nie zobaczylibyście nas, gdyby nie ciągły, olśniewający blask naszych przyjaciół pisarzy.

Wyznajemy, że jeden z nas ściągał na egzaminie wstępnym na studia, choć wcale tego nie chciał.

Potwierdzamy, że nerdfighterzy są fantastyczni.

Oświadczamy, że to, jakimi nas stworzył Bóg, nie może nas oddzielić od jego miłości.

Wyznajemy, że zakończyliśmy tę książkę w takim terminie, który miał skłonić naszą genialną redaktorkę Julie Strauss-Gabel, by dała swemu dziecku na imię Will Grayson, nawet jeśli będzie dziewczynką. Co jest trochę niesprawiedliwe, gdyż to raczej my powinniśmy nadać naszym dzieciakom jej imię. Nawet gdyby byli to chłopcy.

Rozmowa między Johnem Greenem i Davidem Levithanem

John Green: Przyznaję, że słyszałem już tę opowieść, ale nigdy mnie ona nie nuży: Jak wpadłeś na pomysł napisania tej książki?

David Levithan: Pomysł napisania książki o dwóch chłopakach o tym samym nazwisku zrodził się z tego, że jeden z moich najlepszych przyjaciół nazywa się David Leventhal. Nie całkiem tak samo jak ja, ale dość podobnie. Obaj studiowaliśmy w Brown i często nas ze sobą mylono. Nie tylko w zwykłych kwestiach (takich jak maile czy telefony), ale też w bardziej niecodziennych i zabawnych sytuacjach. Widzisz, David Leventhal jest świetnym tancerzem. A ja, David Levithan, wręcz przeciwnie. Tymczasem zaczepiali mnie różni ludzie, mówiąc: „Widziałem cię na scenie wczoraj wieczorem. Wydajesz się takim niezdarnym, niezręcznym facetem, ale kiedy tańczysz, masz w sobie tyle gracji!”. A ja musiałem odpowiadać: „Yyy, to nie byłem ja”. Czułem się tak, jakby gdzieś w kampusie żyło moje *alter ego*. Wreszcie, tuż przed końcem szkoły, zadzwoniłem do niego, spotkaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy. Nie powiedziałbym, że nasza książka jest o tym, jak kochać swoje *alter ego*, ale o tym, jak drugi człowiek może odblokować – często nieumyślnie – potencjał naszej osobowości. A najlepsze jest to (o czym często zapominam), że jeden ze współlokatorów/najlepszych przyjaciół Davida Leventhala nazywał się... Jon Green. Ciekawy zbieg okoliczności. To prowadzi z kolei do mojego pytania: Jakie ty masz doświadczenia z innymi Johnami Greenami?

JG: Oczywiście są nas setki – począwszy od agentów nieruchomości w Missisipi, a skończywszy na botanikach w Australii. Poznałem kilku Johnów Greenów i wszyscy byli kapitalni. Choć przydarzył mi się też jeden nieprzyjemny incydent kilka lat temu. W Kanadzie mieszka pewien John Green, który jest Bardzo Ważnym Autorytetem w dziedzinie badań nad Wielką Stopą, nazywanych również sasquatchingiem. (Tworzy książki takie jak *Sasquatch: Małpy pośród nas*). Kilka lat temu napisałem artykuł do pewnego czasopisma, w którym zdawkowo wspomniałem o tym, że moim zdaniem Wielka Stopa jest postacią fikcyjną. Tydzień po publikacji

otrzymałem wściekły list od Johna Greena, słynnego sasquatologisty, oskarżającego mnie, że skałałem dobre imię Johnów Greenów na całym świecie.

Na szczęście moja reputacja nie ucierpiała na tyle, byś nie chciał ze mną współpracować. Napisaliśmy więc pierwsze rozdziały, nie mając pojęcia, o czym pisze ten drugi i czy historia nam się ułoży. Co pomyślałeś, kiedy ci przeczytałem pierwszy rozdział i poznałeś Willa, Kruchego, Jane oraz problem z wyborem przyjaciół i/lub ich nosów?

DL: Nie chcę wydać się łatwy, ale podbiłeś mnie już pierwszym zdaniem. Od razu wiedziałem, że twój rozdział będzie rozpoczynał powieść. A kiedy pojawił się Kruchy... cóż, pomyślałem: „Och, fantastyczna postać”. Zachwyca mnie, że takiego bohatera wszyscy spodziewaliby się po mnie, a tymczasem to ty go stworzyłeś. Relacja między nim i twoim Willem jest niesamowita. Poza tym byłem zaskoczony, gdy pojawił się Neutral Milk Hotel. Bo, wiesz, to ja przecież jestem miłośnikiem muzyki. Ale gdybym wiedział, że spędzę około pięciu lat z *Holland, 1945* w głowie, to zareagowałbym inaczej.

Jednak przede wszystkim uderzyło mnie to, że obaj stworzyliśmy dwóch zupełnie innych Willów, ale równocześnie postanowiliśmy poruszyć bardzo podobne kwestie. (Zważ, proszę: nie mówię „tematy”, bo żaden z nas nie pisze o „tematach”). A jaka była twoja reakcja, gdy usłyszałeś mój pierwszy rozdział?

JG: Bardzo mi się spodobał. Zaskoczyło mnie to, jak błyskawicznie i całkowicie znalazłem się w głowie twojego Willa. Twoja połowa powieści jest bardzo zabawna, ale również pełna gniewu. Nadal mi się podoba, mimo iż czytałem twoje rozdziały już z milion razy, że potrafisz tak absolutnie wejść w umysł osoby cierpiącej na poważną depresję. To nie jest pytanie. Chcę po prostu, żebyś coś o tym powiedział.

DL: Chciałem uchwycić mojego willa w samym środku życia, ponieważ wydaje mi się, że brakuje takich książek o nastolatkach. Nie chciałem natomiast, żeby przepełniała go pogarda do samego siebie za to, że jest gejem – on nie ma z tym problemu, chce jedynie zachować to dla siebie, nie ze strachu, lecz z przekonania, że to jest wyłącznie jego sprawa. Stracił ojca i nie do końca się z tym pogodził, ale też nie dręczy go ten fakt nadmiernie. A co najważniejsze, ma depresję, lecz jest na etapie układania sobie z nią życia, a nie odkrywania jej. Wiele powieści – w tym mnóstwo naprawdę świetnych – dotyczy nastolatków, którzy zaczynają się zmagać z depresją i szukają pomocy. Ale niewiele opowiada o tym, co dzieje się później, kiedy trzeba funkcjonować dalej.

JG: Mógłbyś coś powiedzieć o małych literach w twoim willu graysonie?

DL: Zauważyłeś je, no proszę. Powód, dla którego mój will używa małych liter, jest prosty – tak siebie postrzega. Jest osobą małą literą. Przywykł do komunikacji internetowej, która zachęca, byśmy byli ludźmi małą literą. Jego wizja siebie jest taka, jaką tworzy w tej przestrzeni, a jedyna forma komunikacji bezpieczna dla niego to ta,

w której jest anonimowy i posługuje się komunikatorem internetowym. Nawet się nad tym nie zastanawia. Po prostu tak wyraża samego siebie. Czy ta forma wyrazu jest w jakimś sensie skarłowaciała? Na pewno. Ale równocześnie jest prawdziwa, a pod koniec książki nawet się na nią nie zwraca uwagi. Drażni tylko na początku. Potem wchodzimy w świat willa całkowicie, przyzwyczajamy się do rytmów jego życia. I ufam, że to ma sens.

Ciekawi mnie, skąd się wziął kot Schrödingera w twoich rozdziałach. Jeśli dobrze pamiętam, nie było go w początkowej wersji. Co cię natchnęło, by go włączyć do rozgrywki między Willem i Jane?

JG: Chyba szukałem sposobu wyrażenia awersji mojego Willa do związków. Na przykład przez założenie, że dopóki nie otworzysz pudełka, kot nadal żyje. (Oczywiście jest również martwy). Ale moim zdaniem duża część naszej powieści dotyczy skomplikowanej zależności między tożsamością i istnieniem: w pewnym sensie jesteś tym, kim jesteś, ponieważ obserwują cię inni; ale w pewnym sensie jesteś też tym, kim jesteś, mimo ich obserwacji. Jednym z powodów, dla których ludzie niebędący fizykami tak sobie upodobili eksperyment myślowy Schrödingera, jest to, że wszyscy odczuwamy konflikt pomiędzy tożsamością obserwowaną i wewnętrzną.

DL: Gdy zaczęliśmy rozmawiać o naszej powieści, żaden z nas nie był zbyt znany – właśnie wtedy się ukazała moja druga książka, a twoja pierwsza miała dopiero zostać opublikowana. Teraz mamy więcej fanów. Poza tym ty masz nerdfighterów. Jaki to wywarło wpływ na twoją pracę i życie?

JG: Cóż, moja część *Willa Graysona* jest dedykowana szczególnie odłamowi nerdfighterów, ale mogłaby być dedykowana całej nerdfighterii, ponieważ bardzo mnie inspiruje ich intelektualne zaangażowanie, a także celebrowanie wszystkiego co nerdowskie. (Dla tych z was, którzy nie wiedzą, kim jest nerdfighter, zamieszczamy wraz z bratem filmy wideo na YouTube; nasi fani nazywają się nerdfighterami, ponieważ walczą za nerdów i ich prawo do bycia sobą). Wiele się od nich uczę. Właściwie tylko dzięki nerdfighterom wiem, że nastolatki nadal lubią musicale.

DL: Jestem przeszczęśliwy, że mogłem dołączyć do rodziny nerdfighterów. Zwłaszcza dlatego, że tak wielu z nich lubi musicale. Kiedy pierwszy raz napisałeś o Kruchym i jego musicalu, wiedziałeś, jak dużo z niego znajdzie się w książce? Może mógłbyś powiedzieć coś więcej o genezie *Wiecie, czemu geje się cały czas czepiają?*

JG: Nie miałem pojęcia, że zobaczymy musical w książce, kiedy wpadłem na ten pomysł. Ale w miarę upływu czasu okazał się dobrym dopełnieniem historii, którą opowiadaliśmy. Jeśli chodzi o genezę *Wiecie, czemu geje się cały czas czepiają?*, to stary homofobiczny żart, który chciałem przekształcić w dumną i uroczystą obserwację. A tak przy okazji, czy nie powinien powstać musical IRL?

DL: Pracuję nad tym! Choć być może nigdy, przenigdy nie ujrzy światła dziennego. Ale powoli wkładam moją ogromnie gejowską, po gejowsku ogromną czapkę do myślenia i komponuję kolejne utwory. Na przykład numer otwierający. Choć nie wiem, czy nim pozostanie. Ale aktualnie wygląda to tak:

Akt I, scena 1

Scena pozostaje zaciemniona i początkowo słychać tylko mruczenie, bicie serca i ciężki oddech, jak podczas nauki oddychania przy porodzie. A potem widzimy na środku sceny dużą płachtę papieru z namalowanymi dwiema gołymi rozłożonymi nogami, dyskretnie okrytymi szpitalnym prześcieradłem. Bicie serca staje się głośniejsze. Oddech cięższy. Szkoła rodzenia na haju. I w końcu gdy dochodzimy do *crescendo*, KRUCHY COOPER pojawia się na świecie, rozdzierając papier i spektakularnie wkraczając na deski sceny.

Nie interesują nas efekty realistyczne. Nie powinien być nagi i pokryty wodami płodowymi. To obrzydliwe. Nie powinien nosić pieluchy. Nie pasuje to do niego. Człowiek, który się pojawi, powinien być potężnym, charyzmatycznym Kruchym Cooperem, którego będziemy oglądać przez resztę przedstawienia. Jeśli chcecie go odróżnić od Kruchego w innym wieku, może nosić plakietkę z napisem: „Wiek: 0”.

Większość dzieci przychodzi na świat, płacząc, sapiąc lub smarkając.

Ale nie Kruchy Cooper.

On przychodzi na świat, śpiewając.

Wskazówka: pierwsze frazy *I was born this way (Taki jestem)*. To jest potężny, żywy, mocny kawałek – bo bądźmy szczerzy, gdyby Elfaba zaśpiewała *Defying Gravity* na początku *Wicked*, byłaby o wiele, wiele szczęśliwsza przez cały spektakl. Kruchy dopiero co przyszedł na świat – niektórzy mogliby powiedzieć, że został wypchnięty – i już ma poczucie tego, kim jest i co zamierza zrobić. Muzyka i aranżacja muszą to odzwierciedlać. Brokat, ludzie. Myślcie brokatem. Nie miejcie uprzedzeń do brokatu. Drag queens uwielbiają go tak bardzo, bo nie jest drogi.

KRUCHY (mówi):

Hej, nazywam się Kruchy Cooper... A wy? Właśnie się narodziłem. I to fantastyczne uczucie, ziomy!

[muzyka]

[TAKI JESTEM]

KRUCHY (śpiewa):

Taki jestem. Tak, to ja,

Fajny gej. To natura ma.

Taki jestem. Tak, to ja,

Urodziłem się w USA.

Lubię to i nie dziwię się,

*Tak już jest, więc nie zmieniaj mnie.
Kochać chcę całe życie swe,
Tęcza ma oznacza mnie.*

*Mam ciemne włosy,
W talii sto,
Oczy niebieskie tak.
Z chłopcami
Jutro pójdę w świat,
Pójdę w świat,
Świat!*

*Czemu wstydzić się?
Co z tego przyjedzie, co?
Ja taki jestem, nie chcesz mnie?
O tobie świadczy to.*

*Jeśli chcesz krzyknąć: trwoga!
Zapytaj o to Boga,
Bo tylko on, czyż nie,
Mógł stworzyć takim mnie.
Wszyscy na nogach buty nosimy,
Choć każdy z innej ulepiony gliny.
Więc tańczyć będę bez was lub z wami,
Bo wszyscy jesteśmy różni, lecz tacy sami.*

*To geny moje, karma ma,
Cieszę się nią, niech dalej trwa,
Bo taki jestem. Tak, to ja!
Przyszłość? Cóż, kto przyszłość zna?*

[naprawdę głośno]

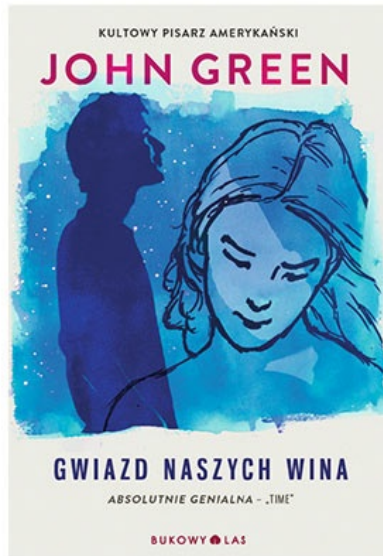
*Taki
Jestem,
Tak!
To ja!
I kocham to!*

*Co znaczy
Ja!*

*Przyszłość? Kto przyszłość zna?
Nikt, lecz ja.
Nie boję się!
Niech ona trwa,
Bo chcę być taki,
Jak jestem ja! [16]*

DL: Napisałem to w sierpniu 2010. We wrześniu tego samego roku podczas rozdania MTV Video Music Awards Lady Gaga (również ogromnie gejowska w wyrazie) oznajmiła, że jej nowy album będzie nosił tytuł *Born This Way*. Zbieg okoliczności? Nie sądzę. (No dobra, sądzę). Teraz mamy listopad 2010 i chętnie usłyszę jej wersję. Zobaczymy, jak jej pójdzie.

Wydawnictwo Bukowy Las poleca

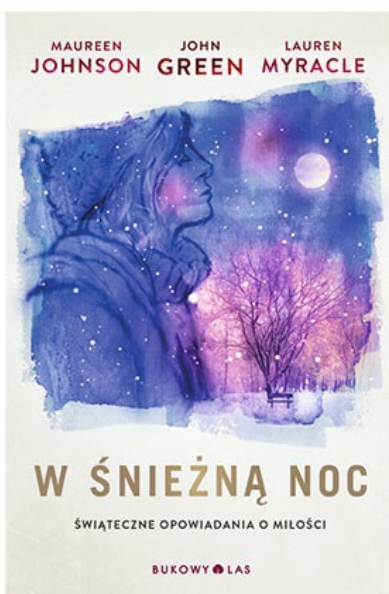


John Green
Gwiazd naszych wina

Książka jest wnikliwa i odważna, zabawna i ironiczna. Autor, pisząc o nastolatkach, w błyskotliwy sposób zgłębia w niej tragiczną kwestię życia i miłości.

Szesnastoletnia Hazel choruje na raka i tylko dzięki cudownej terapii jej życie zostało przedłużone o kilka lat. Nie chodzi do szkoły, nie ma przyjaciół, zmuszona do taszczenia ze sobą butli z tlenem i poddawania się ciężkim kuracjom. Nagły zwrot w jej życiu następuje, gdy na spotkaniu grupy wsparcia dla chorej młodzieży poznaje Augustusa, który jest nie tylko wspaniały, ale również, co zaskakuje Hazel, bardzo nią zainteresowany.

Wydawnictwo Bukowy Las poleca





Fot. Julie Strauss-Gabel

JOHN GREEN

jest autorem światowych bestsellerów. Debiutował znakomitą powieścią *Szukając Alaski*, opublikował następnie kilka powieści, z których ostatnia, *Gwiazd naszych win* przyniosła mu ogromną popularność i splendor. Otrzymał wiele nagród literackich. Wraz z bratem Hankiem prowadzi *Vlogbrothers*, jeden z najpopularniejszych wideoblogów w Sieci. Mieszka z żoną i dziećmi w Indianapolis.

Zajrzyj na johngreenbooks.com

DAVID LEVITHAN

jest autorem kilkunastu nagradzanych powieści dla młodzieży. Chętnie pisze w duetach, poza Johnem Greenem współtworzył książki m.in. z Rachel Cohn. Do najbardziej znanych jego powieści należą: *Boy Meets Boy*, *Nick & Norah's Infinite Playlist*, *Dash & Lily's Book of Dares*. Jest również dyrektorem wydawniczym w Scholastic i założycielem wydawnictwa Push. Mieszka w New Jersey.

Zajrzyj na davidlevithan.com



WILL GRAYSON, WILL GRAYSON

Pewnego zimnego wieczoru w Chicago przecinają się ścieżki dwóch Willów Graysonów. Nazywają się tak samo, ale do tej chwili żyli w zupełnie różnych światach. Teraz ich życie rusza w całkiem nowym i nieoczekiwanym kierunku. Po drodze jest miejsce na przyjaźń i miłość, muzykę i futbol, a emocjonalna płatanina znajduje kulminację w najbardziej szalonym i spektakularnym musicalu, jaki kiedykolwiek wystawiono na deskach licealnych scen.

JOHN GREEN, autor powieści *Gwiazd naszych win*, aktualnie najpopularniejszy na świecie i najbardziej ceniony autor literatury młodzieżowej, tym razem jako współautor zabawnej, odważnej i niebanalnej powieści napisanej w duecie z DAVIDEM LEVITHANEM

Książka dla tych, którzy lubią myśleć



„*Will Grayson, Will Grayson* to absolutny przebój. Powieść jest tak zabawna, niegrzeczna i oryginalna, że zanim kwiaty spadną na scenę, nawet przeciwnicy musicali zaczną bić brawa”.

„NEW YORK TIMES BOOK REVIEW”

www.bukowylas.pl

Wyłączny
dystrybutor

